

*Marjorie  
Farrell*

*POKER SERC*

*Moim ciotkom  
Mary, Joan i Connie Farrell*

### ***Rozdział pierwszy***

Dobry wieczór, mój panie.

- Dobry wieczór, Jeremiaszu - odparł Tony Varden, lord Ashford, obdarzając odźwiernego czarującym uśmiechem. Minął go i przez uchylone drzwi wszedł do domu przy St. James Street 75.

- Proszę na górę, milordzie. Życzę szczęścia!

Tony szybko pokonał schody i znalazłszy się na piętrze, stanął przed drzwiami z wmontowanym wizjerem. Ukrywający się za nimi odźwierny zawsze milczał jak zakłęty, a przy tym był tak niski, że musiał stawać na palcach, aby cokolwiek dojrzeć przez swoje „oko Cycklopa”. Mimo niepozornego wzrostu radził sobie wyśmienicie; nie zdarzyło się jeszcze, by wpuścił do środka jakąś niepożądaną osobę.

Tony niecierpliwie minął przedpokój, otworzył kolejne drzwi i w końcu stanął na progu świątyni, której wystrój był całkowitym zaprzeczeniem ascetyzmu przedsionka. Z sufitu zwisały się lśniące żyrandole, a pod ścianami stały wonne krzewy. Pomiedzy gośćmi, należącymi do śmietanki towarzyskiej, krążyły nienagannie ubrane kelnerki, oferując najlepsze marki brandy i clareta lub też odprowadzając dostojnych klientów do jadalni, gdzie mogli nabrać sił.

Lord Ashford skierował kroki prosto do ołtarza tego przybytku, czyli do podłużnego stołu nakrytego zielonym sukmem. Kilku stojących przy nim mężczyzn pozdrowiło nowo przybyłego ściszoną głosem, większość jednak wpatrywała się w dłonie rozdających karty krupierów i zupełnie nie zwróciła na niego uwagi.

Najpierw, jak zwykle, karty otrzymała „czarna” strona stołu. Kolejno pojawiały się: dziesiątka, walet, piątka... ósemka.

- Trzy! - ogłosił krupier.

Bez sekundy zwłoki karty pojawiły się po „czerwonej” stronie. Szóstka, as, dwójka, król, trójka... i dziesiątka.

- Dwa! - zawołał drugi krupier.

Krupierzy odebrali z puli zysk domu gry i podzielili wygraną. Gracze z prawej strony stołu pospuszczali głowy, ci z czerwonej wyraźnie się ożywili.

Lord Ashford, przepraszając zebranych, przebił się na czarną stronę, wyjął z kieszeni kilka gwinei i położył na bławie.

- Cztery! - ogłosił krupier czarnych.

- Czerwone ponownie mają dwa.

Lord Ashford nie pokazał po sobie żadnych emocji. Lekko uśmiechnął się do kelnerki, która podała mu szklaneczkę whisky z wodą sodową. Postawił szklanekę przed sobą na skraju stołu, po czym sięgnął do kieszeni po następne dwie gwinee. Mamrocząc do siebie: *Sur le mir*, wyważonym gestem umieścił monety w owalnym polu, wymalowanym na stole czarną farbą.

- Dwa!

- *Deux sur le noir* - mruknął lord Ashford, pozwalając sobie na krótkie westchnienie ulgi.

- Jeden!

- *Un sur le rouge* - wyszeptał chłodnym, opanowanym głosem, bez śladu rozczarowania na twarzy.

Kolejne dwie gwinee opuściły kieszeń i wylądowały w czarnym polu.

- Jeden!

- Jeden *apres*.

*Merde* - zaklął w myślach.

Jednak w następnym rozdaniu zła passa została przerwana. Na czarne wypadły trzydzieści trzy oczka, a na czerwone trzydzieści pięć. Tony odzyskał dwie utracone przed chwilą gwinee.

Na moment odsunął się od stołu, by przepuścić przeciskającego się młodego mężczyznę. Był to James Colter, wicehrabia Lindsay, rozgorączkowany i wyraźnie wstawiony. Następne dwa rozdania zakończyły się wygraną czarnych i Tony spokojnie schował do kieszeni swoje gwinee, kątem oka obserwując młodego Lindsaya. Nieokrzesany gołowus nie potrafił zapanować nad emocjami i za każdym razem, gdy udało mu się wygrać, radośnie rzucał się na stół, jakby chciał wziąć w objęcia dawno nie widzianego przyjaciela. Po serii rozdań dla czarnych zaczęły się sukcesy czerwonych. W ciągu następnych dwóch godzin lord Ashford to wygrywał, to przegrywał, ale przez cały czas zyskiwał lub tracił niewielkie sumy. Młody Lindsay albo miał całkowicie inną taktykę, albo nie miał żadnej. Postawił okrągłe siedemset gwinei i... przegrał. Wyglądał na zdruzgotanego, kiedy krupier odbierał mu ostatniego szylinga. Wbił ręce w kieszenie, ale nie znalazł tam nic, zupełnie nic, czym mógłby obstawić następne rozdanie. Lord Ashford zdał sobie sprawę, iż

wicehrabia wpadł w panikę nie z powodu utraty tak wielkiej sumy pieniędzy. Po prostu nie potrafił zaakceptować faktu, że nie może dalej aktywnie uczestniczyć w grze.

Młokos cofnął się od stołu i ze zgrozą obejrzał nadgarstek (po zegarku zostało jedynie wspomnienie), pozbawiony spinki krawat i palce obu dłoni, na których nie mógł znaleźć żadnego pierścienia. Tony był pewien, że gdyby dom gry przyjął zamiast gotówki mały palec, Lindsay już wróciłby na plac boju. Nagle wicehrabia wybuchł nerwowym śmiechem, obrócił się na pięcie i rozpychając gości oraz kelnerki, biegiem ruszył w kierunku schodów. Może przypomniał sobie, gdzie skupują małe palce...?

Ashford pochylił się ku stojącemu obok mężczyźnie i zagaił:

- Kolejny złotodziób, co, Bonifacy?

- Eee, niee, znamy tego delikwenta bałdzo dobrze - odparł stary szuler, mrugając porozumiewawczo. - Czasami przestaje się kontłolować, toteż, dla jego własnego dobla, musieliśmy wyznaczyć mu limity stawek. Jak panu dzisiaj idzie, milołdzie?

- Nie najgorzej, Bonifacy. Utrzymuję się na powierzchni.

- Może powinien pan, miiołdzie, postawić tełaz na czełwone?

- Dziękuję, ale będę trzymał się czarnej strony - odrzekł Tony, kładąc na stole kolejną gwineę.

Pięć rozdań z rzędu zakończyło się jego sukcesem i teraz mógł operować pieniędzmi z wygranej. Szczęście go nie opuszczało. Miał w kieszeni już sześćdziesiąt gwinei, gdy nagle usłyszał tupot na schodach. W salonie zapadła głucha cisza, oczy gości zwróciły się ku drzwiom wejściowym. Wszyscy się zastanawiali, czy przypadkiem policji nie udało się zmylić strażników, ale już po chwili odetchnęli z ulgą. Do środka wpadł tylko młody Lindsay, uśmiechnięty od ucha do ucha, w surducie zapiętym po samą szyję. Szybko przepchnął się do stołu, zajmując pozycję naprzeciw lorda Ashford.

- Proszę - powiedział kładąc na blacie osiem szylingów. - Na czerwone.

Nie pomylił się. Czerwone wygrały i wygrywały potem niemal raz za razem. Odegrawszy sto funtów, chłopak dumnie podniósł głowę i rozpiął surdut, ukazując zebranym nagą, bezwłosą klatkę piersiową.

- Odwiedziłem lombard przy Jermyn Street - zapiszczał wesoło. - Była to najlepsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem. - Rzucił na stół dwadzieścia funtów, wołając: - Szampan dla wszystkich!

Ashford pokręcił głową z dezaprobatą. Lindsay może nie był żółtodziobem, ale zachowywał się jak jeden z nich. On, hrabia Ashford, szczyił się tym, że nikomu, absolutnie nikomu nie dawał po sobie poznać, jak mu się wiedzie. Szulerzy i krupierzy, którzy byli świadkami jego sukcesów i porażek, nigdy nie mogli wyczytać z jego twarzy jakichkolwiek emocji, nigdy nie mogli usłyszeć jego śmiechu lub jęku. Nie dał im tej satysfakcji.

Była piąta nad ranem, gdy wrzucił pieniądze do kieszeni i wrócił do domu. Ostatecznie był to udany wypad. Wszedł do gry z dwudziestoma gwineami, a odchodził od stołu z czterdziestoma dwiema. W pokoju miał jeszcze skórzaną sakwę z setką gwinei, stanowiącą nienaruszalną rezerwę finansową. Był dumny z siebie. Nigdy nie zostanie zupełnie bez grosza, a już na pewno nie będzie musiał sprzedawać koszuli, aby mieć za co zagrać. Oprócz tego posiadał jeszcze Ashford.

Wciąż powtarzał sobie, że to właśnie z powodu Ashford spędza noce w jaskiniach hazardu. Miał nadzieję zdobyć w ten sposób środki, które pozwolą mu ocalić dziedzictwo i zapewnić matce spokojną starość.

Ashford było średniej wielkości posiadłością w hrabstwie Kent. Znajdowało się w rękach rodziny Tony'ego od czasów Henryka VIII, który nadał Vardenowi tytuł hrabiowski. Vardenowie nigdy nie byli bajecznie bogaci, ale kilka pokoleń żyło wygodnie, nie martwiąc się, co przyniesie następny dzień. I byłoby tak nadal, gdyby ojciec obecnego hrabiego nie zapragnął zasmakować prawdziwej zamożności. Niestety, jego próba wzbogacenia się doprowadziła rodzinę na skraj ruiny. Otóż ulokował on wiarę i pieniądze w obligacjach rządowych, a potem stracił jedno i drugie, gdy rozeszły się pogłoski o klęsce Wellingtona pod Waterloo. Wyzybył się obligacji po najniższej cenie. Nazajutrz zrozumiał, że gdyby wstrzymał się ze sprzedażą dzień lub dwa, rzeczywiście potroiłby rodzinny majątek; nie zrobił tego i w konsekwencji został - niczym młody Lindsay - bez ostatniej koszuli na grzbiecie.

Dwa dni później doznał wylewu i zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Lady Ashford chodziła jak lunaticzka i każdemu, kto chciał jej wysłuchać, mówiła: „Zaiste, to prawdziwe błogosławieństwo. Strasznie męczylby się widząc, że nic nie może

zrobić.” Przez cały czas po jej twarzy ciekły strugi łez.

Młodszy syn, Anthony, był kapitanem w armii Wellingtona i nie przybył do domu na pogrzeb. O śmierci ojca dowiedział się dopiero po powrocie z wojny, w sierpniu.

Starszy syn, Edward, dziedzicząc tytuł jasno dał do zrozumienia, że nie będzie szczędził wysiłków, aby postawić na nogi rodzinną posiadłość. Opuścił swój dotychczasowy dom w Londynie, skonsultował się z zarządcą i adwokatem rodziny, a następnie przedstawił żonie i matce drobiazgowy plan oszczędności.

Żadna z kobiet go nie odrzuciła. Obie podziwiała Neda za dojrzałość i odpowiedzialność, ale jednocześnie martwiły się o niego, ponieważ coraz bardziej zbliżał się do stanu fizycznego wyczerpania. Całe dni ciężko pracował, a nocami do późna ślezczał nad księgami rachunkowymi, próbując znaleźć dodatkowe źródła gotówki.

Z końcem wojny kapitan Varden został przeniesiony w stan spoczynku i otrzymał autentyczną synekurę w biurze Ministerstwa Wojny w Londynie. Odwiedzał Kent w święta, większość czasu spędzając na beztróskim snuciu się z jednego przyjęcia na drugie i uczestniczeniu we wszystkich spotkaniach towarzyskich, na które go zapraszano. Nie przegrywał w karty więcej i nie upijał się bardziej niż większość ludzi z jego sfery. Owszem, trochę sobie poszalał, ale nigdy nie przekroczył granicy, za którą leżał brak umiaru.

Podziwiał u swego brata poczucie obowiązku, lecz jednocześnie był wdzięczny losowi, że jest młodszym synem. Nigdy nie zazdrościł Nedowi tytułu hrabiego. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma predyspozycji, aby podolać obowiązkowi związanemu z zarządzaniem majątkiem ziemskim. Sporadycznie odwiedzając Ashford, spoglądał na ściągniętą troskami twarz brata i zastanawiał się, czy to wszystko rzeczywiście jest tego warte.

- Ned, rozważałeś możliwość sprzedania posiadłości? - zapytał podczas jednej z takich wizyt, kiedy kobiety udały się na spoczynek i zostali sami.

- Sprzedać Ashford?! Należy do naszej rodziny od trzech stuleci. Nie, sprzedaż posiadłości nie wchodzi w rachubę. Muszę zachować ją dla przyszłego dziedzica, obojętne, czy będzie to syn mój i Charlotty, czy też twój.

- Jeżeli dalej będziesz tak się zaharowywać, nie będzie żadnego

dziedzica - odparł Tony i wcale nie zabrzmiało to jak żart.

- Spokojnie, bez paniki. Sam zobaczysz, jeszcze rok, najwyżej dwa lata takich oszczędności - i wyjdziemy na prostą.

Jednak Ned nie miał przed sobą nawet roku. W marcu złapał przeziębienie, ale uparł się, że osobiście będzie nadzorować prace polowe. Jak na tę porę roku pogoda była wyjątkowo paskudna i katar rychło się przerodził w zapalenie płuc. Po dwóch tygodniach choroby Edward pożegnał się z tym światem i tytuł hrabiego Ashford przeszedł na kapitana Anthony'ego Vardena.

Kolejna śmierć była dla całej rodziny kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Hrabina zasłała w kościele i przez kilka następnych miesięcy nie ruszała się z własnego pokoju. Synowa, bardzo do niej przywiązana, została w Ashford do chwili, gdy miała całkowitą pewność, że owdowiała hrabina powróci do zdrowia. W tydzień po śmierci brata Tony zasiadł za jego biurkiem i przejrzał dokumenty, nad którymi Ned pracował. Kiedy dotarł do ostatniego wpisu w księgach rachunkowych, uczynionego rozdygotaną ręką człowieka walczącego ze słabnącym ciałem, nie był w stanie dłużej powstrzymać łez. Spędził noc w piekle rozpaczy, szlochając i wołając głośno: „Ned! Ned!”, jak robił to będąc małym chłopcem, gdy zdarzyło mu się spaść z kucyka lub nadzieć na haczyk własnej wędki.

Następnego ranka powiedział matce, że wyjeżdża do miasta, aby porozmawiać z adwokatem rodziny i zapoznać się bliżej z aktualną sytuacją posiadłości. Jedno przedpołudnie w biurze starego Farleya upewniło go, że nie jest właściwą osobą do ratowania rodzinnego majątku, czyli nie zasługuje na zaszczyt posiadania tytułu hrabiego, a przynajmniej nie został ulepiony z tej samej gliny co starszy brat. Według niego sytuacja przedstawiała się beznadziejnie. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak Ned zamierzał odbić się od dna w ciągu dwóch lat. Na jego rozum zabrałoby to co najmniej dwadzieścia. Oczywiście nie miał głowy do planowania upraw, nie dostrzegał znaczenia drobnych inwestycji. Jego talenty najlepiej przejawiały się w dowodzeniu oddziałem na polu bitwy. Jego umysł został stworzony do strategii wojskowej, a nie rynkowej lub finansowej.

I tak zaczął regularnie odwiedzać jaskinie hazardu. Och, z początku kończyło się na postawieniu kilku gwinei i wlaniu w siebie alkoholu w takiej ilości, jaka skutecznie rozpraszała niespokojne myśli.

Stopniowo zaczął zapędzać się w coraz większe stawki, przegrane stały się częstsze, a długi rosły.

Podjął istotną decyzję: odnajął dom w mieście, dzięki czemu zyskał przynajmniej jedno źródło stałego dochodu. Uzyskane z najmu pieniądze nie docierały jednak do Ashford, ponieważ służyły za fundusz do gry w karty.

Dopóki udawało mu się stwarzać pozory zamożności, pożyczał pieniądze od ludzi w całym mieście. Jego kamerdyner stał się prawdziwym ekspertem w dziedzinie unikania bądź zbywania wierzycieli, jednak było tylko kwestią czasu, gdy go dopadną.

Jednej rzeczy - na razie - jeszcze nie zrobił: nie zaciągnął pożyczki pod zastaw Ashford i był gotów rzucić się do gardła każdemu, kto zasugerowałby podobną transakcję. Posiadłość nie była zagrożona. Przecież wszystko to robił, aby ją ocalić! Nigdy nie uczyniłby niczego, co wystawiłoby na szwank bezpieczeństwo matki, ale Ashford ciążyło mu niczym uwiązany do szyi kamień młyński. Poza tym nie mógłby sprzedać posiadłości z jeszcze jednego powodu: śmierć Neda poszłaby na marne. Gdybyż tylko ten ciężar nie był tak wielki...

## **Rozdział drugi**

Martwię się o Tony'ego Vardena - powiedział lord Thomas Barrand, zerkając na żonę i córkę znad rozłożonej gazety.

- Dlaczego, ojcze? - zapytała lady Joanna.

- Jeszcze niedawno myślałem, że jego wyczyny w domach gry są reakcją na śmierć Neda. Jednak upłynęło już wiele miesięcy, a on wciąż topi pieniądze w kartach. W klubach mówi się, że jest poważnie zadłużony.

Tony był sąsiadem i starym przyjacielem Joanny. Obserwowała go od kilku tygodni i podejrzewała, że sprawy mają się nie najlepiej. Starając się nadać głosowi całkowicie obojętny ton, spytała:

- Sądziś, że jest w niebezpieczeństwie?

- Jeżeli przez niebezpieczeństwo rozumieć utratę Ashford, to moja odpowiedź brzmi „tak”. Wydaje się, że nie zostało mu nic poza tą posiadłością.

- Bardzo się cieszę, moja droga, że nic nie wyszło z twojego *tendre* z tym człowiekiem - powiedziała lady Barrand do córki.



- Cóż to byłby za wstyd zrywać zaręczyny, a w tych okolicznościach właśnie to musielibyśmy zrobić.

- Mamo, przecież nikt nawet nie wspominał o zaręczynach - odparła Joanna. - Tony po prostu chciał być uprzejmy i jeśli był mną zainteresowany, to tylko jako dawną towarzyszką zabaw. Poza tym działa się to dwa lata temu.

- Tony nigdy nie był złym chłopakiem - stwierdził lord Barrant. - Rzecz w tym, że nie pasuje do niego tytuł hrabiowski. Jaka szkoda, że Ned nie żyje. Jestem pewien, że gdyby żył, jego brat nie wpędziłby się w takie tarapaty. Owszem, Tony zawsze wypadał błado na tle Neda, ale to młodzieniec o dobrym sercu.

- Joanno, zawsze uważałam, że Ned byłby dla ciebie lepszą partią, lecz on znalazł sobie Charlotte - powiedziała matka.

- Może to i lepiej, bo byłabyś teraz wdową...

- Och, mamo! - Joanna spojrzała na lady Barrant z nie skrywanym wyrzutem. - Nedowi nigdy nawet przez myśl nie przeszło, że moglibyśmy stanowić parę. Zresztą ja do niego też nic nie czułam.

- Wiem, wiem. A jednak szkoda, że tak się nie złożyło. Twoje małżeństwo z jednym z Vardenów byłoby niezwykle korzystne.

- Dość, Lydio, wystarczy - wtrącił się lord Barrant. - Joanna - może wybierać spośród wszystkich kawalerów w Londynie, a Tony chyba znalazł już odpowiednią dla siebie partnerkę.

- Masz, Thomasie, na myśli lady Fairhaven? - spytała żona.

- Z pewnością byłby to dla Tony'ego sposób na wydostanie się z kłopotów. Zdaje się, że mąż zostawił jej całą swoją fortunę, prawda?

- Zgadza się. Posiadłość i tytuł odziedziczył jego daleki kuzyn, ale pieniądze przypadły wdowie.

- Nowy lord Fairhaven nie może narzekać na brak gotówki, ojciec - zauważyła Joanna. - Przecież od wielu lat prowadzi własne interesy.

- Rzeczywiście, słyszałem, że dorobił się całkiem pokaźnego majątku.

- Ciekawe - zastanawiała się lady Barrant - czy Fairhaven celowo sporządził testament w taki sposób, by skojarzyć dwoje spadkobierców.

- Nie pomyślałem o tym, ale możesz mieć rację - rzekł jej mąż.

- W takim razie przy obecnym stanie rzeczy stary hrabia, gdziekolwiek teraz jest, musi być głęboko rozczarowany! Lady Fairhaven nie pozwala się do siebie zbliżyć nikomu poza Vardenem.

- Ale ona jest od niego starsza, Thomasie.
- Tylko o kilka lat, moja droga. Nadal jest równie atrakcyjna jak wówczas, gdy wychodziła za Fairhavena.
- Nigdy nie rozumiałam, jak jej rodzice mogli dopuścić do tego małżeństwa. Siedemnastoletnia dziewczyna z czterdziestosześcioletnim mężczyzną! Doprawdy, niektórzy widzą w swoich dzieciach tylko pionki na finansowej szachownicy!
- Lydio, oni wydawali się autentycznie szczęśliwi. Była dobrą, oddaną żoną, a śmierć hrabiego naprawdę nią wstrząsnęła. Jeżeli teraz dostrzeżę szansę na szczęście u boku Tony'ego, przynajmniej jest to jej własny wybór.

Przez cały czas Joanna się starała, aby jej twarz pozostawała bez wyrazu. Dzięki temu rodzice nie mogli z niej odczytać, jak silnym uczuciem darzy Tony'ego Vardena.

Podzielała ich zdanie, że małżeństwo z jednym z Vardenów byłoby niezmiernie korzystne, choć z zupełnie innych powodów. Lord i lady Barrant myśleli o niezwykle wygodnym sposobie połączenia obu posiadłości, ona myślała jedynie o... miłości.

Ona, Ned i Tony byli przyjaciółmi z dzieciństwa. Wspólnie jeździli na kucykach, łowili ryby, pływali w rzece i bawili się w odgrywanie scen z legend o królu Arturze. Ned zawsze był najbardziej odpowiedzialny i to jemu zawdzięczali, że wyszli cało z wielu przygód. Często hamował ich zapędy we wspinaniu się na drzewa, a podczas wędkowania przestrzegał przed brodzeniem zbyt daleko od brzegu. Tony przeciwnie - zwykle zachęcał Joannę do karkołomnej wspinaczki i skoków na kucyku przez najpokaźniejsze przeszkody terenowe. A dziewczyna wdrapywała się niemal na czubek drzewa i śmigała na koniu, jakby chciała przegonić wiatr, ponieważ miała nadzieję, że w ten sposób zwróci na siebie uwagę Tony'ego.

Jedna z ich zabaw zakończyła się niezapomnianą kłęską - taką, o jakiej opowiada się potem latami; zabawiając znajomych na podwieczorku. Ned wcielił się wówczas w rolę sir Meliagranta; porwał Ginewrę i przywiązał ją do drzewa. Tony był sir Lancelotem i miał za zadanie uwolnić dziewczynę. Niestety, wypatrzył przedzierającego się przez zarośla jelenia i poszedł za wspaniałym zwierzęciem, całkowicie zapominając o swej roli. Ned godzinę czekał na „rozstajnych drogach”, gdzie planowali odbyć decydujący pojedynek. Ponieważ przeciwnik się nie zjawiał, Ned uznał, że Tony

i Joanna wystawili go do wiatru i pewnie już od dawna są w domu. Ale kiedy po kilku godzinach obaj chłopcy stawili się w posiadłości, z żadnym z nich nie było Joanny.

Zanim biegiem wrócili do drzewa, dziewczyna przeżyła już fazę całkowitego znużenia, złości, wściekłości, aż na koniec osiągnęła stan ślepego strachu. Kiedy posłyszała głosy wołające jej imię, wzięła się w garść i przestała płakać jak dziecko. Przywitała ich wyrazem twarzy, który bracia powinni odczytać jako „nic mnie nie wzrusza”. Z powodu więzów nie czuła dłoni i ramion, ale nogi miała jeszcze w niezłym stanie. Rozdzielała nimi kopniaki na lewo i prawo, pokrywając siniakami kostki obu chłopców. Bracia skakali dokoła niej i nieskładnie próbowali tłumaczyć, co zaszło. Gdy Tony ze wstydem przyznał, że kompletnie o niej zapomniał, nie wiedziała - śmiać się czy płakać. Już wtedy wiedziała, że bardzo go lubi. Nigdy nie mogłaby o nim zapomnieć. Zwyciężyło jej poczucie humoru. Zaraziła wesołością obu braci i wkrótce wszyscy troje pokładali się ze śmiechu.

- Całe szczęście, że nie byłam prawdziwą Ginewrą, przywiązaną do pała na stosie i czekającą na Lancelota. Do tej pory zostałaby ze mnie kupka popiołu, co? - powiedziała, jak tylko ją rozwiązali.

Nagle, nie przestając się śmiać, błagalnym tonem poprosiła, aby na chwilę zostawili ją samą, bo natychmiast musi sobie ulżyć. Chłopcy spojrzeli na siebie. Sens tych słów docierał do nich powoli, a kiedy w końcu zrozumieli, o co przyjaciółce chodzi, oblali się rumieńcem i czym prędzej zniknęli w zaroślach.

Kiedy po chwili do nich dołączyła, pokleпали ją po plecach, jeszcze raz przeprosili i pochwalili za niezwykle hart ducha.

- Po prostu teraz już wiem - podsumowała Joanna - że nie ma nadziei, że zagoszczę w myślach Anthony'ego Vardena. Albo w twoich, Nedzie - dodała szybko.

Ale wbrew temu, co mówiła, miała taką nadzieję. Wciąż czekała i ludziła się, że Tony dojrzy w niej kogoś więcej niż dobrą towarzyszkę zabaw. Nigdy tak się nie stało. Anthony wyjechał na studia. Co jakiś czas przyjeżdżał do domu, tańczył z nią na lokalnych zabawach, raczył opowieściami z życia uniwersytetu. To ona pierwsza usłyszała, że zamierza zdobyć patent oficerski, ale zwierzenie się i dzielenie planami na przyszłość znaczyło jedynie, iż Tony uważa ją za swą najstarszą i najlepszą przyjaciółkę. Tylko

przyjaciółkę. Nieświadomie przypominał jej to przy każdej okazji.

Kiedy wkroczyła w wiek panny na wydaniu i wzięła udział w pierwszym balu, Anthony przebywał na kontynencie, co skutecznie odebrało jej ochotę na zabawę. Miała wielką nadzieję, że gdy zobaczy ją w sukni wieczorowej, młodą pannę o nieprzeciętnej urodzie, otworzą mu się oczy i w końcu dosłyszysz głos serca: Kochasz ją, zawsze ją kochałeś... Rok później Anthony był w Anglii, wiernie partnerował jej na wielu balach, plotkował z nią i żartował na temat podbojów miłosnych, ale nigdy nie przytulił jej podczas walca i nawet nie próbował pocałować.

Wspierała go na duchu, gdy zmarł mu ojciec. Padła w jego ramiona i wypłakała morze łez, gdy spuszczano do grobu trumnę z ciałem Edwarda. Kilka dni po pogrzebie napisała list, w którym wyraziła głębokie współczucie i zaoferowała własne ramię, jeżeli kiedykolwiek chciałby się na nim wypłakać. Anthony jednak nigdy nie rozmawiał z nią o Nedzie, a podczas jej trzeciego sezonu balowego kręcił się wokół Claudii Halesworth, lady Fairhaven.

Lady Barrand nie myliła się: rodzice obecnej lady Fairhaven użyli swej córeczki jako głównego atutu w rozgrywce o grube Pieniądze. Wprawdzie złośliwe plotki głosiły, jakoby Fairhaven był kolejnym wcieleniem Sinobrodego, jednak stary lord zakochał się w małej sąsiadce natychmiast, gdy tylko zobaczył jej jasną twarz bogini Wenus, okoloną pięknymi włosami koloru blond. Stało się to zaraz po jego powrocie z Indii, gdzie przybywał przez dwadzieścia lat, gromadząc olbrzymią fortunę. Właśnie za ułamek tej fortuny przehandlowali Claudię jej rodzice. Lord Fairhaven zdjął z ich barków ciężar utrzymania córki, lecz poza tym zaoszczędził im dużych wydatków na kolejny sezon balowy.

Według opinii publicznej w ciągu roku Justin Halesworth powinien znudzić się młodej żonie i ta miała zacząć romansować z pierwszym lepszym młodym mężczyzną. Wszyscy, którzy tak sądzili, grubo się pomylili.

Claudia miała wrażenie, że okres zalotów i samą ceremonię ślubną przeszła jak we śnie, nie do końca zdając sobie sprawę, co się wokół niej dzieje. Rodzice od lat przygotowywali ją do tej chwili. Znała swoje przeznaczenie i akceptowała sposób, w jaki sprawowali kontrolę nad jej życiem. Nie zawahała się, gdy lord Fairhaven

poprosił ją o rękę, i bez zająknięcia wyrecytowała słowa ślubnej przysięgi.

Dopiero gdy stanęła na progu nowego domu, w pełni zdała sobie sprawę ze swej sytuacji. Była zupełnie niewinną dziewczyną, wydaną w ręce starszego o trzydzieści lat człowieka, którego w ogóle nie знаła. W powozie odważyła się rzucić na niego kilka ukradkowych spojrzeń. Był wysokim, szczupłym mężczyzną, z ogorzałą skórą i siwymi włosami. Matka krótko, bez wdawania się w szczegóły wyjaśniła, czego powinna się spodziewać w noc poślubną, ale gdy spojrzała na dłonie siedzącego obok mężczyzny, spokój prysnął jak bańka mydlana. Zadrzała na myśl, że mąż będzie dotykał jej tymi obcymi dłońmi z długimi, pajęczymi palcami.

Lord Fairhaven dostrzegł, że jego młoda żona drży. Zsunął z siebie płaszcz i okrył jej ramiona, jednak nie na wiele się to zdało. Położył rękę na jej dłoni i powiedział:

- Moja droga, ja również się denerwuję. Claudia zaczerpnęła powietrza jak przed nurkowaniem w lodowatej wodzie i podniosła wzrok na mężczyznę.

- Tak, tak, Claudio - mówił dalej z uśmiechem - dla mnie jest to równie przerażające jak dla ciebie. Bo kimże ja jestem? Zgrzybiałym hrabią, który chciałby sprawić, aby noc poślubna była dla jego młodej żony rozkosznym przeżyciem, tymczasem ona gorączkowo się zastanawia, jak ukryć obrzydzenie.

Claudia odważyła się odezwać.

- Czyż panna młoda nie powinna drżeć? - spróbowała zażartować. Staram się zachowywać naturalnie, milordzie.

- Justynie, moja miła. Proszę.

- Boję się... Justynie. Wcale nie dlatego, że jesteś starszy. Chodzi o mnie. Jestem taka młoda i niedoświadczona.

- Claudio, twoja uprzejmość dorównuje piękności - odparł lord Fairhaven z błyskiem w oku. - Mogę zapewnić, że jedną z zalet mojej przewagi wieku jest to, że... hmm... posiadam pewne doświadczenie. Nie traktuj swej niewinności jak wady, Claudio. W moich oczach to jedna z twych największych zalet. Myślę, że dzisiaj zjemy skromną kolację i wcześniej udamy się na spoczynek. Każde do swojego pokoju. Nie musimy się śpieszyć.

Wdzięczność malująca się na dziewczęcej twarzyczce młodej żony była dla Fairhavena najlepszą zapłatą za wstrzemięźliwość. Lord

okazał się świetnym gawędziarzem i okrasił kolację licznymi opowieściami z wieloletniego pobytu na Wschodzie. Stworzył tak miłą atmosferę, że Claudia zapomniała o swych lękach i całkowicie się rozluźniła.

Obudziwszy się następnego ranka, przez dłuższą chwilę spoglądała na drzwi łączące jej pokój z pokojem męża. To prawda, mogłaby grać na zwłokę. Przecież lord wyraźnie stwierdził, że cierpliwie zaczeka, aż będzie gotowa. Czy warto jednak jak sparaliżowany strachem królik czekać na coś, co i tak jest nieuniknione? Claudia nie chciała grać roli zwierzątka zapędzonego w kąt klatki. Narzuciła jedwabny szlafroczek i otworzyła drzwi.

Mąż nie spał - siedział oparty o poduszkę i czytał. Wydawał się zaskoczony widokiem stojącej w progu dziewczyny, ale szybko przywołał na twarz uśmiech. Zachęcająco poklepał dłonią pośladki obok. Claudia wsunęła się pod kołdrę, a Fairhaven w tym czasie odłożył książkę i okulary na stojący przy łóżku stolik.

- Widzę, że postanowiłaś podejść starego Iwa w jego jaskini - zauważył wesoło, wyciągając rękę i delikatnie głaszcząc policzek dziewczyny. Zadrżała pod jego dłonią. - Boisz się? Ciągle jeszcze?

- Nie, nie... Po prostu, to było takie... przyjemne - wyszeptwała nieśmiało.

Lord Fairhaven przesunął opuszkami palców po jej policzku, zatrzymując się w kąciku ust.

- A to? - zapytał, nachylając się do pocałunku.

- Owszem - przyznała odrobinę spłoszona, kiedy oderwał usta od jej warg.

Mąż zsunął z niej szlafroczek i z ogromną przyjemnością zlustrował posągowe kształty. Claudia oblała się rumieńcem i zanim zdążył zareagować, rzuciła się na łóżko. Położyła się płasko na plecach, układając ramiona wzdłuż ciała.

- Teraz pewnie myślisz, że po prostu położę się na tobie i zrobię TO? - zapytał Fairhaven z błyskiem w oku, który już zaczynała lubić.

- A nie zrobisz? Mama mówiła, że TO odbędzie się szybko... będzie odrobinę bolało... ale można to przecierpieć.

- Ależ, skarbie! - Lord się roześmiał. - Jestem zdumiony, że na tej wyspie w ogóle rodzą się dzieci! Nie, nie, Claudio, pozwól, że sproszuję. Jedną z korzyści płynących z poślubienia dużo starszego

mężczyzny jest to, że skonsumowanie małżeństwa odbędzie się bez szalonego pośpiechu i okaże się dla ciebie znacznie przyjemniejszym doświadczeniem, niż prorokowała to twoja matka. Zaraz się przekonasz...

Od słów przeszedł do czynów. Pieszczoty były tak delikatne i czułe, tak rozpały każdy centymetr jej ciała, że odruchowo uniosła ramiona, objęła męża za kark, a jej nogi same oderwały się od posłania i otoczyły biodra mężczyzny. I rzeczywiście, po niewielkim ukłuciu bólu doświadczyła ogromnej rozkoszy.

Ich małżeństwo należało do szczęśliwych mimo niekorzystnej różnicy wieku. Claudia bardzo pokochała męża, choć jej miłość nigdy nie była tak płomienna jak uczucie, którym darzył ją lord Fairhaven. Przeżyli wspólnie piętnaście lat, a kiedy lord po krótkiej chorobie zmarł, Claudia była zdruzgotana. Do ostatniej chwili gorąco go zapewniała, że lata spędzone u jego boku dały jej wiele szczęścia.

Pewnego wieczora lord zapytał:

- Czy w takim razie nie żałujesz, że poślubiłaś starszego mężczyznę?

- Owszem, żałuję - odparła - ale tylko dlatego, że chciałabym spędzić z tobą jeszcze wiele, wiele lat.

- A ja żałuję tego, że nie mogę ich z tobą spędzić. Żałuję jeszcze jednego... Nie dałem ci dziecka.

- Dałeś mi wszystko, czego pragnęłam, Justinie - wyszeptła, ocierając wierzchem dłoni spływające po policzkach łzy.

Nie powiedziała całej prawdy. Pragnęła zostać matką i była ogromnie rozczarowana faktem, że przez kilkanaście lat pożycia małżeńskiego nie zaszła w ciążę, jednak wszelkie smutne refleksje zatrzymała dla siebie.

- Nie, najdroższa, nie dałem ci wszystkiego, ale niczego ci nie szczędziłem. Chcę, żebyś po mojej śmierci znalazła sobie kogoś, jakiegoś rówieśnika, który pokocha cię jeszcze silniej i sprawi, że będziesz szczęśliwsza niż ze mną.

Claudia z trudem powstrzymywała wybuch płaczu.

- Justinie, proszę, nie mów takich rzeczy. Nie mogę tego słuchać. Nie wyobrażam sobie, żebym kogokolwiek mogła pokochać. Do końca swych dni nie zdejmę żałoby po tobie.

Justin położył dłoń na jej rękę.

- Dobrze, dobrze. Nie będziemy już o tym rozmawiać, ale

zapamiętaj jedno: z całego serca życzę ci szczęścia. Nie chcę, żebyś żywcem pogrzebała się w Devon.

- Justinie, nie wydaje mi się, abym została tutaj z Markiem - stwierdziła Claudia.

Na twarzy Fairhavena pojawił się grymas bólu. Lord zignorował troskliwy gest żony i opanowanym tonem powiedział:

- Mark odziedziczy tytuł i posiadłość, ale pomyślałem też o tobie. Otrzymasz moją fortunę. Będziesz całkowicie niezależna. Zadbalem o to.

Przy okazji zatroszczył się również i o to, aby jego kuzyn, składający im przez wiele lat częste wizyty, miał okazję uważnie przyjrzeć się Claudii. Czyż lord Fairhaven mógł wymarzyć sobie lepszą kontynuację swojej linii niż związek ukochanej żony z jego kuzynem?

### ***Rozdział trzeci***

Niemal natychmiast po pogrzebie męża Claudia wróciła do domu rodziców. Lord Fairhaven nigdy nie dowiedział się o dwóch sprawach: o tym, jak wielkim rozczarowaniem był dla niej fakt, że nie zaszła w ciążę, oraz o ogromnej niechęci, którą żywiła wobec jego kuzyna i dziedzica.

Mark Halesworth był przystojnym młodzieńcem, tylko o rok od niej starszym. Doskonale rozumiał się z hrabią, mimo że po raz pierwszy spotkali się dopiero po powrocie tegoż z zagranicy. Claudia poznała kuzyna wkrótce po ślubie, gdy latem odwiedził Fairhaven. Z początku odnosił się do niej z dużą rezerwą, chłodną uprzejmością, która w oczach młodej mężatki graniczyła z obojętnością lub wręcz niechęcią. Claudia podejrzewała, że Mark źle ocenił jej intencje; może pomyślał, że wychodząc za hrabiego kierowała się wyłącznie chęcią zdobycia jego fortuny... Tymczasem mijał rok za rokiem i w miarę jak stawało się oczywiste, że lord Fairhaven najprawdopodobniej nie doczeka się potomka, Mark okazywał Claudii coraz więcej życzliwości. Wychodząc za mąż była tak młoda i naiwna, że wiele lat zabrało jej rozeznanie się w sytuacji i stwierdzenie, że oschłość Marka nie ma nic wspólnego z troską o szczęście Justina, za to wiąże się ściśle z planami na przyszłość, w których widział siebie w roli dziedzica posiadłości i tytułu hrabiego.



Lord Fairhaven chciał sfinansować studia prawnicze Marka, lecz ten w zamian wyprosił stanowisko w firmie. Powoli piął się w górę, a w chwili śmierci kuzyna był już dyrektorem Halesworth Ltd.

Plotki wiązały go z kilkoma kobietami, jednak niemal dla wszystkich było jasne, że to nie ponętne kształty kochanek, lecz pieniądze wywołują u niego przyspieszone bicie serca. Claudia zawsze uważała go za człowieka beznamiętnego, niezdolnego do głębszych uczuć, toteż była przekonana, że jego smutek po śmierci kuzyna był tylko okolicznościową maską. Ze szczególną podejrzliwością potraktowała rzekome zadowolenie Marka z faktu, że mąż tak bardzo zatroszczył się o nią przed śmiercią. Opinię tę usłyszała z jego ust po odczytaniu ostatniej woli: „Claudio, nie było chyba bardziej oddanej żony. Zaslugiwałaś na nagrodę, z całą pewnością.”

Do Claudii, wciąż znajdującej się w szoku po stracie męża, z trudem docierały te słowa, ale kiedy później przypomniła sobie treść testamentu i komentarz Marka, ogarnął ją pusty śmiech. Justin zapisał kuzynowi posiadłość, przekazał mu tytuł oraz udziały w firmie. Było to niemało, jednak olbrzymia fortuna hrabiego w całości przypadła Claudii i jej dzieciom, jeśli będzie je miała. Justin nie mógł dać lepszego dowodu miłości i wiary, że pewnego dnia jego ukochana ponownie wyjdzie za mąż. Claudia wcale nie zamierzała szukać nowego towarzysza życia, ale Mark i tak musiał być wściekły słysząc, jak kuzyn rozdysponował swój majątek.

Mogła się zarzekać, że nigdy nie spojrzy na innego mężczyznę, ale żałoba nie trwa wiecznie. Minęły dwa lata od śmierci męża, gdy powoli zaczęła myśleć o powrocie między żywych. Nudziła się w domu rodziców. W królestwie matki niewiele miała do powiedzenia. Wprawdzie z drugiej strony była tu wolna od jakichkolwiek obowiązków, ale tylko na początku uważała to za korzystne. Monotonia i szarzyzna takiej roślinności powoli doprowadzały ją do szału. Oczywiście mogła skorzystać z zaproszenia nowego hrabiego i wrócić do Fairhaven, jednak perspektywa przebywania z Markiem pod jednym dachem nie wydała jej się najmiłsza. Poza tym dłuższa wizyta stanowiłaby naruszenie zasad przyzwoitości - byli przecież spokrewnieni i równi wiekiem.

Ostatecznie postanowiła kupić dom w samym środku Londynu i spędzać w nim jesień oraz wiosnę. Rodzice krytykowali tę decyzję,

próbowali „przemówić jej do rozsądku”, ale zignorowała ich protesty. Mając trzydzieści cztery lata, nareszcie wkroczyła w centrum życia towarzyskiego. Owszem, wspólnie z Justinem dość często bywała w londyńskich salonach, niejedną raz tańczyła na parkietach sal balowych, ale teraz po raz pierwszy miała się tam pojawić jako kobieta nie skrepowana więzami małżeńskimi. Niemłoda, to prawda, lecz za to bardzo bogata.

Lady Fairhaven została przyjęta niezwykle ciepło. Zawsze ją lubiano i szanowano za szczerze uczucia, jakimi darzyła zdecydowanie starszego męża. Teraz była samodzielną, niezależną i wciąż bardzo atrakcyjną kobietą.

Śliczna blondyneczka, która skradła serce starego hrabiego, niewiele się zmieniła. Stała się dojrzała, na jej twarzy pojawiło się tylko kilka mikroskopijnych zmarszczek i nadal zachwycała dziewczęcą figurą - mogła wcisnąć się w suknie, które nosiła mając siedemnaście lat.

- Popatrzcie tylko na jej twarz. Ja też nie miałabym zmarszczek, gdybym żyła w takim luksusie - skarżyła się pewna dama w wieku Claudii. - Justin Halesworth dobrze o nią dbał. Rozpieszczał ją do granic możliwości.

- No i nigdy nie miała dziecka - zauważyła inna. - Na pewno nie byłaby teraz taka szczupła.

- Trzeba jednak jej oddać, że nie zadziera nosa jak lady Montague, choć ma więcej od niej pieniędzy - dodała ich towarzyszka.

Wszystkie trzy zgodziły się, że w gronie bogatych wdów nie było równie sympatycznej osoby jak lady Fairhaven.

Większość dżentelmenów zgodziłaby się z tą oceną bez najmniejszych zastrzeżeń. Kilku, jak pułkownik Blunt lub wicehrabia Margate, w oczywisty sposób interesowało się tylko jej pieniędzmi. Krążył wokół niej młody Littlefield, który dopiero skończył studia na Oksfordzie i zapalał do pięknej wdowy cielecą miłością. Jednak na pierwszych balach najczęściej partnerował jej... Mark Halesworth.

Z początku Claudia wcale nie była zaskoczona jego postawą. Chciał być uprzejmy, to wszystko. Tymczasem minęły dwa tygodnie i spostrzegła, że w trakcie walca przytula ją bardziej, niż to konieczne, a wręczając kieliszek ponczu lub usługując przy kolacji zachowuje się, jakby chciał się przypodobać. Wydawał się szczerzy,

ale nadal mu nie ufała. Poza tym w ogóle jej się nie podobał. Odstreżczała ją blada cera, cienkie wargi i kanciasta głowa; był bardziej podobny do matki niż członkowie rodziny ze strony Justina. Zastanawiała się, co mu chodzi po głowie, i doszła do wniosku, że przejrzała jego grę. Czy mogło istnieć lepsze rozwiązanie - z punktu widzenia Marka - niż połączenie tytułu hrabiego i olbrzymiej fortuny poprzez poślubienie wdowy po zmarłym kuzynie? Niestety, Mark Halesworth miał pecha: był ostatnim mężczyzną na świecie, którego uroczą Claudia wzięłaby pod uwagę jako kandydata na drugiego męża. Nie znaczy to, że rozglądała się za odpowiednim partnerem, ale gdyby miała wybierać, na pewno wolałaby kogoś zabawniejszego i bardziej szarmanckiego.

Kogoś takiego jak Anthony Varden.

Poznała go niemal w samym środku sezonu balowego i natychmiast zapalała doń niekłamana sympatią. On również stracił kogoś bliskiego sercu: najpierw ojca, a potem starszego brata. Bez kłopotu i nie wzbudzając złośliwych komentarzy, zaaranżowała spotkanie, na którym przedstawiono ich sobie, a następnie skwapliwie przyjęła jego grzecznościowe zaproszenie na kolację. Kiedy znaleźli się przy stoliku, złożyła mu kondolencje. Wprawdzie nie wykroczyła poza konwencjonalne zwroty, lecz nasyciła słowa takim ładunkiem ciepła, że Varden nie miał wyjścia: musiał zwrócić na nią baczniejszą uwagę. Ujęła go. Po raz pierwszy ktoś współczuł mu w tak klarowny, bezinteresowny sposób. Wszyscy inni, z Joanną włącznie, współczując mu jednocześnie pragnęli współczucia dla siebie. Tymczasem ta obca kobieta z taką łatwością zajrzała w głąb jego serca... Znała ból, który toczył jego duszę jak nienasycony komik. Wówczas zdołał wykrztusić z siebie tylko standardowe „dziękuję”.

Następnym razem to on jej szukał. I teraz naprawdę dobrze jej się przyjrzał. Była od niego o kilka lat starsza, to prawda, ale nie wyglądała na swoje lata. Trudno było znaleźć na sali bardziej atrakcyjną kobietę.

Z początku traktował flirt jako antidotum na zmartwienia, lecz w miarę upływu czasu coraz bardziej lubił towarzystwo lady Fairhaven. Miał wrażenie, że go rozumie, a jak na wdowę wydawała się zdumiewająco naturalna i niewinna. Był absolutnie pewny, że nigdy

nie zdradziła męża.

Kręciło się wokół niej kilku kawalerów, wyraźnie zabiegających o jej względy, jednak bez wysiłku pobił ich na głowę. Jednym z pokonanych rywali był Mark Halesworth. Tony, młodszy od niego o kilka lat, znał go jeszcze z czasów szkolnych i choć ich drogi nigdy się nie przecięły, dobrze wiedział, że trudno spodziewać się po nim cieplejszych uczuć. Halesworth był zimny jak ryba. W szkole miał reputację chuligana znęcającego się nad młodszymi uczniami. Varden nasłuchiwał się tylu mrozących krew w żyłach opowieści, że od pierwszej chwili czuł do Haleswortha silną antypatię. Nie mógł sobie wyobrazić, by lady Fairhaven lubiła tego wilka w owczej skórze, tak więc kiedy tylko nadarzała się okazja, nie naruszając etykiety uwalniał ją od towarzystwa nowego hrabiego Fairhaven. Robił to tak skutecznie, że pod koniec pierwszej połowy sezonu balowego plotki zaczęły łączyć lorda Ashford i lady Fairhaven w parę najjaśniejszych gwiazd w konstelacji londyńskich salonów.

Pewnego wieczora pod koniec maja kamerdyner lady Fairhaven oznajmił, że przybył pan Mark Halesworth. Claudia uniosła lekko brwi i ze zdziwieniem obejrzała kartę wizytową, lecz zaraz potem przywołała na twarz uprzejmy uśmiech i kazała prosić gościa.

- Dobry wieczór, Claudio. Ślicznie dzisiaj wyglądasz.
- Dziękuję, Mark.

Wiele lat temu wyperswadowała mu używanie zwrotu „kuzynko Claudio”, który jej zdaniem brzmiał śmiesznie. Nadal brzmiałby śmiesznie, ale teraz z radością usłyszałaby go ponownie, ponieważ wyraźniej zaznaczyłby dzielący ich dystans. Im więcej Halesworth poświęcał jej uwagi, tym mniej swobodnie czuła się w jego obecności.

- Nie przyszedłem z wizytą towarzyską, Claudio.
- Nie? W takim razie...
- Przyszedłem tu jako członek rodziny, aby wyrazić zaniepokojenie twoimi kontaktami towarzyskimi.

Claudia podniosła do ust filiżankę, upiła niewielki łyk gorącej herbaty i dała znak lokajowi, aby obsłużył gościa.

- A cóż cię tak zaniepokoiło?

Pytanie postawiła beznamiętnym tonem, ale w jej wnętrzu aż zawrzało. Mark przyszedł wyrazić zaniepokojenie? Akurat! Jak w

ogóle śmie ją pouczać?! Dobrze wiedziała, o co mu chodzi. Na pewno nie przygnała go tutaj troska o jej osobiste dobro.

- Zauważyłem, zresztą nie ja jeden, że spędzasz z Tonym Vardenem więcej czasu niż z jakimkolwiek innym dżentelmenem. Martwię się o ciebie. Mój kuzyn skutecznie ochraniał cię przed całym złem tego świata i jesteś stosunkowo niedoświadczona w kontaktach z mężczyznami. Ashford jest przystojny i czarujący; rozumiem, że wydaje się pociągający, zwłaszcza kobiecie, której pierwszy mąż był dużo od niej starszy. Jednak interesuje się tobą wyłącznie przez wzgląd na twoje bogactwo. Przykro mi to mówić, Claudio, ale z całą pewnością chodzi mu o pieniądze. Jesteś bardzo zamożną kobietą i przez to łakomym kąskiem dla wszystkich łowców fortun.

- Takich jak Blunt i Margate?

- Cóż, owszem, wymieniłaś dwóch najgorszych z tej grupy.

- I myślisz, że jestem zbyt stara i pomarszczona, by lordem Ashford mogły kierować inne pobudki niż pragnienie zdobycia moich pieniędzy?

Mark odstawił filiżankę na stolik i pochwycił dłoń Claudii.

- Ależ skąd! Jesteś jedną z najatrakcyjniejszych kobiet w Londynie. Wysunęła dłoń z jego ręki.

- Ale jestem od niego starsza.

- Właśnie. A on ostatnio odziedziczył tytuł i podupadającą posiadłość.

- Mark, wiem o tym.

- A czy wiesz, że jego sposobem na odbudowanie świetności Ashford jest regularne odwiedzanie jaskiń hazardu? Claudio, to zagorzały hazardzista i z dobrze poinformowanego źródła dowiedziałem się, że jest poważnie zadłużony.

Nie pokazała po sobie żadnej reakcji. Stan, w jakim znajdowało się Ashford, dla nikogo nie był tajemnicą, a Tony sam wyznał, że nie widzi się w roli człowieka, który udźwignie ciężar odpowiedzialności i uratuje rodzinną posiadłość. Wielokrotnie porównywał siebie do brata i twierdził, iż nigdy nie będzie w stanie mu dorównać, a ona z sympatią pocieszała go i przekonywała, że da sobie radę.

Dotarły do niej pogłoski o jego skłonności do hazardu, ale uznała je za złośliwe pomówienia. Nigdy nie widziała go przy kartach.

Owszem, często robił wrażenie bardzo przemęczonego, lecz składała to na karb rodzinnych zmartwień. Było również prawdą, że jednego wieczora pojawiał się co najwyżej na dwóch przyjęciach i zwykle nie zostawał do białego rana. Sądziła, że wynikało to z przedkładania obowiązków nad przyjemności.

- A cóż to za „dobrze poinformowane źródło”? - zapytała.

- Sama słyszałam plotki, ale nie widziałam, aby lord Ashford robił to, o co próbuje się go oskarżać.

- Słyszałem o tym od pewnego starego szulera, Bonifacego, pracującego w domu gry przy St. James Street 75. Tony bywa tam co wieczór, grając w czerwone i czarne. Wygrywa lub przegrywa, ale częściej... przegrywa. Nie chcę, żebyś cierpiała, Claudio. Ja... Zależy mi na twoim szczęściu. Przecież wiesz.

- Jak mi na twoim - odparła rzeczowym tonem. - Cieszę się, że są przy mnie krewni Justina i chcą mi służyć radą.

- Pragnąłbym zrobić dla ciebie więcej niż tylko służyć radą - powiedział Mark.

Zmienił się wyraz jego twarzy. Cienkie usta ułożyły się w nieznaczny uśmiech, a uniesione brwi miały świadczyć o cieplejszych uczuciach... jednak oczy pozostały zimne. Claudia podniosła się i podeszła do okna, ignorując wyciągniętą w jej stronę rękę. Nie wiedziała, co Mark zamierza zrobić - może tylko jeszcze raz uścisnąć jej dłoń - ale wcale nie chciała tego wiedzieć. Przez chwilę stała odwrócona plecami do nie chcianego gościa i nie mogła widzieć kolejnej zmiany wyrazu jego twarzy. Mark zacisnął wargi, a oczy jakby ściały mu lód. Kiedy jednak odwróciła się od okna, nie zobaczyła już nawet cienia tego przeraźliwego chłodu.

- Mark, naprawdę bardzo mi miło, że interesujesz się moim losem. Na pewno dobrze przemyślę to, co powiedziałaś. Sama dyskretnie wypytałabym o lorda Ashford, gdybym rozważała powtórne wyjście za mąż. Rzecz w tym, że na razie nie zamierzam wkładać ślubnej sukni. Może za kilka lat, ale nie teraz. Pamięć o Justinie wciąż jeszcze jest tak żywa, że nawet przez myśl mi nie przeszło, aby ktoś miał go zastąpić.

- Oczywiście, Claudio, oczywiście. Wybacz, jeśli nierozmyślnie wprawilem cię w zakłopotanie.

- Ależ nie, Mark. - Uścisnęła jego przyjaźnie wyciągniętą dłoń i dodała z wdzięcznością: - Doskonale wiem, skąd wypływa twoja

troska o mnie.

Minutę po wyjściu Haleswortha podniosła wzrok na zawieszony nad kominkiem portret zmarłego męża. Przyciszonym głosem, ledwie poruszając wargami, zaczęła mówić:

- Justinie, nigdy nie miałam odwagi, aby ci o tym powiedzieć, ale twój kuzyn jest pozbawioną serca, samolubną, nadętą... ropuchą. I jeśli ułożyłeś testament celowo, by nas do siebie zbliżyć, zrobiłeś jedyne głupstwo, o jakim mi wiadomo. Akurat zależy mu na moim szczęściu! Markowi Halesworthowi zależy tylko na jednym - na pieniądzach. Justinie, nie patrz tak na mnie. Wiem, że jak każda bogata wdowa jestem narażona na pewne niebezpieczeństwo, jednak jest w lordzie Ashford coś takiego, coś nieuchwytnego, ulotnego, co przyciąga mnie do niego. A bez ciebie, mój drogi, jestem taka samotna...

#### ***Rozdział czwarty***

Mark Halesworth opuścił dom kuzynki nieco podbudowany. Zdawał sobie sprawę, że Claudia kochała męża, i chociaż od śmierci Justina upłynęły już dwa lata, było prawdopodobne, iż nie miała ochoty na powtórne zamążpójście. Nie znaczyło to jednak, że taki stan *rzeczy* będzie trwał wiecznie. Kiedyś dojrzeje do drugiego małżeństwa, a wówczas stanie przed ołtarzem obok niego, lorda Fairhaven. Nie dopuszczał myśli, że mógłby to być ktoś inny.

We wczesnej młodości nie docierało do niego, jak bliski jest tytułu hrabiowskiego. Matka nie wspominała o tym, ale kiedy przychodziły listy od Justina, z niepokojem oczekiwała jakiegokolwiek wzmianki o pannie z Europy, która byłaby jego wybranką. Nie znalazłszy takiej informacji, starannie składała kartkę papieru listowego i wzdychała z ulgą. W miarę jak Mark rósł, a Justin wciąż pozostawał kawalerem, zaczęła umacniać syna w przekonaniu, że odziedziczy wszystko: tytuł, posiadłość, firmę. Mark chłonał te zapewnienia jak sucha gąbka. W szkole zachowywał się tak, jakby już był hrabią. Uważał, iż jedynie najstarsi synowie stanowili dlań odpowiednie towarzystwo. Czuł się tak pewnie, że gdy dotarły do szkoły wieści o rychłym ślubie kuzyna, spał spokojnie. Dopiero po zakończeniu roku szkolnego, kiedy wrócił do domu na wakacje, histeryczna reakcja matki sprowadziła go z chmur na ziemię: lord Fairhaven poślubił

znacznie młodszą od siebie kobietę, która najprawdopodobniej da mu potomka - dziedzica.

Złożywszy kurtuazyjną wizytę w Fairhaven, zaczął traktować biadolenie matki bardzo poważnie. Patrząc na starego hrabiego, bez pamięci zakochanego w swej młodej żonie, pielęgnował w sercu niechęć, której ziarna zasadziła matka.

Mijało lato za latem, a Mark jeździł do posiadłości kuzyna i przypatrywał się lady Fairhaven, szukając oznak brzemienności. Kiedy upłynęło siedem lat i kuzyn nie doczekał się dziedzica, Halesworth odrobinę się uspokoił. Jakiś czas później Justin zaczął wprowadzać go w zagadnienia związane z administrowaniem posiadłością i Mark ponownie przyjął za pewnik, że po śmierci hrabiego dostanie wszystko w swoje ręce. Należało mu się, jak wszyscy diabli, za te lata niepewności i wyczekiwania.

Dobrze ukrywana zimna wrogość, którą żywił wobec Claudii, z wolna topniała. Młoda żona dawała swemu małżonkowi wiele radości. Mogła oczekiwać, że w testamencie zostanie za to wynagrodzona jakąś okrągłą sumką. Co zrobi po jej odebraniu? Najprawdopodobniej wyprowadzi się do Londynu i powtórnie wyjdzie za mąż.

Kiedy odczytano ostatnią wolę, nikt nie był bardziej zaskoczony od Marka Haleswortha, ale też nikt lepiej nie ukrywał zawiści. Składając kondolencje i gratulując zdobycia fortuny, zachowywał się, jakby od początku oczekiwał dla siebie tylko posiadłości i tytułu. W końcu będąc zarządcą firmy dorobił się własnego majątku, gdyż - podobnie jak stary hrabia - miał znakomite wyczucie rynku i potrafił trafnie inwestować.

Matka nie kryła rozczarowania. Była wściekła.

- Nie mogę uwierzyć, że Justin zrobił ci coś takiego! - krzyczała, gdy po odczytaniu testamentu znaleźli się w domowym zaciszu. - Przez tyle lat robił nam nadzieje, a potem wszystko oddał tej podstępnej małej krętaczce.

- Claudia nie jest krętaczką, mamó - zaprotestował. - Nawet ty musisz przyznać, że była dobrą żoną, a teraz wcale nie udaje żalu. Naprawdę bardzo mocno przeżyła śmierć kuzyna Justina.

Pani Halesworth, co było dla niej typowe, nie potrafiła zapanować nad nerwami i wybuchła głośnym płaczem. Łkając oskarżała się, że zachowuje się podle, myśląc w tej tak smutnej chwili tylko o



pieniądzach.

Mark zdążył przyzwycząć się do historycznych reakcji matki. Automatycznie poklepał ją po ramieniu i cierpliwie poczekał, aż łzy przestaną płynąć.

- Chociaż z drugiej strony, Mark, zastanawiam się... - urwała, podnosząc oczy na syna. Nie było w nich już wstydu. - Fairhaven bardzo o ciebie dbał. Zobacz, opłacił twoją edukację i tak szybko awansował cię w firmie. Może spisując ostatnią wolę chciał zasugerować coś, czego nie mógł ci podsunąć w żaden inny sposób. Rozumiesz? Może chciał wyrazić życzenie ponownego połączenia tytułu i fortuny poprzez twój związek z Claudią?

Mark starał się dystansować od matki, ale nie znaczyło to, że nie miała nań wpływu. W gruncie rzeczy zawsze był on bardzo duży i z czasem wcale nie malał. Kiedyś Mark ochoczo uwierzył, że będzie jedynym dziedzicem ogromnej fortuny. A teraz? Czy powinien dopuścić myśl o związku z wdową po kuzynie? Cóż, w słowach matki było wiele sensu. Wydawało się naturalne, że Claudia poślubi nowego hrabiego...

Na początku pałał do niej bezgraniczną niechęcią, która z upływem lat stopniowo malała, a im mniej jej było, tym bardziej do niego docierało, iż Claudia jest bardzo atrakcyjną kobietą. Nie kochał jej. W zasadzie w ogóle nie wyobrażał sobie, iż mógłby obdarzyć miłością jakąkolwiek kobietę, lecz starczało mu fantazji, by ujrzeć siebie i wdowę po kuzynie w roli małżonków. Przez jakiś czas nawet zniósłby jej towarzystwo w łóżku - ale tylko do chwili, gdy dałaby mu potomka.

Nie było pośpiechu. Claudia co najmniej przez rok nie wróci do życia towarzyskiego.

Nieco zaskoczyła go, zamieszkując z rodzicami aż na dwa lata, jednak była to raczej miła niespodzianka. Znaczyła, że Claudia przeżyła śmierć Justina jeszcze silniej, niż podejrzewał, a skoro tak - należało oczekiwać, iż nie będzie jej spieszo do powtórnego małżeństwa.

Kiedy kupiła dom w Londynie i zjawiła się w salonach stolicy jako kobieta wolna, do wzięcia, dojrzał dla siebie szansę zdobycia jej ręki. Co prawda musiał przyznać, że nie reagowała na jego umizgi, ale konkurenci wcale nie mieli lepszych osiągnięć. Do czasu, gdy na scenie pojawił się Tony Varden.

Varden zdawał się drobną przeszkodą, jednak rychło się okazało, że może stanąć Halesworthowi na drodze do realizacji jego planów. Mark musiał przyznać, że kobiety lubiły tę dość niezwykłą kombinację, którą stanowiły zmysłowe pełne usta, wesole brązowe oczy i jasnobłond włosy.

Wychodząc od kuzynki, z niepokojem pomyślał, że Claudia wygląda na szczęśliwą, gdy znajduje się w towarzystwie Vardena. Znakomicie dopasowywała się do niego w tańcu, a na kolacjach, przyjęciach i koncertach często pograżali się w rozmowie, jakby cały świat nagle przestał istnieć. Zgodnie z tym, co wiedział Halesworth, lord Ashford nie zrobił na razie nic, aby znajomości z Claudią nadać cielesno-zmysłowy wymiar. Oczywiście nie znaczyło to, że nic nie wisi w powietrzu. Claudia była dojrzałą kobietą, niezależną wdową, a nie strzeżoną przez rodziców dziewczyną. Varden mógłby ją odwiedzać każdego wieczora, ale... większość czasu spędzał w domu przy St. James Street 75. Akurat tego jednego Mark był absolutnie pewien i wiedział również, że mimo protestów Claudia przejęła się jego słowami o zamięłowaniu Vardena do hazardu.

Postanowił mieć oko na cnotliwą kuzyneczkę. Przydałby się jakiś informator, który z bliska śledziłby rozwój znajomości Claudii z Vardenem... Może podkupić jakiegoś lokaja, a potem zaproponować na jego miejsce swojego człowieka...? Raptem zdał sobie sprawę, że jest odpowiedni kandydat do tej misji - Jim Rooke, zatrudniony obecnie w magazynie jako pomocnik rachmistrza. Jego rodzice od dawna pracowali dla Haleswortha i kiedy syn również znalazł zatrudnienie, uznali to za wyróżnienie dla rodziny. Jim był ambitnym chłopakiem. O ile Mark nie mylił się co do niego, z ochotą zrobiliby wszystko, by dogodzić pracodawcy, jeżeli miałby obiecany awans i specjalne wynagrodzenie. Gdyby został lokajem lady Fairhaven, mógłby mieć ją na oku i wyławiać wszelkie plotki dotyczące jej i lorda Ashford. Tak, właśnie tego trzeba było Markowi Halesworthowi - szpiega w domostwie Claudii.

### ***Rozdział piąty***

W połowie lata dla każdego, kto miał oczy otwarte, stało się jasne, że lord Ashford poświęca równie dużo czasu pogoni za lady Fairhaven, co grze w czerwone i czarne. Słowo „pogoń” nie było

chyba najwłaściwsze, ponieważ Claudia nigdzie nie uciekała. Plotkarze jednomyślnie twierdzili, że gdyby Vardenowi udało się ją „dogonić” byłoby to dla obojga znakomite rozwiązanie. Lady Fairhaven miała dość pieniędzy, żeby wyciągnąć lorda Ashford i jego rodzinę z opresji; zapewne nawet nie dostrzegłaby tego wydatku. Natomiast Tony Varden był bardzo przystojnym młodym mężczyzną. Młodszym od niej. Po doświadczeniach pierwszego małżeństwa teraz pewnie sama chciałaby zaznać wszelkich rozkoszy dostępnych dla mężatek.

Tony był świadom plotek. Wiedział, jak to wygląda: zdesperowany młody mężczyzna oczarowuje bogatą wdowę i poślubia ją, aby zdobyć jej pieniądze. Niestety, wiele w tym było prawdy. Już po pierwszej rozmowie poczuł, że pomiędzy nimi tworzy się coś trwalszego, jakaś naturalna więź wzajemnego zrozumienia. Wówczas przypomniał sobie o jej fortunie i świadomie użył swojego osobistego czaru, by wzmocnić tę więź. Nadal była to jednak tylko więź przyjaźni. Przynajmniej z jego strony. Lubił Claudię, podziwiał ją. Mogła postąpić jak wiele młodych kobiet zaślubionych starszym od siebie mężczyznom i znaleźć sobie kochanka. Zamiast tego obdarzyła miłością męża i uczyniła małżeństwo szczęśliwym.

Była przy tym bardzo piękna i nie wyglądała na osobę starszą od Tony’ego o pięć lat.

Nie miał pewności co do jej uczuć. Na pewno go polubiła, lecz kilka spojrzeń powiedziało mu, że może być większą od niego romantyczką. W zamian za fortunę mógł jej zaoferować własne towarzystwo, swą młodość i energię.. ale nie namiętą miłość. Podejrzewał, że w swym pierwszym małżeństwie również jej nie zaznała. W chwilach gdy patrzył w jej błyszczące oczy, nawet chciałby to zmienić, lecz sam przed sobą uczciwie musiał przyznać, że teraz był zdolny obdarzyć namiętą miłością tylko karty. Cóż, rzecz jasna, tak naprawdę wcale nie chodziło o karty, ale o to, co dzięki nim mógłby uczynić dla siebie i swojej rodziny. A mógłby postawić na nogi Ashford i sprawić, że śmierć Neda nie byłaby daremna.

Bliska znajomość z lady Fairhaven również mogła znacznie poprawić sytuację. I właśnie dlatego Tony Varden postanowił posunąć się krok dalej...

Tego wieczora na balu u Faradayów wpisał się do karnetu Claudii na dwa walce i zarezerwował sobie miejsce obok niej przy kolacji. Po pierwszym tańcu przytrzymał dłoń na jej biodrze dłużej niż zwykle. W zasadzie obejmował ją przez całą drogę z parkietu, a ona nie odsunęła się, nie odepchnęła ręki, nie wypowiedziała słowa protestu. Przekazał ją następnemu partnerowi i rozejrzał się za Joanną. Stała z rodzicami, jakby nie zamierzała wziąć udziału w zabawie.

- Nie tańczysz, Joanno? - zapytał.

- Ten taniec mam wolny, Tony - odparła łagodnym tonem. Nie chciała, aby dosłyszał w jej głosie jakąś nie wypowiedzianą prośbę. Zresztą Tony i tak pewnie nie zwróciłby na to uwagi. Interesowała go wyłącznie lady Fairhaven.

- Boże, ależ sztywniak z tego Haleswortha - mruknął, nie spuszczać oka z Claudii, wirującej na parkiecie w ramionach Marka.

- Z pewnością nie jest dobrym partnerem dla lady Fairhaven - zgodziła się Joanna, podziwiając pełne gracji ruchy rywalki. Claudia była piękną kobietą, drobnej budowy, o fantastycznej figurze, godnej uwiecznienia w kamieniu przez najlepszych rzeźbiarzy. Jej uroda również mogłaby zachwycić niejednego artystę. I nie tylko artystę. Nic dziwnego, że Tony był nią zainteresowany.

- Zdecydowanie nie jest to partner, którego bym jej polecał. Zarówno na parkiecie, jak i poza nim - mówił dalej Tony.

- Muszę wyznać, że nie wzięłam pod uwagę tej drugiej możliwości - stwierdziła zadowolona z obrotu, jaki przyjęła rozmowa. - Jak myślisz, czy zobaczymy tych dwoje przed ołtarzem? Czy to w ogóle możliwe? W końcu oboje by na tym zyskali. On położyłby rękę na fortunie, a jej syn, jeśli będzie go miała, odziedziczyłby tytuł hrabiego. Tylko że jemu chyba nie zależy na zdobyciu pieniędzy - dodała, jakby próbowała polemizować sama z sobą. - Od lat prowadzi interesy starego hrabiego i robi to bardzo udanie. Na własną korzyść.

Tony zmarszczył brwi. To prawda, Halesworth dorobił się bogactwa, jednak wszystko, co posiadał, było niczym w porównaniu z odziedziczoną przez Claudię fortuną. Poza tym jeśli był równie chciwy jak oziebły, w jego głowie mógł zrodzić się plan zdobycia ręki zamężnej wdowy. W tych okolicznościach on. Tony Varden,

odegrałby rolę szlachetnego rycerza idącego na ratunek nieszczęśliwej białogłowie. Bez dwóch zdań - Claudia zasługiwała na lepszego męża niż Mark Halesworth.

- Wątpię, żeby był w jej typie - powiedział Tony, spoglądając na Joannę z uśmiechem. - Szukając kandydata na drugiego męża, raczej nie będzie zwracać uwagi na jego smykałkę do interesów.

Joannie pękło serce. Niemal słyszała, jak rozsypuje się na tysiąc odłamków, ze stukotem uderzających o podłogę. Znała Tony'ego bardzo dobrze i wiedziała, co znaczy ten błysk w jego oku. Gdyby nie był Claudią żywo zainteresowany, w ogóle nie dostrzegłby obecności Haleswortha.

- Tony, ludzie mówią, że ta dama wpadła ci w oko. Każdy zauważył, jak dużo czasu jej poświęcasz. Czyżby którejś w końcu udało się podbić twoje serce? - zapytała starając się, żeby zabrzmiało to żartobliwie. Miała świadomość, że naraża się na ból, ale musiała wiedzieć.

- Plotki na pewno nie mówią o tym, że moje serce znalazło się w jej rękach.

- Nie mówią - przyznała Joanna. - Mówią za to wiele o tym, że straciłeś mnóstwo pieniędzy grając w karty i musisz ożenić się z lady Fairhaven, jeśli chcesz utrzymać Ashford. Czy to prawda. Tony?

Bała się odpowiedzi. Bała się, że usłyszy potwierdzenie najczarniejszych przeczuc, a jednak nie bacząc na własne cierpienie, w jakiś niepojęty dla niej sposób wołała, aby Tony się zakochał, niż utracił godność. Mogła znieść myśl, że odda serce innej kobiecie, ponieważ prawie straciła nadzieję, iż kiedykolwiek stanie się miłością jego życia, ale nie darowałaby sobie, gdyby Tony okazał się człowiekiem niegodnym jej szacunku. Nikt lepiej od niej nie znał jego słabości. Nie sądziła, aby przestał panować nad podstawowymi odruchami i zachował się na tyle cynicznie, że poślubiłby jakąkolwiek kobietę tylko dla jej pieniędzy. Dawny Tony na pewno by tego nie zrobił. Z drugiej strony śmierć ojca i brata odcisnęła na nim piętno, odmieniła go. Był dobrym żołnierzem, lecz zdecydowanie i odwaga kapitana Vardena, które ujawniały się na polu bitwy, nie na wiele mogły się przydać hrabiemu Ashford.

- Oczywiście, że nie! Zaskakujesz mnie, Joanno. Myślałem, iż nie słuchasz takich bredni. - Na jego twarzy pojawił się rumieniec. - Owszem, trochę pieniędzy przegrałem, ale fortuna kołem się toczy.

Teraz zaczynam mieć szczęście. A co się tyczy małżeństwa, nigdy nie poślubię kobiety, do której nic nie czuję. Tak się składa, że lubię lady Fairhaven, bardzo ją lubię, i jeśli poproszę ją o rękę, to tylko z powodu uczuć, jakie do niej żywię. Tylko.

Joanna wierzyła mu. Powiedział prawdę, no, prawie całą prawdę. Nie miała wątpliwości, że darzy lady Fairhaven cieplejszymi uczuciami - tu Tony nie minął się z prawdą. Zrobił to mówiąc o długach karcianych. Zdradził go rumieniec. A więc plotki nie kłamały... Rzeczywiście miał długi, duże długi. Tak duże, iż mógł z nich wyjść tylko poślubiając jakąś zamożną kobietę.

Przez moment Joanna wyobraziła sobie, że chwyta Vardena za rękę i mówi: „Tony, jeśli myślisz o małżeństwie, dzięki któremu uratujesz Ashford, dlaczego nie ożenisz się... ze mną?” Miała przywoity posag, mogła również spodziewać się spadku po babci, ale wszystko to było kroplą wobec morza fortuny lady Fairhaven. I na pewno nie starczyłoby na uratowanie Ashford.

Tony roześmiał się, wytrącając ją z ponurych myśli.

- Spójrz tylko na mnie, Jo. Stoję tu i bełkocę o moich problemach, zamiast poprosić cię do tańca. Chyba zanudziłem cię na śmierć. Dasz mi jeszcze jedną szansę?

- Niestety, lordzie Varden, to był mój jedyny wolny taniec. Obawiam się, że przegapiłeś swoją szansę - odparła Joanna, wpadając w ton napuszonej arystokratki. Z radością przyjęła powrót do żartobliwego stylu, w którym zwykle rozmawiała ze starym przyjacielem.

- Zupełnie niezła reprimenda. Cóż, w takim razie proszę o wpisanie mnie do karnetu na któryś z walców na jutrzejszym balu u lady Pembroke.

- Tak zrobię, mój panie.

- Czy to młody Dracut ma twój następny taniec?

- Owszem.

- Waśnie nadchodzi. Chyba muszę przekazać cię w jego ręce, moja droga. Tak kipi energią, że czuję się przy nim wiekowym staruszkiem.

Joanna patrzyła na zbliżającego się Dracuta, z wysiłkiem powstrzymując się przed rzuceniem choćby jednego spojrzenia za Vardenem, który, rzecz jasna, skierował swe kroki do lady Fairhaven. Przywołała na twarz swój najwspanialszy uśmiech i w

duchu przygotowała się na spotkanie z nachalnym młodzieńcem, będącym jej następnym partnerem.

Tony rozmyślnie wpisał się do karnetu Claudii na szybki taniec ludowy. W sali balowej było bardzo ciepło, więc po żywiołowym tańcu lady Fairhaven powinna bez sprzeciwu zaakceptować propozycję udania się na poszukiwanie otwartego balkonu.

Nie pomylił się w swych rachubach. Claudia zaróżowiła się na twarzy i po skończonym tańcu natychmiast zrobiła użytek z wachlarza.

- Ależ dzisiaj jest gorąco - powiedział, jakby dopiero przed chwilą zauważył ten fakt. - Może odetchniemy świeżym powietrzem?

Claudia zerknęła na niego i czym prędzej spuściła wzrok, kiwając głową na znak zgody. W sali rzeczywiście było gorąco, ale pary na ogół szukały balkonu nie po to, by uciec od żaru, lecz żeby jeszcze bardziej podgrzać atmosferę. Do tej pory Tony zachowywał się bardzo powściągliwie i ograniczał fizyczne kontakty do lekkiego uścisku ręki lub delikatnego objęcia w talii. Biorąc pod uwagę, że była wdową, a nie jakimś podlotkiem, jego zachowanie należało uznać za wyjątkowo subtelne. Jednak wszystko wskazywało na to, że sprawa ulegną zmianie.

Wychodząc na balkon, Tony zostawił drzwi otwarte i przez kilka minut, oparty plecami o balustradę, obserwował pary wirujące na parkiecie. Claudia była zawiedziona. Może naprawdę chciał tylko zażyć świeżego powietrza?

Nagle oderwał się od balkonowej poręczy i przymknął drzwi do połowy szerokości.

- Moja droga, przez chwilę miałem nadzieję, że pozwolisz, bym mówił ci po imieniu - powiedział, przysuwając się na odległość wyciągniętej dłoni.

- Nie jestem pewna, mój panie, czy byłoby to właściwe. Przecież prawie wcale się nie znamy.

- Doskonale. W takim razie muszę ci zdradzić, że nie zamierzam opuścić tego balkonu, zanim nie poznamy się bliżej.

Pochwyił jej dłonie i przyciągnął ją do siebie. Głową sięgała Mu zaledwie do piersi. Była tak drobna, że mimo różnicy wieku poczuł pragnienie zaopiekowania się nią. Położył palec na podbródku lady Fairhaven i uniósł jej głowę, by spojrzała mu w oczy. Claudia

wyzwoliła się, ale ruch był przesadnie gwałtowny. Krzyknęła z bólu.

- Co się stało? - spytał zaskoczony. Czyżby ją przestraszył?

- Mój kolczyk. Zahaczył o coś.

Tony pochylił się i mrużąc oczy obejrzał winowajcę. Kolczyk zaczepił się o kosmyk włosów.

- Nie ruszaj się - powiedział z uśmiechem.

Operacja uwalniania mogła się udać tylko pod warunkiem, że Tony nachylił się bardzo, bardzo nisko. Jego ciepły oddech muskał wrażliwą skórę na karku Claudii, wywołując łagodne, przyjemne dreszcze. Zaraz potem poczuła nieco silniejszy nacisk na płatek ucha i operacja była zakończona. Lord Ashford mógł już powiedzieć, że niesforny kolczyk wisi tak, jak powinien, ale nie zrobił tego. Nie odsunął się od lady Fairhaven, nie wyplątał palców z jej włosów.

- Teraz ja się zamotałem - rzekł, trącając palcami jasne loki. Claudia zadrżała. - Chyba nie jest ci zimno, moja pani?

- Nie, milordzie... Tony. Nie jest mi zimno.

- Ale drżysz... Co wywołuje te dreszcze? Czyżby coś takiego? - zapytał, biorąc ją w ramiona i delikatnie całując w usta.

Wargi lady Fairhaven rozchyliły się, sprawiając, że pocałunek stał się namiętny, nasycony nieoczekiwaną rozkoszą.

Tony pierwszy oderwał usta i zapytał:

- Może chcesz już wrócić do środka, Claudio?

- Jeszcze nie, Tony.

Tym razem to ona uniosła ramiona i przyciągnęła jego głowę. Ten pocałunek nie przypominał już ostrożnego sondowania, był długi i głęboki, a kiedy Claudia poczuła, że Anthony Varden delikatnie wodzi kciukiem po jej piersi, miała wrażenie, że cała mięknie i rozpuszcza się od środka, jakby w jej ciele zapłonął żywy ogień.

Kiedy ostatecznie oderwali się od siebie, roześmiała się nieco roztrzęsionym głosem i zaczęła poprawiać Vardenowi krawat.

- Cóż, hmmm, moja pani, ty również jesteś nieco... potargana. Claudia szybko przesunęła dłońmi po włosach.

- Sukni też by się przydało - powiedział Tony i z szelmowskim błyskiem w oku natychmiast dodał: - Zaczekaj, ja to zrobię.

Jednym ruchem, znamionującym wielką wprawę, poprawił ułożenie stanika sukni wieczorowej.

- Claudio, chciałbym, abyś wiedziała, że nie mam w zwyczaju wymykać się na balkon i napastować tam młodych kobiet.



- A starsze kobiety można napastować. Czy tak, mój panie? - zapytała żartobliwie. Tony oblał się rumieńcem.

- Szczerze mówiąc, Claudio, nawet przez myśl mi nie przeszło, nigdy, ale to nigdy, że jesteś ode mnie starsza. Chociaż oczywiście wiem, że jest między nami różnica roku czy dwóch lat.

- Pięciu lat.

- Rok czy pięć lat to bez znaczenia, moja droga. Wcale nie wyglądasz na...

- Trzydzieści cztery lata. Mam trzydzieści cztery lata. Tony, a ty masz dwadzieścia dziewięć.

- Wiek się nie liczy, gdy ludzi łączy prawdziwe uczucie. Naprawdę przejmujesz się tym, co pomyślą inni?

- Tym, co powiedzą o różnicy wieku, wcale. - Po krótkim wahaniu dokończyła: - Jest jednak jeszcze inna plotka.

- Wiem, co masz na myśli - odparł Anthony Varden. Spoważniał. - Podobno jestem desperatem; odziedziczyłem zrujnowaną posiadłość i zagałęm na ciebie parol, bo marzy mi się twoje bogactwo.

- Tak. To właśnie miałam na myśli.

- Czy uważasz, że to coś więcej niż głupia plotka? Odpowiedz mi, Claudio.

- Tony, jestem bardzo bogatą wdową.

- Nie zamierzam udawać, że twoja fortuna nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Orientujesz się, w jakiej sytuacji znalazła się moja rodzina. Rzecz w tym, że aktualnie oprócz ciebie są do wzięcia jeszcze dwie inne wdowy. Gdyby interesowały mnie tylko pieniądze, rozsiewałbym swój urok na prawo i lewo, żeby sprawdzić, którą pierwszą uda mi się upolować. Tymczasem prawda jest inna. Zainteresowałem się tobą, moja pani, bo odniosłem wrażenie, że łączą nas wyjątkowe, jedyne w swoim rodzaju więzi wzajemnej sympatii.

Słowa „moja pani” nie były w jego ustach zwykłym zwrotem grzecznościowym. Wypowiedział je tkliwie, omal pieszczotliwie, jakby Claudia naprawdę była jego panią.

- Ja również odniosłem podobne wrażenie. Tony. Oboje wiemy, co znaczy stracić kogoś, kogo kochaliśmy. I chociaż nie jesteś teraz tak młody jak ja, gdy wychodziłam za mąż, to przypominasz mi mnie samą z tamtych czasów. Kogoś zbyt wczesnie obarczonego olbrzymią odpowiedzialnością.

- Trudno chyba porównywać moje dwadzieścia dziewięć lat z twoimi siedemnastoma. Nie jestem małym chłopcem - powiedział urażonym tonem. - Jestem weteranem wojennym.

- Nie chciałam cię obrazić. Tony. Nie wiem, czy potrafię to lepiej wyjaśnić.

Mogła wytłumaczyć, o co jej chodzi, ale obawiała się, że Anthony Varden wołałby tych wyjaśnień nie słyszeć. Wyczuła, iż część jego męskiej duszy wciąż jeszcze ma siedemnaście lat, dojrzała w nim beztroskiego chłopaka, marzącego o wolności i sławie, którą zdobędzie na bitewnym polu. Tony był młodszym synem i zawsze znajdował się jakby w stanie zawieszenia pomiędzy niebem swych marzeń a twardą ziemią obowiązków, nakazów i ograniczeń. Za nic i za nikogo nie musiał być odpowiedzialny, jedynie za siebie.

- Bardzo mi na tobie zależy, Claudio. Chciałbym...

- Mnie również zależy na tobie. Tony - przerwała mu lady Fairhaven. - I jesteś nieprawdopodobnie atrakcyjnym mężczyzną. Ale czy moglibyśmy na razie zostawić sprawę takimi, jakie są w tej chwili?

- Pamiętaj tylko, że moje intencje są szczerze.

- Będę pamiętać, mój panie - powiedziała łagodnie. Jeszcze chwila, a oświadczyłyby się. Powstrzymała go, ponieważ się obawiała, że odpowie „tak”, zanim Varden skończy mówić. Pragnęła go, rozpałała w niej żądzę, o jakiej do niedawna nawet nie śniła. Zakochała się w nim bez pamięci, lecz nie była jeszcze gotowa oddać swego życia w jego ręce. Najpierw musiała wyjaśnić, jak silnym magnesem jest dla niego hazard.

### ***Rozdział szósty***

Mark Halesworth zobaczył, jak wychodzą na balkon, i kompletnie zapomniał o partnerce. Co chwila zerkał jej przez ramię w kierunku drzwi balkonowych, a kiedy Tony je przymknął, konwulsyjnie zacisnął rękę na biodrze swojej damy. Otrzeźwił go dopiero okrzyk bólu.

- Proszę wybaczyć, panno Hali. Zamyśliłem się. Kiedy Claudia i Tony wrócili na salę, nie wyglądali jak para, która w chłodnym powietrzu ostudziła miłosny zapał. Halesworth doszedł do wniosku, że czas przedsięwziąć stanowcze kroki.

Wieczorem następnego dnia wyjątkowo opuścił biuro razem z ostatnim pracownikiem. Zawsze zostawał dłużej, aby przejrzeć dokumenty. Wprawdzie odziedziczywszy tytuł hrabiego zatrudnił na swoje miejsce nowego dyrektora, ale nie potrafił przekazać kontroli w obce ręce. Zjawiał się w biurze dwa lub trzy razy w tygodniu i często wychodził dopiero około dziewiątej. Obok gabinetu miał nawet ciasną, lecz dobrze zaopatrzoną garderobę, mógł więc szybko się przebrać i nie wracając do domu, pójść Prosto na bal lub do teatru.

Tego wieczora Mark Halesworth zrobił jeszcze jedną niezwykłą rzecz. Skierował się do „Korony”, niewielkiego pubu położonego kilka przecznic od biura. Dotarłszy na miejsce, wybrał stolik w najciemniejszym kącie i obejrzał sobie gości stojących przy barze. Po chwili podeszła do niego kelnerka. Zamówił piwo, a także kieliszek wódki dla jednego z młodych mężczyzn.

Kiedy ten odwrócił się, aby podziękować, Mark przywołał go do stolika.

- Wasza lordowska mość, to pan? Dziękuję za poczęstunek, mój panie.

- Chodź tutaj, Jim. Siadaj.

Młodzieniec wyglądał na oszołomionego propozycją.

- Ależ nie, nie! Nie mógłbym tego zrobić, milordzie.

- A jednak nalegam - rzekł Mark tonem, którego nie powinien ignorować żaden z jego podwładnych.

- Dziękuję, sir - wymamrotał Jim, zajmując miejsce obok pryncypała.

- Jak długo u mnie pracujesz, Jim?

Chłopak poczuł, jak krew napływa mu do głowy, a serce zaczyna walić, jakby chciało wyrwać się na wolność. Pracował od niedawna i wciąż zajmował najniższy szczebel w hierarchii firmy. Zdawał sobie sprawę, że jego kariera może się zakończyć w każdej chwili. Nie ustrzegł się błędów. Może lord Fairhaven postawił mu drinka tylko po to, aby nieco osłodzić gorycz zwolnienia z pracy?

- Zaledwie siedem miesięcy, sir.

- I jesteś zadowolony z zajmowanej pozycji?

- Och, tak, mój panie!

- Mimo że stanowisko asystenta rachmistrza nie jest zbyt popłatne?

- Nie, mój panie. To znaczy, tak, sir, jestem zadowolony. Ale chyba nie będę asystentem przez całe życie - dodał śmieiej.

- Jak zrozumiałem, twoi rodzice byli u kogoś na służbie?

Jim był zaskoczony. Nie przypuszczał, że lord Fairhaven jest typem człowieka, który interesuje się pochodzeniem swych najmizerniejszych pracowników.

- Cóż, to prawda, mój panie. Pracowali dla lorda i lady Summers.

- Znamienita rodzina. Tak więc rodzice posłali cię do szkoły?

- Nie chcieli, żebym zarabiał na życie w taki sam sposób jak i oni. Pragnęli, bym robił coś więcej.

- No i jesteś w Halesworth Limited.

- Tak, mój panie. Mam nadzieję, że zostanę tutaj jeszcze długo. Dlaczego by tego nie powiedzieć? - pomyślał chłopak. Nie mogło mu to zaszkodzić, jeżeli miał otrzymać zwolnienie, a mogło pomóc, gdyby jednak miał w firmie pozostać.

- Ja również żywię taką nadzieję. W zasadzie mam dla ciebie propozycję. Jeśli ją przyjmiesz, czeka cię awans.

Jim przełknął olbrzymi łyk piwa, które przyniósł ze sobą. A więc nie będzie zwolniony? Mało tego, będzie awansowany? Tak szybko?

- Z ochotą zrobię wszystko co w mojej mocy, aby pana zadowolić, milordzie.

- Grzeczny chłopiec - powiedział Halesworth z uśmiechem. Jimowi ulżyło. Pod wpływem piwa jeszcze bardziej się odprężył. Do tej pory uważał lorda Fairhavena za twardego człowieka interesów. Może wszyscy mylili się co do niego? Może jego szorstkość była jedynie...

- Nie będziesz już pracować w magazynie.

Jim znowu przeżył chwilę zwątpienia. Najwyraźniej lord Fairhaven postanowił zrobić mu okrutny żart. Pozwolił wyobrazić sobie świetlaną przyszłość, aby teraz zrównać go z ziemią.

- Oczywiście tylko tymczasowo - kontynuował Halesworth. - Kiedy do nas wrócisz, awansuję cię na stanowisko starszego rachmistrza.

- Nie rozumiem, sir.

- Nadal będziesz moim pracownikiem, Jim, ale raczej nie... bezpośrednio. Chcę, żebyś zatrudnił się jako lokaj u lady Fairhaven.

- U pańskiej bogatej, owdowiałej kuzynki?

Chłopak zdał sobie sprawę, co mówi, i szybko wybełkotał przeprosiny.

- Nic się nie stało. Ona faktycznie jest bogatą wdową i właśnie dlatego potrzebuję kogoś, kto miałby na nią oko. Mój kuzyn bardzo o nią dbał, a ja staram się robić to samo. Wraz z moją matką stanowi dla mnie najbliższą rodzinę. Rzecz w tym, że

spędza wiele czasu w towarzystwie bardzo nieodpowiedniego, powiedzmy to wprost, niebezpiecznego młodego mężczyzny. Chcę mieć wśród jej służby kogoś, komu mogę zaufać. Kogoś, kto będzie obserwować jej związek z hrabią Ashford i ze szczegółami zda mi relację z rozwoju wypadków.

- Hrabią Ashford? Tym bankrutem?

- Jak słyszę, dotarły do ciebie wieści na jego temat.

- Mój panie, rodzice wprawdzie wycofali się ze służby, ale nadal odwiedzają ich przyjaciele i przynoszą nowiny z całego miasta. Wiem, że hrabia odziedziczył tytuł stosunkowo niedawno.

- Odziedziczył też zrujnowaną posiadłość. Obawiam się, że zamarzyła mu się fortuna lady Fairhaven. Jest zdesperowany, ponieważ jak ostatni głupiec próbował wygrać pieniądze w karty. Przypuszczam, że ma astronomiczne długi. Czy teraz rozumiesz, dlaczego niepokoję się o przyszłość mojej kuzynki?

- Ależ oczywiście, mój panie - odparł Jim, w duchu szczerze współczując lady Fairhaven.

- Gdybyś znalazł się blisko niej, pośród służby, mógłbyś informować mnie o posunięciach lorda Ashford. Mógłbyś nawet się zorientować, czy spędza u niej noce. Rozumiesz?

- Tak, milordzie. Potrzebuje pan kogoś w rodzaju domowego szpiega.

- Dokładnie to miałem na myśli. Chłopak nagle spochmurniał.

- Nie podoba mi się - powiedział z wahaniem - że miałbym ingerować w czyjeś życie prywatne.

- Ja także nie jestem tym zachwycony, ale robimy to dla jej dobra, czyż nie? Pragnę tylko uchronić ją przed popełnieniem fatalnego błędu. Gdyby przyszło *-jej do* głowy związać się z tym człowiekiem, straciłaby całą swoją fortunę, a na dodatek miałaby złamane serce.

- Podziwiam pańską troskę - przyznał Jim.

- Wyśmienicie nadajesz się do tego zadania. Młodzieniec, którego rodzice mają za sobą wieloletnią służbę w najlepszych domach, pochwyli w lot wszystkie zasady pracy lokaja. Poza tym dostrzegam w tobie utalentowanego urzędnika, którego nagrodzę awansem i

podwyżką. Chyba nie pozwolisz, by taka szansa przeszła ci koło nosa?

I rzeczywiście, chłopak nie pozwolił. Zgodził się, że w najbliższych dniach złoży wypowiedzenie w firmie i zatrudni się u lady Fairhaven. Oszłomił go nieoczekiwany uśmiech fortuny. Idąc do domu myślał, jakim to szczęśliwym zbiegiem okoliczności był fakt, że w domu lady Fairhaven zwolniło się miejsce lokaja akurat w momencie, gdy potrzebował tego lord Halesworth. Nie wiedział, iż postarał się o to sam zainteresowany, który następnego ranka wręczył lokajowi lady Fairhaven pokaźną sumkę jako rekompensatę za odejście ze stanowiska.

### *Rozdział siódmy*

Tony uniósł swoje koszule i spojrzał na ukrytą w szufladzie skórzaną torbę, w której przechowywał sto gwinei. Poprzysiągł, że nie ruszy tych pieniędzy, choćby nie miał już ani pensa na grę przy zielonym stoliku. Te pieniądze stanowiły koronny dowód, że to nie karty, lecz on sam sprawował nad sobą kontrolę. Przeniósł wzrok na koszule i gorzko się uśmiechnął. Mógłby jedną z nich sprzedać, jak zrobił to młody Lindsay. Przynajmniej nie byłaby to jego ostatnia i nie zdzierałby jej z pleców.

Nie istniał żaden sposób, by zdobyć jakieś pieniądze z banku. Tymczasem zdążył już wydać wszystko, co uzyskał z wynajmu domu, a była to jak na hrabiego śmiesznie mała suma. Tego wieczora Tony nie był pewien, czy przeklinać starszego brata, czy gratulować mu przezorności. Ned tak rozdysponował resztki majątku, że największy odsetek skromnych przychodów wędrował z powrotem do Ashford. Oczywiście, będąc hrabią mógł zmienić ten układ, ale wówczas matka i Farley dowiedzieliby się, że sytuacja jest prawie beznadziejna. Wolał tego unikać, a w takim wypadku zostawało tylko jedno rozwiązanie.

Wyjął torbę z szuflady i odliczył dwadzieścia pięć gwinei. Przez kilka ostatnich nocy karty były tak złośliwe i nieprzychylne, że miał prawo spodziewać się odmiany. Każda zła passa musi się kiedyś skończyć. Weźmie tylko dwadzieścia pięć. Siedemdziesiąt pięć nadal pozostanie nie tknięte. Dzisiaj wieczorem wygra, na pewno wygra. I będzie wygrywał jutro, pojutrze, przez cały tydzień... To prawda, że

przy stoliku można stracić fortunę, ale jest też druga strona medalu - można fortunę wygrać. Anthony Varden nie widział przeszkód, by to właśnie jemu udało się spełnić marzenie każdego hazardzisty i odkryć tę drugą stronę.

Tego wieczora rzeczywiście miał szczęście. Do domu wrócił dopiero nad ranem, niosąc w kieszeni sto trzydzieści gwinei. Dwadzieścia pięć powędrowało z powrotem do torby, resztę przeznaczył na grę następnego wieczora. Jednak szczęście, które zdawało się doń szeroko uśmiechać, opuściło go bardzo szybko. Przegrał wszystko, a na dodatek podpisał weksle na pięćdziesiąt trzy gwinee. Cóż, nie było jeszcze tak źle - w terbie zostało czterdzieści siedem gwinei. Tylko że musiał zabrać kolejne dwadzieścia pięć, aby się odegrać...

Pod koniec tygodnia skórzana torba leżała na dnie szuflady niczym balon, z którego uszło powietrze. W środku znajdowało się Już tylko siedem gwinei. Anthony Varden zaczynał się czuć jak zwierzę w potrzasku. Kilku przyjaciół naciągnął na dwadzieścia pięć gwinei, narobił długów u dostawców w całym mieście.

Mógł poprosić o pożyczkę Claudię, ale wolał tego uniknąć. Ich przyjaźń znacznie się pogłębiła, powoli przeobrażając się w związek bardziej intymny. Ponownie ośmielił się ją pocałować i namiętna odpowiedź Claudii pozwoliła mu wysnuć wniosek, że zaznały wiele szczęścia u jej boku. Wszystkie znaki wskazywały, że młoda wdowa zakochała się w nim.

Gdyby jej nie lubił, gdyby nie pociągała go jej niezwykła uroda, gdyby jej nie pożądał - byłby jeszcze jednym przebiegłym, wyrachowanym, zachłannym łowcą fortun. Ale naprawdę bardzo ją lubił i nie miał najmniejszych wątpliwości, że byłby dla niej dobrym mężem. Może nawet dałby jej dziecko, czego nie zrobił stary Fairhaven. Nie, wcale nie czuł się winny, że poślubiając lady Fairhaven, uzyska dostęp do jej pieniędzy i uratuje Ashford. Nie byłoby to ujmą na honorze. Z pewnością byłaby nią prośba anulowania długów. Nie poniży się do tego stopnia. Lady Fairhaven nie mogła wiedzieć, w jakim stanie znajdują się jego osobiste finanse, i tak powinno pozostać.

Jeżeli w ciągu kilku następnych tygodni oświadczy się i uzyska pozytywną odpowiedź, nigdy więcej nie odwiedzi domu przy St.

James 75. Zaczął grać, zanim poznał Claudię, kiedy wydawało mu się, że jedynym sposobem ocalenia Ashford jest wygrana w karty. Po zaręczynach hazard zniknie z jego życia raz na zawsze. Pozostał tylko jeden problem: jak przekonać o tym Claudię?

Była dopiero pierwsza po południu, dość wczesna pora na wizytę, ale Tony pragnął uporządkować swoje sprawy tak szybko, jak to tylko możliwe. Starannie dobrał wszystkie elementy stroju, rozczesał niesforne loki, nadając fryzurze pozory ładu, i skierował kroki do rezydencji lady Fairhaven.

Drzwi otworzył mu nowy lokaj, smukły młodzieniec, który nie zdążył jeszcze nabyć wyniosłego stylu miejskich służących.

- James, zanieś pani mój bilet wizytowy i zapytaj, czy mnie przyjmie.

- Tak jest, mój panie.

Znowu przyszedł - pomyślał Jim. Pracował u lady Fairhaven od tygodnia, ale przyzwyczaił się do odwiedzin lorda Ashford, który bywał u jego pracodawcy niemal codziennie. Często odprowadzał ją do domu i zostawał nieco dłużej niż na kurtuazyjną filiżankę herbaty. Kiedy zaś wychodził, policzki gospodyni były zaróżowione, usta się uśmiechały, a oczy z pewnością nie zawdzięczały swego blasku kieliszкови brandy na pożegnanie.

Podając lady Fairhaven bilet wizytowy, dojrzał, jak rozjaśnia się jej twarz.

- Dziękuję, James - powiedziała ciepło.

Miła z niej kobieta - pomyślał Jim, otwierając przed nią drzwi.

Dbała o służbę. Nawet o służących, którzy pracowali dla niej od niedawna. Przez kilka pierwszych dni miał wyrzuty sumienia, że przyszedł ją szpiegować. W miarę jak lepiej poznawał lady Fairhaven, darzył ją coraz większym szacunkiem i z wolna zaczął myśleć o sobie nie jako o szpiegu, lecz zakonspirowanym opiekunie. Przecież taka była intencja sir Haleswortha - uchronić kuzynkę przed zamotaniem w sieć rozpiętą przez tego przystojnego łowcę fortun, lorda Ashford. A jeśli wierzyć plotkom, był on obecnie zadłużony jak nigdy dotąd.

Jim poprowadził lady Fairhaven do salonu i otworzył przed nią drzwi. Lord Ashford podniósł się z kanapy, podszedł do gospodyni i chwycił jej dłoń... Lokaj zamknął drzwi i wrócił na swój posterunek w głównym hallu.



- Tony, cóż za miła niespodzianka! Myślałam, że zobaczę cię dopiero wieczorem.

Varden pocałował Claudię w czoło i poprowadził ją do sofy, ale nie usiadł. Stojąc powiedział:

- Niczego nie będę owijał w bawełnę. Chciałbym cię o coś zapytać, Claudio. O coś bardzo ważnego.

Serce Claudii zabiło żywiej. Czyżby zamierzał się oświadczyć? Doskonale zdawała sobie sprawę, że od kilku tygodni właśnie do tego zmierzali. Wyobrażała sobie tę chwilę, rozważała wszelkie możliwe warianty przyszłości i zawczasu przygotowała odpowiedź. Nie oglądała się na plotki i różnicę wieku. Wiedziała, że nie jest mu obojętna, poza tym była pewna własnych uczuć. Kochała go. Pożądała go i on jej pożądał. Wiele małżeństw miało znaczne bardziej kruche fundamenty.

- Orientujesz się w mojej sytuacji, Claudio. Opowiadałem ci, Jak wielka odpowiedzialność spadła na moje barki po śmierci brata.

Przytaknęła.

- Kiedy przyjechałem do Londynu po raz pierwszy, przyszło mi do głowy... Teraz widzę, jak naiwny byłem, ale wtedy wydawało „u się to znakomitym pomysłem... Zacząłem grać na pieniądze. Nigdy przedtem na karty nawet nie spojrzałem, nie wiem, dlaczego nagle tak mi się to spodobało. Sądziłem, że uratuję w ten sposób

Ashford. Nie zamierzam jednak szukać wymówek. Po prostu chcę ci powiedzieć, że kończę z tym raz na zawsze. Claudia się uśmiechnęła.

- Cieszę się, Tony. Dotarły do mnie plotki, ale nie traktowałam ich poważnie.

- Tak, no cóż... - Hrabia przestąpił z nogi na nogę, spojrzał na spinki do mankietów. Wyraźnie szukał słów. Najpewniej wyznanie to było wstępem do propozycji małżeństwa - pomyślała lady Fairhaven.

- Jednak zanim zerwę z hazardem - kontynuował Varden - muszę spłacić długi. Claudio, chciałbym prosić cię o pożyczkę sześciuset funtów... gwinei.

Claudia z trudem ukryła rozczarowanie. Owszem, spodziewała się usłyszeć z jego ust prośbę, tylko że nie o pieniądze, lecz o rękę. Tak bardzo pragnęła zarzucić mu ramiona na szyję, przytulić się doń, znaleźć się w jego objęciach. Marzyła o chwili, kiedy ponownie

będzie mogła z ulgą odetchnąć i spokojnie oddać swoje życie w opiekuńcze dłonie męża.

W porę przypominała sobie, że Tony nie jest podobny do Justina. A ona nie jest już siedemnastoletnią dziewczyną. Stał przed nią mężczyzna z duszą nastoletniego chłopaka, który w końcu zdobył się na heroiczny wysiłek i podjął próbę wejścia do świata dorosłych. To dobrze. Kiedy będzie się oświadczał, a nie miała wątpliwości, że zrobi to prędzej czy później, stanie przed nią jako w pełni dojrzały mężczyzna.

- Tony, ile tak naprawdę potrzebujesz? - spytała spokojnie.

- Sześćset gwinei pokryje wszystkie zobowiązania.

- W porządku. Jeszcze dziś po południu pošlę kogoś do banku i otrzymasz te pieniądze.

- Claudio, nie masz pojęcia, jak bardzo jest mi wstyd, że wykorzystuję naszą znajomość w taki sposób.

- Bzdura. Jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie? Tobie zależy na mnie, a mnie zależy na tobie. Dobrzy przyjaciele powinni sobie pomagać. - Nie chciała, żeby zawstydzenie i upokorzenie położyły się cieniem na ich związku. - Nie mówmy już o tym. Wybierasz się dzisiaj na przyjęcie do lorda Rotha?

- Wpadnę tam na chwilę. Potem muszę jeszcze pójść na St. James Street i spłacić długi.

- Oczywiście - mruknęła Claudia.

- Jutro zjemy razem kolację i zatańczymy niejednego walca w Devonshire House.

- Wspaniale. Już się cieszę na myśl o tym.

- Muszę iść, Claudio. Dziękuję ci, moja pani. Z całego serca dziękuję za szczodry dowód twojej przyjaźni.

I jedno spojrzenie Anthony'ego Vardena z nawiązką wynagrodziło jej wszelkie rozczarowania.

### ***Rozdział ósmy***

Jim stał na rogu ulicy, czekając na dwukołowy kabriolet, który zgodnie z umową miał go stąd zabrać. Znajdował się wprawdzie kilka przecznic od domu, ale nerwowo przestępował z nogi na nogę, ponieważ w każdej chwili mógł go zauważyć ktoś ze służby. Odetchnął z ulgą, widząc nadjeżdżający powóz. Woźnica zatrzymał

konie i drzwi kabrioletu otworzyły się od środka.

- Dobry wieczór, wasza lordowska mość - powiedział, zajmując miejsce obok swego mocodawcy.

- Dobry wieczór, Jim. Masz dla mnie coś nowego? Chłopak poczuł się niezwykle ważny. Skinął głową i odparł:

- W rzeczy samej, mój panie.

Mark Halesworth zmrużył oczy i obrzucił go tak drapieżnym spojrzeniem, że Jim poczuł się jak mysz zamknięta w jednej klatce z głodnym kotem. Szybko jednak otrząsnął się z odętwienia i przypomniał sobie, na czym polega jego rola. Miał przekazywać członkowi rodziny lady Fairhaven informacje, dzięki którym będzie można ustrzec ją przed popełnieniem strasznego, nieodwracalnego błędu.

- No więc? - dopytywał się Halesworth.

- Wczoraj, tuż po południu, lord Ashford złożył wizytę lady Fairhaven. Oczywiście nie ośmieliłem się podsłuchiwać, ale

William, starszy lokaj, powiedział mi, że pani posłała go do banku po sześćset gwinei, którą to sumę bezzwłocznie miał dostarczyć lordowi Ashford. Jestem pewien, że lord Ashford przybył do lady Fairhaven prosić o pieniądze.

- Nareszcie wyszło szydło z worka - stwierdził Halesworth z wyraźną satysfakcją. - Przeczuwałem, że moja kuzynka jest w niebezpieczeństwie. Jim, naprawdę z niechęcią myślałem o najęciu szpiega, ale musiałem się upewnić, czy moje podejrzenia są uzasadnione. Teraz wiem, że są.

- Nie mam już żadnych obiekcji przed wykonywaniem tego zadania - powiedział Jim po krótkim wahaniu. - Zależy mi na pomyślności lady Fairhaven.

Halesworth wydobyl z kieszeni gwineę.

- Oto premia za dobrą pracę, Jim. Znajdę sposób, aby właściwie spożytkować uzyskane przez ciebie informacje.

Polecil woźnicy zatrzymać się przed najbliższym skrzyżowaniem i wypuścił chłopaka z powozu. Do domu wrócił w dużo lepszym humorze niż w ostatnich dniach.

Tego wieczora Halesworth również miał być w Devonshire House. Wyszedł z biura nieco wcześniej, ponieważ chciał jeszcze wstąpić do swego klubu. Ostatnio nie bywał tutaj zbyt często, jednak tym razem

opłaciło się stracić kilka cennych minut. Wszyscy rozmawiali tylko o tym, jak to ostatniej nocy Tony Varden przegrał w czerwone i czarne prawie sześćset gwinei.

Cóż za szczęśliwy dzień - pomyślał Mark Halesworth. Najpierw ta wiadomość od Jima, a teraz to!

- Znasz Tony'ego - mówił z dumą jakiś znajomy Vardena. - Nawet okiem nie mrugnął. Z zimną krwią, jak to on, stale obstawiał czarne. Z początku nawet wygrał, niewiele, ale zawsze. Potem zaczął przegrywać - i nic! Mówię ci, kamienna twarz. Stracił pięćset siedemdziesiąt gwinei, za pozostałe trzydzieści postawił wszystkim obecnym szampana. Zupełnie jakby wygrał, a nie splukał się do czysta. Bóg jeden wie, skąd weźmie pieniądze, żeby ponownie zasiąść do kart.

- Chodzą plotki, że od pewnej nie tak starej wdowy - usłudnie podpowiedział inny bywalec klubu, nie zdając sobie sprawy, kto przed chwilą wszedł do salonu.

- Czyżbyś miał pan na myśli lady Fairhaven? - zapytał Mark lodowatym tonem.

- Eee... Nie, skądże! Oczywiście, że nie!

- To dobrze, bo każdy, kto spróbuje oczerniać imię mojej kuzynki, będzie miał ze mną do czynienia.

- Dobry Boże, Henry - powiedział towarzysz gapowicza, kiedy Mark skierował się do sąsiedniej sali - musisz bardziej uważać na to, co mówisz.

- Ale przecież wszyscy wiedzą - bronił się tamten - że Ashford zagiął na nią parol, a ona wcale przed nim nie ucieka. Mogę się założyć, że nie minie miesiąc, a już będą po ślubie.

- Jesteś nie na bieżąco. Henry. Już dwa tygodnie temu postawiłem na to funta, ale teraz postawiłbym drugiego na to, że po ostatnim wybryku lorda Ashford nasza wdówka dobrze się zastanowi, zanim odda mu rękę. Jeśli nie będzie ostrożna, Ashford przegra w karty całą jej fortunę.

Znalazłszy się w Devonshire House, Mark Halesworth natychmiast odszukał kuzynkę i zarezerwował sobie jeden z walców. Na początku tańczył z kilkoma młodymi damami. Toczył z nimi grzecznościowe rozmowy, ale przez cały czas wyglądał przybycia lorda Ashford.

Tymczasem przyszła pora na taniec z Claudią, a Tony'ego Vardena wciąż nie było. Bez wątpienia zabrakło mu odwagi, by spojrzeć lady Fairhaven w oczy. Mark rozgrzewał się tą myślą, wirując na parkiecie obok nieświadomej niczego kuzynki.

Kiedy umilkła muzyka, zaproponował Claudii krótki spacer po ogrodzie.

- Przyda ci się odrobina świeżego powietrza, moja droga - powiedział troskliwie.

Lady Fairhaven spojrzała jeszcze raz na salę balową i przyjęła jego ramię.

Nie chciał przedwcześnie zdradzać własnego zainteresowania kuzynką, toteż zadbał o to, by ani na moment nie zniknęli z oczu innych spacerujących par. Kiedy jednak posadził Claudię na ławeczce, upewnił się, że nikt nie usłyszy ich rozmowy.

- Claudio, niechętnie poruszam tę kwestię po raz kolejny, ale niepokoją mnie twoje układy z Ashfordem.

- Mark, sądziłam, że wyczerpaliśmy ten temat.

- Wiem, ale gdy rozmawialiśmy ostatnim razem, opierałem swoje wątpiwości na pogłoskach, które dotarły do mnie z drugiej lub trzeciej ręki. Widziałem, jak coraz bardziej interesujesz się tym człowiekiem, martwiłem się, ale milczałem. Teraz nie mogę dłużej przemykać oczu - stwierdził stanowczo. - W moim klubie aż dudni od plotek, jakoby Ashford przegrał w karty sześćset gwinei albo, żeby zachować ścisłość, pięćset osiemdziesiąt, gdyż pozostałe dwadzieścia wydał na drinki dla wszystkich.

Złowił uchem urwany jęk Claudii i uśmiechnął się w głębi duszy.

- Bukmacherzy przyjmują zakłady, czy lordowi Ashford uda się pozyskać rękę pewnej lady F. Serce mnie boli, że muszę to powiedzieć, ale jeśli nadal będziesz się widywać z Ashfordem, możesz spodziewać się jeszcze gorszych rezultatów. - Na moment zawiesił głos. - Zastanawiam się, gdzie udało mu się zdobyć tyle pieniędzy. Do tej pory nigdy nie zasiadał do stołu z taką sumą. Chyba nie podarowałaś mu sześciuset funtów, co, moja droga?

Claudia pomyślała, że nigdy nie czuła do Haleswortha większej nienawiści niż w tej chwili. Była całkowicie pewna, że nie przejmował się jej reputacją. Kierowała nim zazdrość o Tony'ego Vardena. Ta jego troska, zamartwianie się o jej szczęście... wszystko to było tylko na pokaz. Niemal słyszała ociekające jadem słowa:

„Teraz widzisz, że miałem rację. Jemu chodzi tylko o twoje pieniądze.” Brakowało mu tylko odwagi, żeby naprawdę je wypowiedzieć.

Była wściekła na Marka, lecz jednocześnie głęboko zraniona. Jak Tony mógł złamać obietnicę i spokojnie zasiąść do kart? Czyżby Mark miał rację? Czyżby plotki nie kłamały? Może i Anthony Varden naprawdę był tylko przebiegłym łowcą fortun i nałogowym hazardzistą? Czy oszukiwała samą siebie i widziała miłość tam, gdzie jej nie było? Zakochała się w tym mężczyźnie jak podłotek, jak dziewczyna, która po raz pierwszy wyrwała się spod opieki rodziców. Cóż, obojętne, jaka była prawda. Nie da satysfakcji tej zmił, Halesworthowi.

- Dałam mu te pieniądze. I nikomu nic do tego - powiedziała wyniośle. - To moje pieniądze i mogę z nimi robić, co mi się podoba.

- Na pewno dałaś mu je, żeby spłacił długi, a nie przepuścił w domu gry.

- Mark, jeśli daję komuś prezent, nie stawiam żadnych warunków. Nie miałam pojęcia, jak Tony zechce spożytkować taką sumę - skłamała.

- Ale teraz już wiesz. Chyba nie...

- Co „chyba nie”? Nie poślubię go? Zrobię to, jeśli poprosi mnie o rękę. A jeżeli nie poprosi - dodała butnie - możliwe, że sama mu się oświadczę. Widzisz, Tony i ja jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi.

- Przyjaźń nie może być podstawą do małżeństwa, Claudio.

- Jesteśmy więcej niż dobrymi przyjaciółmi. Mark, rozmawiasz z dorosłą kobietą. Mogę poślubić każdego mężczyznę, który mi się spodoba. Tak się składa, że podoba mi się Tony Varden.

- Sądziłem, że ty i Justin byliście ze sobą szczęśliwi.

- Oczywiście, że byliśmy. Równie dobrze mogło być inaczej. Siedemnastoletnia dziewczyna i czterdziestosiedmioletni mężczyzna to na oko niezbyt dobrana para. Tym razem to ja dokonam wyboru męża.

- Raczej go kupisz.

Miała ochotę zdzielić Haleswortha w tę promieniejącą zadowoleniem twarz, ale oparła się pokusie.

- Zamierzam wyjść za Tony’ego Vardena - powiedziała wstając z ławeczki - i możesz mi wierzyć, Mark, będę bardzo szczęśliwa u

boku młodszego męża. Jeśli tego nie pochwalasz, to już twoja sprawa. Nie potrzebuję dobrych rad, nawet gdy są dyktowane najszczerzszymi intencjami - stwierdziła sarkastycznie. - Jeżeli nie pogodzisz się z moją decyzją, nie musisz się wysilać na kurtuazyjne wizyty. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym wrócić na salę.

Przez cały wieczór uśmiechała się, beztrzesko gawędziła i tańczyła, starając się, by nikt po niej nie poznał, jak bardzo dotknęła ją nieobecność Tony'ego i przekazywane szeptem plotki. Z radością powitała koniec balu. Kiedy dotarła do domu, odesłała pokojówkę, rozebrała się i wsunęła pod chłodną kołdrę. Zanim zapadła w sen, zmoczyła łzami poduszkę. Naprawdę miała zamiar zrobić to, o czym dzisiaj poinformowała Marka. Była zdecydowana zostać żoną Anthony'ego Vardena w ten czy inny sposób. Jednak miała nadzieję poślubić człowieka, którym Tony mógł w przyszłości zostać. Wiedziała, że potrafił się zmienić. Gdyby tylko chciał...

Mark Halesworth wrócił do domu wściekły na siebie i resztę świata. Wydawało mu się, że umieszczenie szpiega w domu Claudii było mistrzowskim posunięciem. Zaiste, rewelacyjny pomysł! Claudia sama bez ogródek powiadomiła go, jak się sprawy mają. A kolejny doskonały pomysł również okazał się niewypałem. Owszem, chciał sprowokować kuzynkę do działania, ale na pewno nie do oświadczenia się lordowi Ashford! Uzyskana przez Jima informacja o tyle się przydała, że Claudia zdradziła swe uczucia i zamiary. Najwyraźniej była zdecydowana poślubić Vardena, nie oglądając się na to, że ma do czynienia z głupcem i hazardzistą. Ostatecznie Halesworth wysnuł z rozmowy jeden oczywisty wniosek: musiał przeszkodzić realizacji tych planów. I to jak najszybciej.

### ***Rozdział dziewiąty***

Tony miał zamiar zignorować plotki i mimo wszystko pójść na bal w Devonshire House. Zdawał sobie sprawę, iż Claudia spodziewa się zobaczyć go wśród gości i usłyszeć od niego coś na temat pogłosek. Powinien się tam pojawić. Jednak w ostatniej chwili rozmyślił się. Nie potrafił stanąć przed lady Fairhaven i spojrzeć jej w oczy. Nie po tym, jak przepuścił wszystkie otrzymane od niej pieniądze. Rozpaczliwie rozejrzał się po pokoju, szukając ratunku w otaczających go przedmiotach. Wybrał zapasową parę butów i złoty

zegarek, który niegdyś należał do ojca. Już miał dołączyć sygnet z herbem Ashford, ale zsuwając go z palca, przypomniał sobie dzień poprzedzający śmierć Neda.

Brat był tak osłabiony, że nie mógł zdjąć sygnetu. Sił starczyło mu tylko na uniesienie ręki i wyszeptanie: „Weź go. Tony. I tak już wkrótce należałby do ciebie.” Protestował, lecz Ned słabo się uśmiechnął i delikatnie przesunął dłonią po kręconych włosach młodszego brata. Po chwili ręka opadła na posłanie. Tony przycisnął do niej twarz, usiłując powstrzymać napływające do oczu łzy.

Zawiódł Neda. Strasznie go zawiódł, ale nie sprzeda rodowego sygnetu. Tego nie zrobi.

Za buty i zegarek zdobył wystarczająco dużo gotówki, by wrócić na St. James 75 i ponownie obstawić czarne. Kiedyś, dawno temu, zaczynał od czarnych. Poszczęściło mu się i od tamtej pory zawsze niezłomnie trwał po tej stronie stołu. Przynajmniej jednemu był w życiu wiemy.

Zaczął ostrożnie, od niewielkich stawek, nie ryzykując utraty ostatnich pieniędzy. Przegrał w trzech pierwszych rozdaniach, ale nadal miał kilka monet i mógł obstawić czwartą partię. Tym razem wygrał. Wygrywał też w następnych rozdaniach. Do chwili zamknięcia domu gry udało mu się odegrać prawie trzysta gwinei.

Powłócząc nogami, wrócił do swego mieszkania w nieco lepszym nastroju od tego, w którym je opuszczał kilka godzin wcześniej. Wyczerpany padł na łóżko i obudził się dopiero w południe następnego dnia.

Nie wybrał się do Claudii. Posłał jej bukiet kwiatów, obiecując, że zjawi się na dzisiejszym balu. Przy okazji prosił o zarezerwowanie dla niego walca. Kusilo go, by spłacić kilku wierzycieli, ale postanowił poczekać. Chciał pokazać Claudii pieniądze i poprosić o jeszcze jedną, ostatnią pożyczkę. Dodatkowe trzysta gwinei pozwoliłoby mu spłacić długi, a tym razem naprawdę był zdecydowany zlikwidować wszystkie zobowiązania - absolutnie wszystkie, co do jednego. Potem będzie mógł poprosić Claudię o rękę.

Na bal u Ferrarów przybył dość wcześnie, wzbudzając stosunkowo niewielką falę plotek. Oczywiście dla nikogo nie było już tajemnicą, że Anthony Varden wygrał minionej nocy dużą sumę. Nikt się nie dziwił widząc go na parkiecie, czarującego jak zawsze.



- Kiedy przegrywa, zachowuje się tak samo - powiedział lord Burleigh do gospodarza. - Nie znam nikogo, kto miałby w sobie tyle zimnej krwi.

Gdy w drzwiach sali stanęła Claudia, Tony natychmiast znalazł się przy niej. Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Z całą pewnością lady Fairhaven słyszała plotki na jego temat, jednak nie chciał wdawać się w wyjaśnienia na zatłoczonej sali balowej. Wytłumaczy wszystko w zaciszu jej salonu.

W milczeniu tańczyli walca. Tony starał się być urzekający, ale nie osiągnął wiele. Claudia przez cały czas się zastanawiała, czy Jej partner przyzna się do klęski przy zielonym stoliku.

Potem poproszono ją na kolację i siedziała już przy stole, gdy do sali weszli bardzo zajęci sobą Tony Varden i lady Joanna Barrand. Wiedziała, że są starymi przyjaciółmi, jeszcze z dzieciństwa. Z goryczą zdała sobie sprawę, że stanowią parę rówieśników. Czy miało to jakieś znaczenie? Tony nie odnosił się do niej inaczej niż do Joanny. Jedyny wyjątek stanowiły pocałunki. Claudia oceniła, że to znaczący wyjątek, ale nie poczuła się przez to pewniej.

Tony również nie czuł się najlepiej. W trakcie kolacji ze wszystkich sił starał się wyrzucić Claudię z myśli i skoncentrować na Joannie, lecz przychodziło mu to z ogromnym trudem, a przyjaciółka wcale nie ułatwiała mu zadania. Owszem, toczyła z nim miłą pogawędkę, jednak wyczuwał w jej głosie dziwny, niepokojący chłód. Zapewne słyszała, co mówiono o jego ostatnich wyczynach, i jak każdy widziała w nim łowcę fortun. Zależało mu na tym, by Joanna nie myślała o nim źle. Głównie przez wzgląd na przeszłość, kiedy ona, on i Ned stanowili zgraną trójkę. Wspomnienia te były mu tak drogie, że odczuwał potrzebę przekonania Joanny o czystości swych intencji, zapewnienia, iż wcale nie zależy mu na pieniądzach lady Fairhaven, tylko na niej samej.

Joanna była nieszczęśliwa od samego początku sezonu balowego albo przynajmniej od chwili, gdy stało się jasne, że Tony jest zainteresowany lady Fairhaven. Obserwowała ich, śledziła niemal każdy krok. Zadręczała się, wbijała ciemność we własne serce, ale nie potrafiła zamknąć oczu i zapomnieć o istnieniu Anthony'ego Vardena. Poza tym szukała dowodu, że Tony rzeczywiście zakochał się w Claudii, a nie w jej fortunie.

Widząc ich tańczących na parkiecie albo przemykających na

balkon lub do ogrodu w poszukiwaniu „świeżego powietrza”, miała wrażenie, iż Tony naprawdę zadurzył się w młodej wdowie. Mimo to świadomość, że stary przyjaciel nie zapomniał, czym jest honor i godność osobista, nie poprawiała jej nastroju.

Uważała siebie za postać żalosalną, niegodną litości. Kochała Anthony'ego Vardena od niepamiętnych czasów, gdy była jeszcze dzieckiem, małą dziewczynką. Po śmierci Neda wstydziła się swych uczuć, bo smutek i żal mieszały się z nadzieją, iż w zaistniałej sytuacji ona i Tony zblizną się do siebie, odnowią łączące ich niegdyś więzi przyjaźni. Niestety, Tony nie szukał pociechy w jej ramionach. Wolał dom gry przy St. James Street, a potem znalazł sobie inne ramiona. Ramiona lady Fairhaven. Za jedno Joanna była losowi wdzięczna - żadnym plotkarzom nie udało się przejrzeć jej tajemnicy.

To, co zrobił Tony w ciągu ostatnich kilku dni, napawało ją obrzydzeniem. Podobno pożyczył od Claudii okrągłą sumkę i natychmiast wszystko co do pensa przegrał w czerwone i czarne. A teraz siedział tutaj i zachowywał się, jakby nic się nie stało. Jak mogłaby szanować - albo kochać - takiego człowieka?

Wieczór miał się ku końcowi, gdy Tony zaproponował lady Fairhaven odprowadzenie do domu. Spodziewała się tego i bez zbędnych targów wyraziła zgodę. Jazda powozem okazała się niezwykle męcząca, ponieważ żadne z nich nie odezwało się nawet jednym słowem. Zdawało im się, że podróż trwa całą wieczność.

W końcu powóz się zatrzymał. Majordomus otworzył drzwi frontowe i gestem pokazał Jimowi, aby odebrał nakrycia.

- Dawson - zwróciła się do niego lady Fairhaven - proszę przynieść do biblioteki karafkę brandy.

- Tak, proszę pani.

- Dotrzymasz mi towarzystwa. Tony? - rzuciła za siebie i nie czekając na odpowiedź ruszyła korytarzem w kierunku biblioteki.

Varden poszedł za nią. Zastanawiał się, dlaczego gospodyni wybrała na rozmowę bibliotekę. Nie wróżyło to najlepiej.

Claudia trzęsła się ze zdenerwowania i tłumionego gniewu. Pokochała człowieka, który znajdował się na krawędzi zupełnej katastrofy. Mogła zrozumieć, że jego skłonność do hazardu była konsekwencją żalu po stracie brata i desperackiej chęci ratowania rodzinnej posiadłości, ale Tony złożył obietnicę i nie dotrzymał

słowa. Znała wielu mężczyzn, którzy łamali dane przyrzeczenia, którzy rujnowali życie sobie i bliskim przez nieopanowany pociąg do kart lub alkoholu. Chciała uchronić Vardena przed takim końcem, lecz nie miała zamiaru składać siebie na ołtarzu ofiarnym.

- Proszę, zamknij drzwi - powiedziała, kiedy znaleźli się w bibliotece.

Odwróciła się do niego twarzą i ujrzała zawstydzonego chłopca, który stara się ukryć zażenowanie. Tym razem nie poczuła doń sympatii, zamiast tego targnął nią gniew. Najwyższy czas, by chłopiec dojrzał. Bezwzględnie!

- Dotarli do mnie plotki. Tony. Mówiąc dokładniej: lord Fairhaven przekazał mi ostrzeżenie. Podobno cały Londyn wie, że pożyczyles ode mnie pieniądze i przegrałeś je w karty. Jak to wytłumaczysz?

Zaskoczyła go. Nigdy nie widział jej tak rozgniewanej. Spodziewał się, że Claudia okaże rozczarowanie - na wybuch gniewu nie był przygotowany. W jednej chwili stracił resztki pewności siebie i kiedy naprędce obmyślał odpowiedź, wyglądał jeszcze bardziej jak bezradny, zagubiony chłopiec. Sięgnął do kieszeni po banknoty o wartości trzystu funtów i trzymając je przed sobą w wyciągniętej ręce, powiedział:

- Claudio, rzeczywiście tamtej nocy przegrałem, ale wczoraj odegrałem się. Odzyskałem połowę pożyczonej sumy.

- Ale nie spełniłeś swojej obietnicy. Nie spłaciłeś ani jednego wierzyciela.

- No tak... ale... widzisz, miałem nadzieję, że podwoję sumę i będę mógł zwrócić ci pieniądze.

- A teraz?

- Wiem, że zabrzmi to bezczelnie. Miałem nadzieję, że pożyczysz mi więcej. Tym razem tylko trzysta - przeszedł do sedna, zanim Claudia zdążyła otworzyć usta.

Żadne z nich nie usłyszało skrzypnięcia otwieranych drzwi i nie zauważyło Dawsona, wnoszącego karafkę brandy.

- Rzeczywiście, musisz być głupcem, lordzie Ashford, jeśli sądzisz, że dam ci choć pensa z moich pieniędzy! - wykrzyknęła oburzona jego zuchwałością.

Dawson chrząknął.

- Brandy, milady.

Claudia zarumieniła się. Tony odwrócił się plecami do lokaja i

podszedł do okna.

- Postaw na stoliku, Dawson. Możesz odejść.

- Dziękuję, pani.

Tony spojrział Claudii prosto w oczy.

- Wszystko zrozumiałem, lady Fairhaven. Nie dziwię się, że nie możesz na mnie patrzeć bez obrzydzenia. Obiecuję więcej cię nie niepokoić. Plotkarze nie zamilkną od razu, ale zapewniam: nigdy więcej nie dam im powodów do rozpuszczania języka.

W oczach Tony'ego nie było śladu dziecięcej niefrasobliwości. Patrzył na lady Fairhaven oczami mężczyzny, posępnego i znękanego, ale dojrzałego i szczerzego.

Odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Zaczekaj! Nie odchodź. Tony - powiedziała łagodnie.

- Zraniłem cię, Claudio, jestem tego świadomy. Gdyby można było cofnąć czas... Chcę, abyś wiedziała, że naprawdę wiele dla mnie znaczysz. Oboje czujemy, że coś nas łączy, jednak nie da się ukryć, że potrzebuję też twoich pieniędzy. Bóg mi świadkiem -jęknął - nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że skończę jako łowca fortun. Mogę zrobić tylko jedno i zrobię to. Zostawię cię w spokoju.

- Żebym mogła paść ofiarą łowcy fortun, któremu w ogóle na mnie nie zależy? Który w ogóle mnie nie pożąda? - pytała Claudia ze smutnym uśmiechem. - Żebym wpadła w sidła kogoś takiego jak Mark Halesworth?

- Halesworth?! Broń Boże!

- Mam podstawy, by podejrzewać - rzekła wskazując na portret męża - iż Justin świadomie sporządził testament w taki sposób, żeby wskazać możliwość połączenia tytułu i fortuny. Zapewne chciał dobrze, lecz ja nigdy nie poślubię Marka.

- Mam taką nadzieję, Claudio. Nawet ja byłbym lepszy niż Halesworth.

- Dużo lepszy. Tony - zgodziła się.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Claudio?

- Chciałam chyba powiedzieć, że proszę cię. Tony... żebyś się ze mną ożenił.

- Oszalałaś!

- Nie. Jestem przy zdrowych zmysłach i nie zebrało mi się na żarty. Mam tylko jeden warunek.

- Słucham?

- Musisz zerwać z hazardem. Nie mogę poślubić kogoś, komu nie ufam.

- A zaufasz mi tu i teraz, gdy złożę taką obietnicę?

- Raczej tak. Jeżeli mnie poślubisz, nie będziesz miał powodu, by ponownie siadać do kart. Będąc moim mężem, wejdiesz w posiadanie pieniędzy potrzebnych do uratowania Ashford i zapewnienia matce godziwego życia. Jeśli jednak złamiesz również to przyrzeczenie, ja zerwę wszystkie łączące nas więzi. Obiecuję ci to, jak obiecuję kochać cię i być ci wierną.

Tony zastygł w bezruchu. Nie potrafił odnaleźć się w tej sytuacji. Powinien coś zrobić, ale co? Porwać ją w ramiona, zasypać pocałunkami, uściskać i szeptać słowa podziękii? Wszystko to byłoby niczym w porównaniu z tak ogromną wielkodusznością. Jedno uświadomił sobie z całą mocą: nie mógł budować ich wspólnej przyszłości na niedopowiedzeniach.

Położył dłonie na ramionach Claudii.

- Obiecuję ci - rzekł patrząc jej w oczy - że nigdy nie zagram w karty na pieniądze. Nie dla Ashford, choć los tej posiadłości leży mi na sercu. Nie chcę budować naszej przyszłości na fundamentach z kłamstw. Ashford jest ważne, ale bardzo zależy mi na tobie i nawet w tej chwili z trudem opieram się pokusie posmakowania twych cudownie słodkich warg. Nie wiem, jak miałbym ci podziękować, jak wyrazić to, co do ciebie czuję. Udowodnię szczerą moją zamiarów, bez pośpiechu, dzień po dniu.

- W takim razie twoja odpowiedź brzmi „tak”?

- Moja odpowiedź brzmi „tak”. Claudia westchnęła.

- Zdaję sobie sprawę, że moje zachowanie było dość nietypowe. Kobieta, która się oświadcza...

- Cieszę się, że to zrobiłaś. Nie wiem, kiedy sam zebrałbym się na odwagę... Ale teraz powinienem już iść, bo w przeciwnym wypadku będę zmuszony gasić pocałunkami pożar zmysłów.

- Nie miałbym nic przeciwko temu. Tony - wyszeptala Claudia.

- Wiem, moja droga, ale najpierw muszę wypełnić słowa obietnicy. Uściskał jej dłonie i skierował się do wyjścia.

- Zaczekaj... O czymś zapomniałaś.

Podeszła do biurka, wysunęła szufladę i wyjęła z niej trzysta funtów.

Tony zaczerwienił się ze wstydu.

- Fatalnie się czuję, biorąc te pieniądze.
- Musisz je wziąć.
- Niestety, muszę - przyznał. - Dziś wieczorem spłacę wszystkie długi co do grosza.
- A kredytodawcom możesz powiedzieć, że zostaną spłaceni w ciągu następnych dwóch tygodni.
- Dziękuję, Claudio.
- Uśmiechnęła się. Jej oczy błyszczały szczęściem, gdy mówiła:
- Dobranoc, Tony.
- Jutro skontaktuję się z tobą. Dobranoc, moja pani - pożegnał ją pieszczotliwie.

### *Rozdział dziesiąty*

Po wyjściu Tony'ego Claudia przysiadła na poręczu sofy i spojrzała na podobiznę męża.

- Wybacz, Justinie, zawiodłam cię. Jestem pewna, że Tony i ja znakomicie do siebie pasujemy. - Uśmiechnęła się, jakby dosłyszała odpowiedź z zaświatów. - Tak, wiem, jestem od niego trochę starsza, poza tym on potrzebuje moich pieniędzy, ale wydaje mi się, że istnieje szansa na prawdziwą miłość. Chyba w głębi duszy jestem hazardzistką jak Tony. Chcę zaryzykować. A Marka i tak nie mogłabym poślubić. Nigdy...

- Przykro mi to słyszeć, Claudio - odezwał się czyjś głos za plecami lady Fairhaven. Omal nie spadła z sofy.

- Mark! Co ty tu robisz o tej porze? Kto cię wpuścił? Była oburzona, że Halesworth ośmielił się wtargnąć do jej mieszkania. Zirytował ją do tego stopnia, że zupełnie nie przejęła się faktem, iż intruz musiał słyszeć jej przemowę do portretu.

- Ruszyłem tutaj, kiedy dowiedziałem się, że Ashford odprowadza cię do domu. Obawiałem się, że ulegniesz urokowi tego oszusta i, jak słyszę, moje obawy były całkowicie uzasadnione. A wpuścił mnie James.

- Porozmawiam sobie z nim z samego rana - oznajmiła groźnie Claudia. Wstała z sofy i podeszła do drzwi. Mark stanął przed nią, tak że nie mogła dotknąć klamki.

- Och, nie, jeszcze nie wychodzisz.

- Zejdź z mojej drogi, zanim zawołam Jamesa i oboje nas postawię

w kłopotliwej sytuacji. Halesworth nawet nie drgnął.

- Zejdź mi z drogi! - powtórzyła.

- Zejść ci z drogi? Przecież to ty od siedemnastu lat stoisz mi na drodze! Nie, moja miła, musisz wysłuchać, co mam ci do powiedzenia - rzekł Halesworth, chwytając ją za rękę i ciągnąc z powrotem w kierunku sofy.

Pchnął Claudię na miękkie poduszki, które szczęśliwie złagodziły upadek.

- Jak śmiesz dotykać mnie w taki sposób! Justin kazałby cię wybatożyć!

- Czyżby? Cóż, Justina już nie ma i nie wskrzeszą go żadne modły, nawet tak wzruszające monologi jak ten, który usłyszałem dzisiaj. Twój Justin był zwykłym głupcem.

- Koniuszek jego małego palca był więcej wart niż twój pusty łeb!

Halesworth mówił dalej, niczym nie zrażony. Jakby Claudii w ogóle nie było w pokoju.

- Tylko skończony dureń mógł wpaść na pomysł poślubienia siedemnastoletniej dziewczyny. Zachowałem tę myśl dla siebie i odwiedzałem was każdego lata... Jak ja nie cierpiałem tych wymuszonych wizyt! Za każdym razem przyjeżdżałem z duszą na ramieniu, zastanawiając się, czy nosisz w łonie jego dziecko. Oglądałem cię, oceniałem krzywiznę twego brzucha i na nowo odżywała we mnie nadzieja, ale po wyjeździe znowu się zamartwiałem. Na szczęście rok za rokiem mijał - i nic! Po kilku latach wydawało się mało prawdopodobne, że dorobicie się potomka. Po kilku następnych zakrawałoby to na cud. Oczywiście trudno powiedzieć, które z was było temu winne, lecz zazwyczaj wina leży po stronie kobiety. A potem Justin okazał się na tyle miły, że zszedł z tego świata... Jakież to był wspaniały dzień!

Claudia wydała zdławiony okrzyk zgrozy, ale Halesworth puścił go mimo uszu i kontynuował tyradę.

- Wszystko układało się fantastycznie do chwili odczytania testamentu. Och, tak, tak, dostałem tytuł i posiadłość. Są nierozłączną całością, drogi kuzyn Justin nie miał wyboru. Za to ty... Ty dostałaś wszystko, wszystko, na co pracowałem i czekałem przez wszystkie te lata.

- To Justin na to pracował! I dał ci więcej, niż było potrzeba na utrzymanie posiadłości i stylu życia, do jakiego przywykłeś.

Mark spojrzął na nią spode łba, a w jego oczach było tyle nienawiści, że Claudia skuliła się na sofie.

- Co do jednego masz chyba rację - rzekł. - Justin specjalnie spisał ostatnią wolę w taki sposób, aby zbliżyć nas do siebie. Wówczas miałbym i tytuł, i fortunę.

- Ale zgodnie ze swoimi podejrzeniami nie miałbyś dziedzica.

- Kto wie, co mogłoby się wydarzyć, Claudio? Kto to wie? Niestety, nie sprawdzimy tego. Jest już za późno, prawda, moja droga? Naprawdę zamierzasz wyjść za tego nieodpowiedzialnego chłopaczka, kuzynko?

- Lord Ashford nie jest „chłopaczkiem”, Mark. Jest młodym mężczyzną, który chwilowo znalazł się pod ogromną presją. Przekonał mnie, że można mu zaufać, a co ważniejsze - naprawdę mu na mnie zależy. Z wzajemnością. Ty dbasz tylko o siebie. Zawsze to podejrzewałam, ale nie chciałam odbierać Justinowi złudzeń.

- Jak to miło z twojej strony.

Usiadł obok niej. Claudia zdławiła chęć odsunięcia się na drugi koniec sofy.

- Miałem nadzieję - mówił dalej Halesworth - że Ashford zapadnie się pod ziemię, zniknie z twojego życia, nie odważy się spojrzeć ci w oczy. - Zachichotał ponuro. - A jednak się odważył - stwierdził sarkastycznie.

- Owszem. Od dzisiejszego wieczora jesteśmy zaręczeni.

- Jeśli go poślubisz i mimo wszystko zajdziesz w ciążę, raz na zawsze stracę tę fortunę. Nie mogę do tego dopuścić.

- Nie powstrzymasz mnie, Mark - powiedziała Claudia podnosząc się z sofy. - Wybacz, ale jest już późno.

Halesworth pociągnął ją z powrotem w dół i przyspilił do sofy kolanem, które umieścił między jej udami. Ujął głowę Claudii w dłonie i pochylił się, jakby chciał ją pocałować, lecz w jego teńszym mrozem, kamiennym spojrzeniu nie było ani czułości, ani pożądania.

Lady Fairhaven przeraziła się. Ledwie dosłyszała słowa:

- Istnieje sposób, by powstrzymać cię przed poślubieniem lorda Ashford, moja droga.

Zamarła, gdy palce Haleswortha delikatnie przesuwają się po jej szyi jakby w poszukiwaniu pulsu. Jeśli Mark chciał ujrzyć jej strach,



nie da mu tej satysfakcji.

- Puść mnie - powiedziała najspokojniej, jak potrafiła.

- Och, nie! - wyszeptał. - Nie pozwolę ci zrobić czegoś równie głupiego, jak poślubić Ashforda zamiast mnie!

Claudia przywarła plecami do miękkiego obicia sofy, zastanawiając się, czy Halesworth ma zamiar ją zgwałcić w jej własnej bibliotece. Służący już od dawna byli w łózkach i najprawdopodobniej nie usłyszeliby wołania o pomoc. Dopiero gdy poczuła na szyi zaciskające się palce napastnika, zdała sobie sprawę, że stawką w tym starciu nie jest jej cześć, ale życie. Palce zaciskały się coraz silniej, nie była w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku poza rżeniem, nie mogła złapać oddechu, a serce biło jej jak szalone. Ale nawet wówczas nadal była przekonana, że Mark nie może jej zabić. Tony...! - wzywała bezgłośnie pomocy. Justin...! Żaden z nich nie mógł przyjść na ratunek. Z jej gardła dobył się jeden głośniejszy, chrapliwy jęk, po czym w bibliotece zapadła cisza.

Mark spojrzął na leżące pod nim bezwładne ciało, a potem na swoje dłonie. Nigdy nie uważał się za zdolnego do okrutnej zbrodni. Przez lata panował nad własnymi odruchami, ale kiedy usłyszał rozmowę Claudii z obrazem męża, wpadł w ślepią furję. W jakiś dziwny, pokretny sposób czuł się rozgrzeszony z tego, co zrobił: to jemu należała się fortuna Justina, miał do niej pełne prawo i nie zamierzał z niego rezygnować. To Ashford był ostatnim człowiekiem, który widział lady Fairhaven żywą. Znakomicie pasował do roli mordercy. Halesworth musiał tylko trochę podretuszować wygląd miejsca przestępstwa.

Podszedł do biurka, otworzył wszystkie szuflady i rozrzucił po podłodze część ich zawartości. Zrolował od strony sofy nieduży turecki dywan, przewrócił rzeźbiony misternie stół, przywieziony przez kuzyna z Indii.

Leżąca na sofie Claudia wyglądała na pogrążoną we śnie.

- Moja droga, stanowczo jesteś zbyt spokojna - mruknął jej zabójca. - Chyba powinnaś zostać znaleziona na podłodze, w lekko poszarpanej sukni, z włosami w nieładzie.

Poderwał ciało z sofy i rzucił je na skraj dywanu. Teraz wyglądała to znacznie lepiej. Claudia leżała z rozrzuconymi nogami i rękami, a jej pozę z trudem można było nazwać naturalną.

- Przyszedł Ashford, chciał więcej pieniędzy. Odmówiłaś mu i

powiedziałaś, że nie życzysz sobie oglądać jego kłamiwej gęby. Zabił cię cicho, szybko i sprawnie, jak przystało na dobrze, wyszkolonego żołnierza.

Mark stał odwrócony plecami do wejścia. Był tak pochłonięty fabrykowaniem dowodów przeciwko Vardenowi, że nie spostrzegł uchylonych drzwi. Jim, wypuściwszy Tony'ego i wpuściwszy Haleswortha, przez cały czas stał w hallu. Zasypiał na stojąco i zastanawiał się, czy nie pójść do łóżka. Nie, nie mógł tego zrobić. Dawson powiedział mu, żeby odprowadził panią na górę. Musiał trwać na swym posterunku w hallu, choćby przyszło mu czekać całą noc. Chociaż... Znalazł pewne rozwiązanie. Lady Fairhaven była na tyle uprzejma, że gdyby zajrzał do biblioteki i zapytał, czy czegoś jej nie potrzeba, na pewno wysłałaby go do łóżka.

Jednak po uchyleniu drzwi natychmiast zdał sobie sprawę, że lady Fairhaven niczego już nie będzie potrzebować. Nigdy. Tego był pewien. W bibliotece znajdował się również jego prawdziwy pracodawca. Otwierał szuflady, przesuwiał dywan, mruzczał pod nosem coś na temat lorda Ashford. Jim może nie był najbłyskotliwszym młodzieńcem w Londynie, ale miał dość rozumu, by wszystkiego się domyślić. Po wyjściu Ashforda lady Fairhaven została sama. Jim nie miał co do tego wątpliwości, ponieważ Tony

przed wyjściem prosił go, aby do niej zajrzał. Takiej prośby nie mógł wygłosić morderca. Nie, nie. To lord Fairhaven dokonał zabójstwa, a on, Jim, był świadkiem. Nie tylko świadkiem - współnikiem, szpiegiem ulokowanym w domostwie lady Fairhaven przez samego mordercę. Chłopak uświadomił sobie jeszcze jeden prosty fakt. Gdyby Halesworth zobaczył go teraz, prawdopodobnie nie zawahałby się zabić i jego.

Ostrożnie zamknął drzwi i na palcach wycofał się do hallu. Co z jego osobistymi rzeczami? Postanowił po nie nie wracać. Pieniądze? Na szczęście miał przy sobie dwie gwinee; jedną dostał od Haleswortha, drugą od Vardena, który opuszczał dom w znakomitym nastroju. Na jakiś czas powinno wystarczyć. Teraz myślał tylko o jednym - aby jak najszybciej opuścić ten dom i zaszyć się gdzieś w zaułkach Londynu.

## *Rozdział jedenasty*

Następnego ranka służąca zastukała do drzwi pokoju lady Fairhaven i nie usłyszawszy odpowiedzi, weszła do środka, by rozsunąć zasłony. Pani rzadko sypiała do późna, ale jeśli już zdarzyło jej się dłużej wylegiwać w pościeli, lubiła być budzona przez wpadające do pokoju jasne promienie słońca. Tym razem było inaczej. Zupełnie inaczej. Służąca ze zdumieniem wpatrywała się w łóżko, które sprawiało wrażenie nie tkniętego od wczorajszego wieczora.

Nie miała pojęcia, gdzie podziewała się pani. Przez sekundę ujrzała w myślach twarz lorda Ashford, lecz pomysł, by lady Fairhaven udała się do jego mieszkania bez osoby towarzyszącej, wydawał się śmieszny. Spędzenie nocy poza domem w ogóle nie wchodziło w rachubę. Zeszła na dół i natknęła się na Dawsona, który właśnie wypytywał pozostałych służących o Jima.

- Już od godziny powinien być w jadalni! - wykrzykiwał podenerwowany.

- Jeszcze go dzisiaj nie widziałam - stwierdziła pokojówka.

- Panie Dawson...

- Tak, Mary? - rzucił niecierpliwie lokaj.

- Lady Fairhaven nie ma w pokoju. Wygląda na to, że w ogóle nie było jej tam zeszłej nocy.

Dawson drgnął.

- Nie ma jej w swoim pokoju? - powiedział marszcząc brwi. - Tej nocy była w bibliotece z lordem Ashford. Sama odesłała mnie do łóżka. Może zasnęła na sofie?

- Panie Dawson!

- Mary, nie jesteśmy małymi dziećmi. Lord Ashford mógł zostać, hmmm, do późna. Chociaż... Kiedy opuszczałem bibliotekę, wszystko wskazywało raczej na to, że wizyta rychło dobiegnie końca. Pójdę sprawdzić.

Dawson ostrożnie zapukał do drzwi biblioteki, a potem je otworzył. W pierwszej chwili nie zrozumiał, co się stało. Lady Fairhaven rzeczywiście była w bibliotece, ale nie leżała wygodnie rozciągnięta na miękkiej sofie. Jak można spać na podłodze i to w tak dziwacznej pozycji? - pomyślał. Odpowiedź narzucała się samą, ale jego umysł odmawiał zaakceptowania strasznej rzeczywistości.

Przykłęknął i poszukał pulsu. Bez skutku. Łagodnie przesunął dłonią po twarzy zmarłej, zamykając niewidzące oczy. Spróbował

doprowadzić do ładu jej włosy, poprawił suknię tak, aby zakrywała nogi. Potem podniósł się z podłogi i zszokowany stał na środku pokoju, tępo spoglądając na przewrócony stolik i pootwierane szuflady. Na koniec jego spojrzenie padło na portret starego pana. Spodziewał się, że lord Fairhaven zmierzy go wzrokiem i oskarży o dopuszczenie do tego nieszczęścia, ale nic takiego się nie stało. Wprost przeciwnie, Dawson mógłby przysiąc na pamięć matki, że w twarzy na portrecie zaszła subtelna zmiana. Łagodne spojrzenie oczu Justina zdawało się mówić: „Nie smuć się. Ona znowu jest ze mną.”

Lokaj potrząsnął głową, jakby chciał wyrzucić z niej te niemądre myśli. Zamknął za sobą drzwi i poszedł na spotkanie reszty służby.

- Nikomu nie wolno wchodzić do biblioteki przed przybyciem policji.

- Policji?! - wrzasnęła pokojówka.

- Tak, pani Pitt. Wygląda na to... - Dawson nabrał powietrza płuca i dokończył: - Wygląda na to, że lady Fairhaven została mordowana.

W oczekiwaniu na przybycie policji Dawson przepytывał służących. Wszyscy szybko ułożyli się do snu w swych pokojach na drugim piętrze, nikt niczego nie słyszał. William, dzielący pokój z Jimem, stwierdził, że zasnął natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki i dopiero rano zauważył nieobecność współ-lokatora.

Lokaj poszedł z nim obejrzeć pokój.

- Williamie, czy są tu wszystkie jego rzeczy?

- Raczej tak, panie Dawson - odparł chłopak po pobieżnej lustracji skromnej izby. - Chyba wszystko zostało.

Inspektor policji powtórzył wiele z tych pytań, a potem zamknął się razem z lokajem w jednym z pokojów.

- Panie Dawson, proszę opowiedzieć wszystko, co pamięta pan z wydarzeń minionej nocy.

- Lady Fairhaven wróciła do domu około drugiej nad ranem. Towarzyszył jej lord Ashford.

- Co panu wiadomo o lordzie Ashford? Był starym przyjacielem lady Fairhaven?

- Był nie tyle starym przyjacielem, co raczej młodym... wielbicielem - odparł Dawson.

Policjant uniósł brwi, dając do zrozumienia, że spodziewa się dalszych wyjaśnień.

- Bardzo często widywano lady Fairhaven w towarzystwie tego

młodego mężczyzny i wszystkim nam się wydawało, że wkrótce może dojść do ślubu. Przynajmniej tak to wyglądało do ostatniej nocy.

- Co ma pan na myśli?

- Po przyjeździe skierowali się od razu do biblioteki, nie do salonu, gdzie byłoby znacznie wygodniej. Chyba że chodziło o interesy, a nie przyjemne spędzenie czasu. Kiedy przyniosłem tacę z karafką brandy i kieliszkami, odniosłem wrażenie, że doszło między nimi do kłótni.

- O co?

- Lady Fairhaven odmówiła hrabiemu kolejnej pożyczki.

- A więc w przeszłości pożyczała mu pieniądze?

- Jak by to powiedzieć... Chodzą słuchy, że Ashford jest poważnie zadłużony. Ma długi w domach gry, u krawca, sklepikarza i innych.

- Ten lord Ashford... był rozdrażniony? Wściekły?

- Raczej zakłopotany. Powiedziałbym nawet, że zawstydzony. Odwrócił się do mnie plecami.

- A pani domu?

- Nasza pani była wspaniałą kobietą. Nigdy nie słyszałem, żeby na kogoś podniosła głos. A wczoraj zrobiła to w rozmowie z lordem Ashford.

- To wszystko? Rozumiem, że zgodnie z tym, co pan mówi, nie dała mu pieniędzy. A czy odmówiła widywania się z nim?

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że mogła to zrobić, ale nic nie słyszałem. Kiedy już podałem brandy, odesłała mnie prosto do łóżka.

- Została sama z lordem Ashford? Nikogo nie było w pobliżu?

- Był ktoś. W hallu dyżurował Jim.

- Jim? Nie spotkałem tutaj żadnego Jima.

- Tak... Jim jest młodszym służącym. Prosiłem go, żeby został na dole i wypuścił lorda Ashford, a następnie odprowadził lady Fairhaven do jej pokoju. Rzecz w tym, że Jim zapadł się pod ziemię. Zniknął tego ranka, zostawiając wszystkie swoje rzeczy.

- Czy gdzieś poza biblioteką zobaczył pan coś podejrzanego?

- Na przykład?

- Plamy krwi, ślady walki...

- Nie, nie! Czy uważa pan, że Jima również zamordowano?

- Jest to jedna z wielu możliwości, ale z tego, co słyszę, raczej mało

prawdopodobna. Nasz Jim zapewne uciekł i musiał mieć ku temu jakiś bardzo ważny powód.

Dawson spojrział na policjanta pytająco. Albo zabił lady Fairhaven, albo widział mordercę.

### ***Rozdział dwunasty***

Nim wybiło południe, większość śmietanki towarzyskiej Londynu wiedziała o śmierci lady Fairhaven. Niektórzy rzucali rozmówcom znaczące spojrzenia, przekazując wiadomość, że ponoć ostatni widział ją żywą lord Ashford. Inni powtarzali informację, że zniknęła służący, którego Claudia niedawno zatrudniła. U Brooksa robiono pierwsze zakłady o to, który z tych dwóch będzie głównym podejrzanym. Większość stawiała na lorda Ashford.

Tony o niczym nie słyszał. Nocą kusiło go, by bezzwłocznie pójść na St. James Street i spłacić wszystkie długi, ale po zastanowieniu uznał, że zaczeka z tym do rana. Nie był pewien, czy nie ulegnie pokusie, tak więc poszedł prosto do domu. Jego kamerdyner już spał. Tony szybko się rozebrał i poszedł w jego Ady. Po raz pierwszy od kilku tygodni spał spokojnie, bez wyrzutów sumienia, poczucia winy i wstydu.

- Nigdy więcej nie zagram w karty na pieniądze - przyrzekł sobie. - I będę dla Claudii dobrym mężem. Nikt bardziej od niej nie zasługuje na szczęście.

Najwyraźniej nie przeszkadzało jej, że nie był w niej zakochany. Lubił ją, nawet bardzo. Miał szczerą nadzieję, że z czasem pojawią się również głębsze uczucia.

Spał do południa i spałby jeszcze dłużej, ale do sypialni wszedł kamerdyner i potrząsając go za ramię zawołał:

- Proszę się obudzić, mój panie. - I zatroskanym głosem dodał:  
 - Przyszedł jakiś człowiek i koniecznie chce się z panem widzieć.  
 - Człowiek? Posłaniec? - wybelkotał przez sen Tony Varden. Przez chwilę wydawało mu się, że jest dowódcą wielkiej armii i czeka na wieści z pola bitwy. Zaraz potem otrzeźwiał. - O mój Boże! To pewnie ktoś od krawca. Może wniósł sprawę do sądu i wyładuję w

Marshalsea\* . Na szczęście mogę spłacić długi.

Zrzucił piżamę i włożył ubranie, w którym poprzedniego dnia był u Ferrarów. Wyjął z kieszeni pieniądze otrzymane od Claudii, a potem wyszedł do niespodziewanego gościa.

Mężczyzna stał przy drzwiach, skracając sobie oczekiwanie oglądaniem zawieszanej na ścianie ryciny Stubbsa. Wyglądał dość niepozornie jak na kogoś, kto zarabia na życie ściąganiem długów.

- Zapewne przychodzi pan od Granta? - spytał Tony z najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki go było stać.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na Ashforda, nic nie rozumiejąc.

- A może od McLeana? Cóż, to bez znaczenia. Może pan przekazać, że jestem gotów spłacić wierzycelności. Niech przyślą kogoś celem uregulowania rachunku.

Pomachał trzymanymi w ręku banknotami.

- Lord Ashford? - zapytał nieznajomy.

- Tak - niecierpliwie odparł Tony. Twarz jego rozmówcy była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu, nic nie mógł z niej odczytać.

- Gideon Naylor. Inspektor Gideon Naylor. Zdaje się, że nie zrozumiał pan celu mojej wizyty.

- Czyżby?

- Z całą pewnością. Nie przyszedłem aresztować pana za długi.

- Dzięki Bogu, kamień spadł mi z serca. - Tony uśmiechnął się szeroko. - Czym w takim razie mogę służyć?

- Zauważyłem w pańskim ręku plik banknotów. Czy wolno mi spytać, jak wszedł pan w ich posiadanie?

- Co to ma znaczyć? - Varden zamachał rękami, jakby próbował odegnać złe moce. - Było włamanie do sąsiadów? Może przyszedł pan aresztować mnie za kradzież?

- Rzeczywiście, wszystko wskazuje na to, że kradzież miała miejsce. Niestety, sprowadza mnie tutaj znacznie poważniejsze zdarzenie. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa lady Claudii Fairhaven.

Tony zdrewniał.

- Claudii...? Claudia nie żyje? Przecież to niemożliwe! Widziałem ją jeszcze tej nocy, w zasadzie dzisiaj rano. To chyba jakiś głupi żart

---

\* Londyńskie Więzienie dla dłużników (przyp. tłum.).

- mówił coraz bardziej roztrzęsionym głosem. - To tylko głupi żart, mam rację?

- Obawiam się, mój panie, że to nie żart. Dziś rano lokaj znalazł ciało lady Fairhaven na podłodze w bibliotece. Według słów pana Dawsona był pan ostatnią osobą, z którą lady Fairhaven rozmawiała.

Pod Vardenem nagle ugięły się nogi. Usiadł na jednym z krzeseł ustawionych przy stole.

- Nie - wyszeptał. Spojrzał błagalnie na Naylora i rzekł:

- Proszę powiedzieć, że to nieprawda.

Inspektor milczał. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Jak... Jak została zamordowana?

- Nie mamy jeszcze raportu koronera, sir.

- Boże, chyba się nie męczyła... - mruknął Tony.

- Szuflady w biurku jej zmarłego męża były wysunięte i ślady wskazują, że ktoś w nich grzebał. Mogę spytać, skąd ma pan te pieniądze?

- Co? Czy to ma znaczyć, że według pana Claudia padła ofiarą włamywacza?

- To nic nie miało znaczyć, lordzie Ashford. Skąd ma pan te pieniądze?

Tony musiał mu oddać, że jest nieustępliwy i stanowczy. Może taka była jego metoda: zamiast rzucać groźby, zamęczyć podejrzanego pytaniami.

- Część wygrałem przedwczoraj, a część dostałem wczoraj od Claudii, to jest lady Fairhaven.

Inspektor wyjął kieszonkowy notes i ołówek.

- Gdzie pan wygrał i jaką sumę? Tony zawahał się.

- Nie mogę powiedzieć.

- Ależ, mój panie, to jest śledztwo w sprawie morderstwa. Z łatwością się dowiem, który dom gry pan odwiedza, ale jeśli usłyszę to od pana, zaoszczędzimy wiele cennego czasu.

- St. James Street 75. Niech pan pyta o Bonifacego. Może za mnie poręczyć.

- A kto poręczy za drugą część pieniędzy?

- Oczywiście, że Claudia...

Nagle zdał sobie sprawę, że Claudia z nikim nigdy już nie będzie rozmawiać. Jej ciepłe, miękkie usta już się nie otworzą, nie spłynie z nich żaden dźwięk. Ta myśl uderzyła w niego z całym impetem,



wytrącając z chwiejnej równowagi. Ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się jak mały chłopiec.

Naylor niewzruszenie stał obok, czekając, aż Tony Varden wróci do siebie.

- Lokaj lady Fairhaven złożył zeznanie, że na własne uszy słyszał, jak gniewnie zakomunikowała, iż nie da panu ani pensa ze swoich pieniędzy.

Tony spojrział na mężczyznę z oburzeniem.

- Jak mógł! Przecież to kłamstwo. To... - urwał w pół zdania. Odetchnął głęboko i bezwiednie pocierając policzek palcami, powiedział: - Dawson rzeczywiście mógł słyszeć te słowa. Pamiętam, że kiedy wniósł karafkę brandy, wyjaśnialiśmy właśnie pewne nieporozumienie. Ale wyszedł, zanim zakończyliśmy rozmowę.

- Rozmowę czy kłótnię, mój panie?

- Nieporozumienie, kłótnia, co za różnica? Pożegnaliśmy się w jak najlepszych stosunkach. Tak naprawdę nawet nieoficjalnie się zaręczyliśmy - powiedział bezbarwnym głosem.

- Mamy na to tylko pańskie słowo.

Tony poderwał się na nogi i wykrzyknął z dumą:

- Na słowie Vardena można polegać! Zapewniam pana, panie Naylor!

- Miło mi to słyszeć, ale obawiam się, że muszę pana aresztować Pod zarzutem zamordowania lady Fairhaven.

- Co?! Pan chyba oszalał!

- Jestem przy zdrowych zmysłach, milordzie. Był pan ostatnią osobą, którą widziano z lady Fairhaven. Jest świadek, który twierdzi, że kłócił się pan z nią o pieniądze. Posiada pan przy sobie większą sumę. Jak mierniam, był pan żołnierzem w armii Wellingtona?

- Byłem, ale cóż to ma do rzeczy?

- Wprawdzie koroner nie sporządził raportu, lecz podzielił się z nami podejrzeniami. Jedyne ślady pozostawione przez mordercę były odciski kciuków po obu stronach krtani lady Fairhaven. Według niego śmierć spowodował nacisk na tętnicę szyjną. To bardzo szybki i cichy sposób pozbawiania życia, na pewno znany tak doświadczonemu żołnierzowi jak pan.

Tony pobał jak ściana.

- Każdy może go znać. Na przykład włamywacz. Pomyśleliście o

tym? Mogła zostać zaskoczona przez zwykłego złodzieja.

- Metody działania naszych złodziei są znacznie mniej wyszukane. Nie zabijają z taką wprawą. Zwykle posługują się pałką. Anthony Varden tępo spojrział na swoje dłonie, a potem podniósł wzrok na inspektora.

- Przysięgam, że nie zabiłem lady Fairhaven. Jednak cieszę się, że ten, kto to zrobił, posłużył się tą metodą. Śmierć jest wówczas szybka i bezbolesna. - Z rezygnacją zapytał: - Czy mogę ją zobaczyć?

- Lordzie Ashford, za pół godziny będzie pan już w Newgate.

- Popelnia pan straszny błąd, Naylor. Tymczasem prawdziwy morderca chodzi na wolności. Podejrzewam, że gdybym pana teraz obezwładnił, odniósłbym niewielką korzyść, a mój czyn byłby równoznaczny z przyznaniem się do winy. W tej sytuacji chyba nie mam wielkiego wyboru - podsumował z bolesną ironią w głosie.

- Nie poszłoby ze mną tak łatwo, mój panie - odparł Naylor z uśmiechem.

- Czyżby? Nie wygląda pan na trudnego przeciwnika.

- Zanim zostałem inspektorem, służyłem w Czterdziestym Siódmym Regimencie Piechoty. Wielokrotnie przekonałem się, że wprowadzając wyglądem w błąd, można zdziałać równie dużo, jak strasząc nim na odległość. - Naylor odchrząknął. - Muszę pana prosić, lordzie Ashford, o ubranie się i pójście ze mną. Tony skinął głową i odsunął krzesło od stołu.

- Zanim pan się oddali - kontynuował Naylor - proszę oddać mi pieniądze.

Varden zerknął na plik banknotów stanowiących cały jego majątek. W celi więzienia Newgate nie będą mu potrzebne.

- Połowa należy do mnie, Naylor. W zasadzie wszystko, bo przecież drugą część dostałem od Claudii. Oczywiście moi wierzyciele powiedzieliby, że ani jeden pens z tych pieniędzy nie jest mój - zakończył, siłąc się na ponury dowcip.

- Nie obchodzi mnie to. Dla mnie pieniądze te są dowodem rzeczowym. Kiedy sprawdzę pańską wersję wydarzeń, zobaczę, co się da zrobić. Przynajmniej część wróci do pana kieszeni.

Tony jeszcze przez chwilę trzymał pieniądze w dłoni, a potem wezwał kamerdynera i poszedł się ubrać.

- John, będziesz musiał jeszcze raz pójść do lombardu. Tylko, na

miły Bóg, co mam sprzedać?

- Może pierścień, mój panie?

- Nie, nie sprzedam go, choćbym miał przymierać głodem. Nie, weź moje najlepsze buty i kilka koszul. Zaczekaj, dorzucę jeszcze parę książek. Na dzień lub dwa powinno wystarczyć. Do tego czasu na pewno będę już na wolności. Całe to oskarżenie brzmi śmiesznie i z łatwością je obalę.

### *Rozdział trzynasty*

Jechali do Newgate w milczeniu. Gideon Naylor zasiadł w powozie naprzeciwko więźnia i uważnie go obserwował. Ashford był przystojnym młodym mężczyzną. Kręcone ciemno-blond włosy i brązowe oczy na pewno robiły na kobietach duże wrażenie. Naylor nie miał wątpliwości, że w zależności od nastroju jego lordowskiej mości te oczy mogły albo rzucać wesołe błyski, albo romantycznie odbijać światło księżyca. Teraz lord utkwiał wzrok we własne dłonie, a konkretnie w sygnet z herbem, jakby chciał się upewnić, że wciąż jest Anthonym Vardenem, lordem Ashford.

Lady Fairhaven poślubiła z woli rodziców starszego od siebie mężczyznę. Znacznie starszego. Lokaj zapewniał, że było to szczęśliwe małżeństwo. Mimo to Gideon nie wątpił, iż młody lord Ashford z łatwością mógł skraść serce wdowy. A przy okazji jej fortunę. Poza tym Ashford był zdesperowany, jego posiadłość znajdowała się na skraju bankructwa, a w sytuacji ostatecznej człowiek jest zdolny do czynów, których nie popełniłby w normalnych okolicznościach.

Z drugiej strony cień na pozornie klarowną sytuację rzucała nie wyjaśniona sprawa zaginięcia służącego, który pracował u ofiary od niedawna. Lokaj zauważył, że Jim zdawał się bardzo przywiązany do lady Fairhaven, jednak kilka tygodni to za mało, by wyrobić w człowieku poczucie lojalności.

Na scenie pojawiła się również trzecia postać, kuzyn ofiary. Gideon pojechał do niego z rana, aby przekazać smutne wieści. Mark Halesworth robił wrażenie zaszokowanego; zareagował niemal jak lord Ashford.

Naylor nie śpieszył się z ostatecznymi wnioskami. Bezsprzecznie Ashford był podejrzanym numer jeden: miał motyw, ostatni widział

lady Fairhaven żywą, a na dodatek posiadał przy sobie jej pieniądze. Wydawał się autentycznie wstrząśnięty, to prawda, lecz wielu kryminalistów szczerze żałuje swych czynów, zwłaszcza gdy dopuściło się ich w afekcie. Przed popełnieniem zbrodni ludzie nie zdają sobie sprawy, że są do czegoś podobnego zdolni, a potem z przerażeniem dostrzegają, iż pewnych rzeczy nie można wymazać ani z teraźniejszości, ani z pamięci.

Powóz zatrzymał się przed więzieniem. Naylor, zaskakując samego siebie, w porywie współczucia zapytał lorda Ashford, czy ma przy sobie jakiegokolwiek pieniędzy.

Tony podniósł na niego oczy i przez kilka sekund niemo wpatrywał się w twarz inspektora. Wydarzenia poranka zdruzgotaly go i zatopiły w niewesołych rozmyślaniach do tego stopnia, że nawet nie zauważył, kiedy dojechali na miejsce.

- Szylinga albo dwa, Naylor. Byłeś uprzejmy ogłosić mnie z moich ostatnich pieniędzy. Kamerdyner sprzeda kilka rzeczy i wieczorem chyba będę miał trochę gotówki.

- Cóż, zanim kamerdyner załatwi co trzeba, będzie pan, milordzie, do dyspozycji sądu kryminalnego. Dadzą panu pryczę i nie pozwolą umrzeć z głodu, a jeśli kamerdyner przyniesie wystarczająco dużo pieniędzy, pozwolą panu zająć pojedynczą celę. Przyjaciele będą mogli odwiedzić pana i przynieść jedzenie lub inne potrzebne rzeczy.

- Przyjaciele? Wszystkich prawdziwych przyjaciół zostawiłem w armii, Naylor. Tutaj... Lady Fairhaven była moją przyjaciółką. Jest jeszcze Joanna - dodał po zastanowieniu. - Reszta to koledzy z domu gry, kumple od kart. Żaden z nich nie przejmie się moim losem.

Inspektor otworzył drzwi kabrioletu. Wysiadł pierwszy i dał znak Vardenowi, by poszedł w jego ślady.

Więzienie znajdowało się w przygnębiającym długim budynku z czerwonej cegły. Wyglądał on zaskakująco świeżo, jeśli *zważyć*, że pełnił swoją funkcję od pięciuset lat. Tony przypomniał sobie, że pierwotne Newgate zostało spalone w trakcie rebelii Gordona. Na szczątkach postawiono nowe więzienie.

Do środka wpuścił ich niski, krępy mężczyzna, przywódzący Tony'emu na myśl żabę. Przekazał ich klucznikowi i zniknął, jakby rozpląnął się w wilgotnej ciemności cuchnącej stęchlizną. W miarę jak oddalali się od bramy, a zbliżali do cel, smród narastał, przyprowadzając Vardena o mdłości. W gardle rosła mu gruda i tylko

siłą woli powstrzymywał się przed zwymiotowaniem.

- Już jesteśmy, mój panie - wybełkotał klucznik, wpuszczając Vardena do czworokątnej sali więzienia śledczego.

Tony zrobił kilka kroków, a potem nagle odwrócił się do inspektora i rozpaczliwie zawołał:

- Nie mogę tu zostać, Naylor! Nie zabiłem lady Fairhaven! Musisz mi uwierzyć!

- Niczego to nie zmieni, sir. I tak musi pan zostać przesłuchany przez sędziego, a on postanowi, czy dowody są wystarczające, by zatrzymać pana w więzieniu aż do procesu. W tej chwili mamy dość podstaw, aby zamknąć pana w areszcie. Mogę obiecać, że pański kamerdyner dostanie się do pana bez najmniejszych problemów.

Po tych słowach Naylor odwrócił się i odszedł w towarzystwie klucznika.

Tony został sam na sam ze współwięźniami. Niektórzy w ogóle zignorowali jego przybycie, inni zauważyli go tylko dlatego, że stał im na drodze i musieli go odepchnąć, aby kontynuować swój marsz dokoła celi. Wszyscy byli bladzi, brudni i śmierdzielni. Odruchowo wstrzymał oddech. Powoli wyminął tych, którzy stali najbliżej, i na sztywnych nogach poszedł w najdalszy kąt celi, gdzie spodziewał się znaleźć odrobinę świeżego powietrza. Przypadł plecami do ściany tak gwałtownie, jakby miał nadzieję przebić ją i wydostać się na ulicę, na wolność.

Stojący obok dryblas o wyglądzie neandertalczyka trącił Tony'ego w żebra.

- Hej, pierwszy raz w kiblu, co? Masz taką minę, facet, jakbyś zaraz miał puścić pawia. Tylko nie na mnie - zażartował. - Za co cię zapudłowali?

Tony spojrzał na mężczyznę, ale nie palił się do rozmowy.

- Co tam stary Naylor znalazł na ciebie? Tacy strojnisie zwykle lądują tu za długi.

- Morderstwo. Jestem tu za morderstwo.

- To tak jak ja, facet. Podaj grabę!

Varden odsunął się wzdłuż ściany.

- Nie peniaj, gościu. Nie jestem mordercą.

- Ja też nie - wyszeptał Tony.

- Puknąłem go w obronie własnej. Gdybym nie rąbnął Matta Farnleya, on rąbnąłby mnie jak amen w pacierzu. Wisiałem mu

trochę forsy, a on chciał mi dać nauczkę. Kapujesz? Co, miałem dać się obić jak świnia? Hej, facet, może masz trochę kapuchy?

- Kilka szylingów.

- No, na twoim miejscu podzieliłbym się nimi ze mną. Takie eleganciki nie cieszą się w tym miejscu dużą popularnością. Z drugiej strony - mówił dalej, dźgając Tony'ego w żebra - u innych miałbyś spore wzięcie, ale chyba wolałbyś tego uniknąć. - Mężczyzna pochylił się i mrugnął porozumiewawczo.

- Zaopiekuję się tobą, gościu.

Tony z niechęcią myślał o oddaniu pieniędzy, ale czy miał wybór? Na miły Bóg, niech John szybko przyniesie pieniądze, dzięki którym będzie mógł uzyskać pojedynczą celę. Nie wydostanie się z tego piekła, ale przynajmniej przestanie się martwić o własne życie. Wyjął z kieszeni pięć szylingów.

- Dzięki, facet. To wystarczy, abyś dzisiaj czuł się bezpieczny - powiedział obrońca Tony'ego i oddał się, zostawiając go samego przy ścianie.

Anthony Varden patrzył na rozgrywającą się przed nim scenę, Jakby żywcem wyjętą z najgorszego sennego koszmaru, czekając, aż tłum rozpadnie się na pojedynczych, rozpoznawalnych osobników. Czekał na jakiś znak, że ludzie ci zaczną widzieć w nim, lordzie Ashford, zwykłego więziennego kamrata... Lub raczej niezwykłego więziennego kamrata - pomyślał z ironią. Zapomniał się i wciągnął powietrze do płuc. Popęłnił błąd. Tym razem nie udało mu się powstrzymać gwałtownego odruchu i zwymiotował na ścianę, dodając do smrodliwej atmosfery jeszcze jedno źródło przykrego zapachu.

### ***Rozdział czternasty***

Przez kilka ostatnich tygodni Joanna radykalnie zmieniła tryb życia. Zazwyczaj wstawała wcześniej rano i często odbywała poranną przejażdżkę konną, zanim park wypełniał się ludźmi. Teraz wstawała późno i w ogóle nie dosiadała konia. Nikomu się nie przyznała, że to romans Tony'ego Vardena z lady Fairhaven odebrał jej chęć do życia. Wyjaśniała, że jest przemęczona częstymi balami, ale była to kiegońska wymówka. W rzeczywistości brała udział w tylu imprezach towarzyskich co dawniej.

Zanim wygrzebała się z łóżka, rodzice zdążyli już zasiać do śniadania. Zupełnie nie zwrócili na nią uwagi, gdy zajęła miejsce przy stole. Potraktowali ją jak powietrze. Przyjęła talerz od lokaja, a potem sięgnęła po filiżankę i sama nalała sobie herbaty. Jak zwykle.

- Dziękuję, Matthew. Dzień dobry, *mes parents* - powiedziała uśmiechając się słodko.

- Dzień dobry, kochanie - odparła matka. - Ufam, że dobrze spałaś.

- Tak, mammo, dziękuję. I nie da się ukryć, że dłużej niż zazwyczaj. Ojciec złożył gazetę i rzucił lady Barrand wymowne spojrzenie.

- Sylvio - powiedział - myślałem, że doszliśmy do porozumienia. Miałś jej powiedzieć.

- Co powiedzieć, tato?

Lady Barrand westchnęła głęboko i rzekła:

- Joanno, stało się coś strasznego. Tony Varden... Joanna pobladała.

- Co mu się stało, mammo? Jest ranny? Nie żyje? Zginął w trakcie bójki w jednej z tych jaskiń hazardu?

Sylvia Barrand zatrwożyła się, widząc ogrom cierpienia malującego się na twarzy córki. Zawsze podejrzewała, że Joanna durzy się w przystojnym młodym sąsiedzie, miała jednak nadzieję, iż sprawy nie przybiorą niekorzystnego obrotu. Może uczucia przygasną, a może w ogóle nie są tak groźne, jak sądziła? Pocieszała się tak zwłaszcza od czasu, gdy Tony ugiął się pod ciężarem spoczywających na nim obowiązków, zaczął bywać w domach gry i pokazywać się w towarzystwie bogatej wdowy. Joanna doskonale ukrywała swe uczucia do Tony'ego Vardena. Z jednej strony było to korzystne, gdyż nigdy nie pojawiły się żadne plotki. Z drugiej odbijało się to fatalnie na stosunkach z rodzicami. Lady Barrand szanowała uczucia córki. Była gotowa otoczyć ją swą opieką, ogrzać ciepłem matczynej miłości, wspomóc-w trudnych chwilach, ale... Joanna nie dawała jej żadnych szans.

- Nie, Joanno, nic z tych rzeczy. Stało się coś gorszego. Znacznie gorszego.

Joanna westchnęła z ulgą. Z jej punktu widzenia nic nie mogło być gorsze od śmierci Tony'ego. W porównaniu z tym nawet wizja jego ślubu z lady Fairhaven była niczym. Świat bez niego byłby pustynią, na której nie warto żyć.

- Matka próbuje ci powiedzieć, Joanno, że dziś nad ranem znaleziono lady Fairhaven martwą. Została zamordowana i

aresztowano już podejrzanego. Jest nim Tony.

Joanna upuściła widelec, który uderzył o talerz. Przenikliwy odgłos zawisł w powietrzu, odbijał się od ścian, stołu, krzeseł, miesząc się z łomotem krwi w skroniach.

- Tony mordercą? - powiedziała Joanna, gdy odzyskała zdolność poruszania ustami. - Przecież to śmieszne! Jak mogli go aresztować?

- Najwidoczniej był ostatnią osobą, którą widziano z lady

Fairhaven. Lokaj, zanim został odesłany do łóżka, podsłuchał ich kłótnię o pieniądze. Rano służący znaleźli lady Fairhaven w bibliotece. Leżała na podłodze, a cały pokój był wywrócony do góry nogami.

- W takim razie było to zwykle włamanie - impulsywnie wtrąciła Joanna.

- Jestem pewna, kochanie, że nie znamy wszystkich szczegółów i - stwierdziła matka.

- Ależ mam! Chyba nie wierzysz w te bzdury! Przecież oboje znacie Tony'ego.

- Do tej pory sądziłam, że nie byłby do tego zdolny, ale... Tony popadł w desperację. Wpędził się w straszne długi i nie potrafił postawić Ashford na nogi. Rozumiesz, prawda?

- Hazard to nałóg, Joanno - skonstatował ojciec. - Człowiek przestaje się kontrolować, nie panuje nad odruchami. Jeśli lady Fairhaven odmówiła mu pieniędzy...

- Nie obchodzi mnie, jak zdesperowany był Tony. Nigdy nikogo by nie zabił, a zwłaszcza kobiety, na której szczerze mu zależało.

- Joanno, on zabijał ludzi. Zabił wielu, wielu ludzi. Nie zapominaj, że przez kilka lat był żołnierzem.

- To co innego, ojczu.

- Owszem, ale doświadczenia wojenne wyciskają na człowieku swe piętno. Zobojętniają, znieczulają. Wypaczają jego charakter.

- Nie na tyle, by zabił kobietę, którą... kochał.

- Naprawdę uważasz, że kochał lady Fairhaven, moja droga? spytała matka. - Czy nie jest to raczej mało prawdopodobne? Była od niego starsza.

- Tylko o pięć lat, mamu. Lady Fairhaven jest... była bardzo atrakcyjną kobietą. I z tego, co o niej słyszałam - bardzo miłą. Myślę, że Tony'emu naprawdę na niej zależało.

- Cóż, skoro tak mówisz... Przynajmniej wiesz, co zaszło. Będiesz



przygotowana na plotki - podsumował ojciec, odsuwając się z krzesłem od stołu. Był to oczywisty sygnał, że uważa temat za wyczerpany. - Jakie masz plany na dzisiaj?

- Jestem umówiona z Amelią Grant. Obiecałam jej, że pójdziemy razem na zakupy i do Gunterów.

- To dobrze - zauważyła matka. - Poczujesz się lepiej, gdy zajmiesz czymś myśli. Kto wie, Joanno, może zwolnią Tony'ego zaraz po wstępnym przesłuchaniu.

Joanna skinęła głową i opuściła wzrok, wpatrując się w talerz. Straciła apetyt. Dręczyło ją tylko wyjątkowe pragnienie, więc nałała sobie drugą filiżankę herbaty. Po raz pierwszy doceniła fakt, że rodzice nie zamykali jej w złotej klatce i mogła chodzić, dokąd chciała. Dopóki towarzyszyła jej garderobiana, nie zadawali pytań. Dzisiaj była zajęta, ale jutro miała zamiar pójść do Newgate i porozmawiać w cztery oczy z Anthonym Vardenem. Chciała usłyszeć jego wersję wydarzeń.

### ***Rozdział piętnasty***

John nie pojawił się do kolacji i Tony zdał sobie sprawę, że spędzi noc w ogólnej celi. Serwowana więźniom strawa była tak mizerna, że wysupłał kilka szylingów i zapłacił za dodatkową łyżkę zupy oraz kubek piwa. Ze zdziwieniem zauważył, że nawet po zdobyciu dodatkowych porcji i mimo otaczających go ohydnych woni posiłek okazał się zbyt skromny. Wciąż dokuczał mu głód. Pożałował, że tak pochopnie oddał część pieniędzy neandertalczykowi. Zaraz potem przekonał się, że jednak dobrze zrobił. Jakichś dwóch rzezimieszków chciało sprawdzić, co ma w kieszeniach. Krzyknął i szarpnął się, ale niewiele zdziałał, mieli nad nim przewagę. Wtedy jak spod ziemi wyrósł jego „przyjaciel”, pochwycił napastników i bez ceregieli zderzył ich głowami.

- Ten jest mój - powiedział groźnym tonem. - Spadajcie! Złodzieje bez słowa odpełzli na drugą stronę celi. Tony chciał podziękować wybawcy, ale tamten go powstrzymał.

- Nie trzeba, facet. Zapłacone, wykonane.

Później, kiedy Tony ułożył się na sienniku i naciągnął na siebie obgryziony przez mole koc, za które to luksusy musiał zapłacić kilka kolejnych szylingów, nagle uświadomił sobie, że ktoś delikatnie

gładzi jego włosy i muska palcem ucho. Zamierzał udać, że śpi, ale zadrzał, gdy jakiś głos wyszeptał:

- Twoje włosy lśnią jak nowa gwinea, chłopczyku. Posuń się, a zobaczysz, ile rozkoszy może dać ci stary Jem.

Słowa były słodkie jak miód, lecz ton twardy jak stal, nie znoszący sprzeciwu. Tony szykował się do zadania ciosu łokciem, gdy napierający z tyłu ciężar nagle jakby wyparował.

- Jem, już ci mówiłem. Ten koleś jest dziś nie do wzięcia. Znajdź sobie kogo innego.

- Bez nerwów. Bili. Już mnie nie ma. Tony odetchnął z ulgą, ale spokój nie trwał długo. Opiekun najwyraźniej zamierzał leżeć na tej samej pryczy.

- Bili, dziękuję ci za pomoc, ale co robisz na moim posłaniu?

- Wypełniam swoje zadanie: ochraniam cię, szefie. Skoro jesteś mój, nikt nie będzie cię niepokoić.

- Ile wzięłybyś za poszukanie sobie innego legowiska?

- Niewykonalne. Ale za kilka szylingów nie będę tutaj robił nic poza spaniem.

- W porządku - odparł Varden, sięgając do kieszeni.

- Dzięki, gościu.

Tony przesunął się na krawędź siennika, wpuszczając męczyznę na posłanie. Bili przyłgnał doń ciałem i objął go ramionami. Varden leżał czujny, gotów zareagować na najmniejszy ruch natręta, jednak nie minęła minuta, a więzień zapadł w sen. Wciąż obejmował Tony'ego, jakby byli dziećmi szukającymi schronienia przed zimnem.

Varden nareszcie mógł odetchnąć.

Przynajmniej do rana jestem bezpieczny. Boże, błagam cię, niech John zjawi się jak najszybciej.

Z tą myślą pogrążył się w odmęty niespokojnego, męczącego snu.

O świcie Bili zniknął, a Tony obudził się z dokuczliwym bólem głowy. Nie spał dobrze. Co chwilę budziły go różne odgłosy nocnego życia w więzieniu: ktoś kogoś bił, ktoś kogoś wykorzystywał seksualnie, ktoś krzyczał przez sen...

Jak miałby wytrzymać kolejny dzień w takich warunkach? Usiadł na krawędzi pryczy, ukrył twarz w dłoniach i pomyślał, iż nawet w Hiszpanii było lepiej, a przynajmniej nie gorzej. Czy oni wszyscy

naprawdę myślą, że jest mordercą? Gdyby Ned żył, nie pozwoliłby, żeby go tak traktowano. Wyciągnąłby go stąd w ciągu godziny. No tak, ale gdyby Ned żył, w ogóle by do tego nie doszło. Zamiast gnąć w Newgate, wolny i beztroski wykuwałby swój własny los, choćby w jakimś namiocie w Hiszpanii. Nie byłby cholernym hrabią Ashford, nie byłby obarczony odpowiedzialnością i za rodową posiadłość. I nigdy nie musiałby się umizgać do lady Fairhaven.

Kiedy pomyślał o Claudii, jego gniew przygasł niczym płomień, na który spadły ciężkie krople przeszłości. Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie, sympatię, jaką do siebie zapalali. Przecież wcale nie chodziło mu o jej pieniądze. Zależało mu na niej, lubił ją, bardzo lubił. Nie kochał jej - i to była zbrodnia, za którą mógł odpowiadać. Ona zakochała się w nim, wiedział o tym i wykorzystał tę wiedzę do własnych celów. Nie, nie. To nie tak. Przez cały czas był z nią szczery, nie zwodził jej, nie okłamywał. Mógł ją pokochać, kto powiedział, że to niemożliwe? Claudia - miła, hojna, ujmująca naturalnością - zasługiwała na miłość. Zamiast niej znalazła jednak śmierć. Wkrótce zostanie złożona w zimnym grobie na wieczny spoczynek... Chciał zapłakać nad jej losem, ale powstrzymał łzy. Nie tutaj. Nie teraz.

Ktoś zawołał go po nazwisku. To klucznik przyszedł z wiadomością, że zjawił się John. Vardenowi od razu poprawił się humor. Nareszcie opuści tę straszną celę.

Malujące się na twarzy Johna przerażenie wręcz go rozbawiło. Spojrzał na swoje pomięte ubranie i pocierając dłonią pokryty zarostem podbródek, powiedział:

- Nie wyglądam najlepiej, co? Najbliższa umywalnia jest chyba na końcu świata. Udało ci się coś sprzedać?

- Tak jest, mój panie. Za buty, dwie koszule i kasztanową bluzę dostałem pięć gwinei.

- Dobrze się sprawiłeś - rzekł Tony, uśmiechając się szeroko. Poczuł taką ulgę, jakby John przyniósł sumę, dzięki której można by uratować Ashford. - Teraz będę mógł zdobyć osobną celę. A skoro o tym mowa - zwrócił się klucznika - czy mógłbym przez kilka minut porozmawiać z moim kamerdynerem na osobności? Zapewniam, że nie przybył tutaj, aby pomóc mi w ucieczce - zażartował.

- Da się zrobić, mój panie. Zaprowadzę was do pokoju wizyt. Kiedy klucznik zamknął za nimi drzwi niewielkiej izby. Tony

wskazał kamerdynerowi krzesło.

- John, nie zamordowałem lady Fairhaven. Służący poderwał się, jakby siadł przed chwilą na rozżarzonych węglach.

- Ależ, mój panie! Jak mógł pan pomyśleć, że ja... Nawet przez myśl mi nie przeszło...

- Siadaj, John, siadaj. Zmierzam do tego, że jeśli ja tego nie zrobiłem, to morderca wciąż jest na wolności.

- Nie pomyślałem o tym, sir.

- Rzekomo jestem ostatnią osobą, która widziała lady Fairhaven żywą. A co z tym jej nowym służącym? Jim przecież wpuścił mnie do domu, a potem z niego wypuścił. Podobno zniknął bez śladu. Może to on jest mordercą? Mógł zabić dla pieniędzy.

- Mógł to też zrobić ktoś z zewnątrz, milordzie.

- Jeżeli rzeczywiście było włamanie, to gdzie się podział Jim?

- Może uciekł, mój panie. A może został zabity? - podsunął nieśmiało John.

- Hmm... Według mnie wersja z włamywaczem w roli głównej jest mało prawdopodobna. Stawiałbym na Jima. Tylko że dopóki tu siedzę, nic nie mogę zrobić - zakończył wywód, bezradnie rozkładając ręce.

- Słyszałem, że sąd ma się zebrać pojutrze.

- Więc spędzę tu kolejne dwa dni! Chyba tego nie zniosę. Potrzebuję każdego szylinga. Będziesz musiał sprzedać jeszcze jedną kurtkę i dwie koszule.

- Wrócę jutro z pieniędzmi, sir.

- John... - Kamerdyner spojrzał wyczekująco na swego pracodawcę. - Dziękuję, że we mnie wierzysz.

Po wyjściu Johna ranek dłużył się niemiłosiernie. Tu i ówdzie potworzyły się grupki mężczyzn zajętych grą w kości lub karty. Anthony Varden mógł się do nich przyłączyć, ale nie miał na to ochoty. Nic nie podsycało już płomieni hazardu, zniknął pociąg do kart. Może stało się to pod wpływem upokorzenia, jakiego doznał prosząc Claudię po raz drugi o pieniądze, może pod wpływem myśli, że jego skłonność do hazardu w jakiś sposób przyczyniła się do jej śmierci... Czyżby Jim dojrzał w uchylonej szufladzie resztę pieniędzy? Czyżby jeszcze ktoś wiedział, że poprosił Claudię o pożyczkę...? Nie wiedział, co się stało. Nie wiedział nawet, skąd

bierze się w nim tak silne poczucie winy. Nie kochał Claudii tak, jak na to zasługiwała. Wmieszał ją w swoje problemy finansowe, zawiódł jej zaufanie. A teraz ona nie żyje. Może wciąż byłaby wśród żywych, gdyby omijał St. James Street z daleka... Teraz nie mógł sobie wyobrazić, by mógł kiedykolwiek zagrać w coś na pieniądze.

Zapłacił klucznikowi za pojedynczą celę i tuż po południu znalazł się w małym pomieszczeniu, straszącym nagimi, nie-odmalowanymi ścianami. Nie było to wiele, ale i tak po stokroć przewyższało zatłoczoną celę ogólną. Siennik wydawał się stosunkowo czysty i wygodny. Obok pryczy stał nieduży stół, krzesło, a także nocnik, który wyglądał wprawdzie, jakby nigdy go nie szorowano, ale był pusty, a to już coś.

- Świece i talerz kosztują pół gwinei, mój panie - odezwał się klucznik, kiedy wzrok Tony'ego natrafił na trzy puste świeczniki. - Latarnia jest droższa.

Varden roześmiał się ponuro i wręczył mężczyźnie pieniądze.

- Nieźle na tym zarabiasz. Czy zaopatrzenie więźniów ogranicza się tylko do chleba i kaszy?

- Jakby pan zgadł, milordzie, jakby pan zgadł - odrzekł klucznik z uśmiechem na twarzy i opuścił salę.

Tony miał teraz dużo czasu i postanowił jeszcze raz przemyśleć wydarzenia ostatnich kilku miesięcy, które upłynęły od śmierci Neda. Co zrobił nie tak? Gdzie popełnił błąd? Z całą pewnością różnił się od brata pod wieloma względami. Nawet wychowywany był inaczej, ponieważ tytuł miał przyspaść starszemu z braci. Powaga i stateczność nigdy go nie cechowały. Był lekkoduchem, cenił sobie wolność i brak zobowiązań. Pusty śmiech ogarniał go na myśl, w jaki sposób zamierzał ocalić Ashford. Uważał, że kilka nocy przy zielonym stoliku rozwiąże wszystkie problemy, a droga,

którą obrał Ned - droga bolesnych wyrzeczeń, powolnych, metodycznych zmian na lepsze - wydawała mu się wówczas bezsensowna. Jakim był głupcem!

Obracał w palcach herbowy sygnet, a z każdym jego obrotem pamięć zakwitała kolejnym wspomnieniem. W pewnym momencie zsunął pierścień i patrząc nań, wyszeptał:

- Ned, nie zasługuję na to, by go nosić. Ty powinieneś żyć, a ja powinienem polec w Hiszpanii. Bóg źle to wszystko ułożył, fatalnie spała robotę. Przysięgam jednak - oświadczył wsuwając sygnet na

palec - że będę się starał, poprawię się. Boże, Ned, jakżebym chciał, żebyś był teraz ze mną i służył mi pomocą!

W tej chwili Anthony Varden miał wrażenie, że brat naprawdę jest blisko, patrzy na samotną postać w zimnej celi i słucha jej wyznań. Świadomość obecności ducha i przewijający się przez myśl kalejdoskop wspomnień skruszyły twardy mur opanowania. Tony złożył głowę na poduszce, odwrócił się do ściany i zatkał. Płakał nad losem Neda, który odszedł za wcześnie, nad losem matki, Charlotty, oraz Claudii, swej dobrej, sprawdzonej przyjaciółki. Łzy ściekały po policzku, miarowo kapąły na poduszkę: jedna, druga, dziesiąta, może dwudziesta, może setna... Nawet nie zauważył, kiedy zapadł w sen.

### ***Rozdział szesnasty***

Kilka godzin później obudziło go szarpnięcie za ramię.

- Niech się pan obudzi, milordzie - mówił strażnik. - Ma pan jeszcze jednego gościa.

- Co? - mruknął Tony, siadając na pryczy i przecierając zaczerwienione oczy.

- Rrrany... Rzekłbym, że na wizytę tego gościa raczej nie jest pan przygotowany. Za kilka szylingów mogę posłać po dzbanek wody i ręcznik. Wystarczy jedno słowo.

- Wrócił mój kamerdyner?

- Och, nie. Tym razem przyszła jakaś młoda kobieta, lady, jeśli chodzi o ścisłość. Przedstawiła się jako lady Joanna Barrant.

- Joanna! To nie miejsce dla niej. Odeślij ją do domu. Natychmiast!

- Sam jej to powiedziałem, ale jest tutaj razem ze służącą. I nalegała, abym przyszedł powiedzieć panu o jej wizycie.

- Boże! - jęknął Tony. - Nie może zobaczyć mnie w takim lanie. Strażnik wyciągnął dłoń.

- Dobra, dobra. Przynies wodę i ręcznik. Będę potrzebował minutę, może dwie. Potem z nią porozmawiam. Woda nie była czysta, podobnie jak ręcznik, ale czegoś mógł się spodziewać w Newgate... Tony robił co w jego mocy, aby doprowadzić się do jakiegoś takiego porządku. Przygładził włosy, przetrzepał spodnie, poprawił koszulę, a potem poszedł za strażnikiem do pokoju odwiedzin.

Joanna niespokojnie chodziła od ściany do ściany, podczas gdy

garderobiana sztywno siedziała na krześle, z chusteczką przytkniętą do nosa. Wprawdzie więziennym wonie były tutaj przytłumione, ale wciąż wystarczająco intensywne, by przyprawiać obie kobiety o mdłości.

W korytarzu rozległy się kroki. Joanna odwróciła się i zobaczyła nadchodzących mężczyzn. Nigdy nie widziała Tony'ego w równie potwornym stanie. Nie wyglądał tak źle nawet wówczas, gdy Ned umierał. Miał pomięte, brudne ubranie, był nie ogolony, a jego oczy... Tak wyglądałyby oczy człowieka, który nie spał od trzech dni. Poruszał się ciężko, niepewnie. Jeszcze dzień lub dwa - z przerażeniem pomyślała Joanna - a będzie powłóczył nogami!

Zatrzymał się przed progiem i strażnik musiał prawie wepchnąć go do środka.

- Zostawię was na osobności, mój panie, ale proszę pamiętać: jestem tuż za tymi drzwiami - ostrzegł i zamknął drzwi.

- Joanno, nie powinnaś tu przychodzić! - powiedział szorstko Anthony Varden.

Lady Barrand zdecydowała, że nie okaże współczucia ani sympatii. Rzeczowy ton rozmowy oszczędzi im zakłopotania.

- Musiałam przyjść. Tony. Jesteś jednym z moich najstarszych przyjaciół.

- W takim razie... Usiądź, Joanno.

Dziewczyna zajęła ostatnie wolne krzesło i wzrokiem dała znak garderobianej. Sally wstała i podeszła do zakratowanego okna, by umożliwić im rozmowę w cztery oczy.

Tony stał jeszcze kilka sekund, a potem usiadł naprzeciw nieoczekiwanego gościa.

- Co ty tu robisz, Jo? Nie mogę uwierzyć, że rodzice pozwolili ci tu przyjść.

- Nie wiedzą, że tu jestem - przyznała. - Myślą, że robię zakupy. Nie mogłam spokojnie słuchać tych wszystkich plotek, musiałam przyjść i osobiście z tobą pomówić. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Co to za plotki? Zresztą, zaczekaj! Nie mów mi - rzekł Varden. - Niech zgadnę... Pozbawiony ludzkich uczuć, zdesperowany młody zalotnik zabił starszą kobietę w przypływie gniewu, gdy ta odmówiła mu pieniędzy potrzebnych na spłatę licznych długów.

- Coś w tym rodzaju - zgodziła się. - Jak ktokolwiek mógłby uwierzyć...

- Och, nie mam pojęcia, Jo. W sumie jest to tak bliskie prawdy, że dla czego nie mieliby uwierzyć? - zauważył Tony znużonym głosem.

- Ale nie zabiłeś jej.

- Nie - odparł stanowczo, patrząc jej prosto w oczy. - Nie, nie zabiłem, ale czuję się, jakbym to ja sam położył ręce na jej szyi. Czuję się za to odpowiedzialny, Jo. Naprawdę byłem zdesperowany, naprawdę pożyczyłem od niej pieniądze i chciałem to zrobić jeszcze raz. Z początku naprawdę mi odmówiła. Przypadkiem lokaj był tego świadkiem. Potem poszedł spać i nie słyszał dalszego ciągu rozmowy. Zapewniłem ją, że szczerze pragnę zerwać z hazardem; przekonałem, że zależy mi na niej. Kiedy wychodziłem, byliśmy już nieoficjalnie zaręczeni. Dała mi też pieniądze, o które prosiłem. A teraz są one dowodem przeciwko mnie.

- Kochałeś ją, Tony? - spytała bez zastanowienia. Po prostu musiała wiedzieć.

- Joanno, byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Jak ty i ja. Od pierwszej chwili poczuliśmy do siebie sympatię, zawiązała się między nami nić porozumienia. Claudia wiedziała, co do niej czuję, a ja wiedziałem, co czuje ona. Kochała mnie, Jo. Przysięgam, byłem wobec niej całkowicie szczerzy i miałem absolutną pewność, że nasze małżeństwo będzie szczęśliwym związkiem niezależnie od mojej motywacji.

- Chciałeś ocalić Ashford?

- Tak. Czy istniał inny sposób? Poza tym myślałem, że w końcu nie robię nic złego. Wiele znanych nam małżeństw opiera się na jeszcze kruchszych podstawach niż przyjaźń. Myślę, że Claudia miała nadzieję, iż z czasem ją pokocham.

- A pokochałbyś?

- Nigdy już się nie dowiem, Jo. Nigdy...

- Musimy cię stąd wydostać - stwierdziła kategorycznie. Tony uśmiechnął się słabo.

- Już za kilka dni odbędzie się przesłuchanie wstępne. Wytrzymam. Zresztą przyda mi się taka kara - dodał.

- Za co?

- Za to, że zawiodłem Neda... Za to, że przepuściłem resztkę moich pieniędzy. I za to, że nie kochałem Claudii. Za to najbardziej. To dlatego jestem odpowiedzialny za jej śmierć. Gdyby mnie nie poznała, nadal byłaby wśród żywych.



- Nonsens, Tony. Najprawdopodobniej padła ofiarą włamywacza.
- Och, Jo, doskonale zdaję sobie sprawę, że moje rozumowanie jest pozbawione logiki. Mimo to wcale nie czuję się lepiej. - Podniósł się z krzesła i rzekł: - Teraz musisz już iść, zanim rodzice odkryją, dokąd naprawdę poszłaś. Jestem pewien, że po przesłuchaniu zostaną zwolniony. Przecież nie mają żadnych dowodów przeciw mnie.
- Nawet jeśli cię wypuszczą, będziesz zrujnowany. Nikt cię nie zaprosi, towarzysko jesteś skończony. Chyba że znajdą prawdziwego mordercę.

Tony spojrział na dziewczynę. W jego oczach odbijało się cierpienie.

- Chyba masz rację, ale zupełnie się tym nie przejmuję. To, na czym mi zależało, już straciłem... Neda, Claudię... Ashford. Zamierzam wrócić do domu i kontynuować walkę o posiadłość metodą Neda. Może w tym odnajdę jakiś sens.

Joanna wyglądała na dotkniętą.

- A co z naszą przyjaźnią. Tony? Nic dla ciebie nie znaczy?
- Najdroższa Jo! - odparł łagodnym tonem. - Nasza przyjaźń jest tak integralną częścią mojego życia, wydaje mi się czymś tak naturalnym, że... zupełnie o niej zapomniałem...
- Nikt nie lubi, gdy się o nim zapomina. Tony.
- Wiem, przepraszam. Podałbym ci ramię, Jo, ale moje ubranie jest brudne, cuchnące i wolałbym, żebyś się do mnie nie zbliżała. Jestem ci bardzo, bardzo wdzięczny za tę wizytę. Dzięki tobie będzie mi łatwiej.

Otworzył drzwi i wpuścił do środka strażnika.

- Zaczekam tutaj. Proszę pójść z lady Joanną i wezwać dla niej powóz. Oto pieniądze - powiedział, dobywając z kieszeni sumę wystarczającą na opłacenie klucznika i woźnicy. Dziewczyna zaprotestowała, ale nie dał się przekonać. - Przynajmniej tyle mogę zrobić, aby jakoś odwdziżyć się za twą wspaniałomyślność.

Kiedy woźnica spytał Joannę o cel podróży, nie podała swojego adresu, lecz skierowała go na Bow Street. Garderobiana jęknęła. Cicho, Sally. Dostaniesz w tym miesiącu specjalny dodatek.

### ***Rozdział siedemnasty***

Kilka minut później powóz zatrzymał się przed budynkiem sądu

przy Bow Street. Joanna poszła prosto do dyżurnego kancelisty, który wydawał się zaszokowany jej widokiem. Nigdy jeszcze nie miał takiej klientki.

- Czy to prawda, że każdy obywatel może skorzystać z usług inspektora? Można go wynająć?

- Tak, moja pani. To prawda.

- W takim razie chciałabym to zrobić. Jakie są koszty?

- Gwinea na tydzień plus osobiste wydatki.

- Kogo mógłby pan polecić?

Urzędnik zapatrzył się na dziewczynę, jakby przerzucał w myślach teczki swojej podręcznej kartoteki.

- Eee... O jaki rodzaj dochodzenia pani chodzi, madame?

- W sprawie morderstwa - bez ogródek wyjaśniła Joanna.

- Morderstwa? - Kancelista wybałuszył oczy, jakby ujrzał ducha.

Sądził, że może chodzić o niewiernego męża. Choć teraz zauważył, że kobieta nie ma na palcu ślubnej obrączki. - Sprawa o morderstwo... W takim razie potrzebuje pani McManusa lub Naylora. Tylko że McManus wyjechał do Kentu, tak więc...

- Pozostaje Naylor - wyręczyła go Joanna. - Gdzie mogę znaleźć pana Naylora?

- O tej porze zwykle przesiaduje nad kuflem piwa w knajpce „Pod Głową Garricka”.

Joanna spochmurniała. Wizyta na Bow Street była niczym w porównaniu z pojawieniem się w gospodzie. Nie mogła również posłać tam Sally. Musiałaby ściągnąć lokaja...

Kancelista dostrzegł jej konsternację.

- Proszę się nie martwić, moja pani. Poślę kogoś po niego. Proszę za mną, pokażę pani pokój, gdzie będzie pani mogła poczekać na inspektora Naylora.

Joanna uśmiechnęła się z wdzięcznością. Zerknęła na osowiałą Sally i poszła korytarzem za uprzejmym urzędnikiem. Pokój nie był siódmym cudem świata, ale nie był też cuchnącą norą.

- Na pewno jest tutaj przytulniej niż w sali odwiedzin w Newgate - zauważyła wesoło.

- Niech mi pani nie mówi, że widziała ją na własne oczy - przeraził się kancelista.

- Właśnie stamtąd wracamy. Moje zlecenie jest bardzo pilne.

- Tak, tak, oczywiście. Zaraz wydam Jake’owi dyspozycje. Proszę

zaczekać. To nie potrwa długo.

- Rodzice panienki padną trupem, gdy się dowiedzą, gdzie panienka dzisiaj była - wtrąciła znękana garderobiana, gdy mężczyzna zniknął za drzwiami.

- Ale się nie dowiedzą, Sally - stwierdziła cierpliwie Joanna.

- Chyba że im powiesz.

- Nigdy w życiu, panienko, nawet gdybyśmy miały chodzić tak przez całe popołudnie. Chciałam tylko powiedzieć, że panienka nie powinna przebywać w takich miejscach - odparła szybko Sally, oburzona, że Joanna może wątpić w jej lojalność.

Minęło kilka minut, gdy ktoś ostrożnie zapukał do drzwi.

- Proszę wejść - rzekła Joanna.

Do pokoju wkroczył raczej niepozorny mężczyzna średniego wzrostu, o delikatnej budowie ciała.

- Lady Joanna Barrand?

- Pewnie jesteś Jake. Rozumiem, że nie udało ci się znaleźć Pana Naylora? Czy mógłbym więc zostawić mu wiadomość z prośbą, żeby skontaktował się ze mną w późniejszym terminie?

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Nazywam się Gideon Naylor, moja pani.

- To niemożliwe - wyrwało się dziewczynie.

- A jednak. Dowiedziałem się, że chciała pani wynająć mnie do prowadzenia śledztwa. Czy tak?

- Owszem, chciałam, ale chodzi o dochodzenie w sprawie morderstwa. Chyba zaczekam, aż pan McManus wróci z prowincji. - Nagle zdała sobie sprawę, jak musiało to zabrzmieć. - Przepraszam, jeśli pana uraziłam, ale potrzebuję kogoś...

- Rosłego i groźnego? - podsunął Naylor z jowialnym uśmiechem.

- Wydawało mi się, że ktoś parający się tym zajęciem powinien być bardziej postawny - przyznała bez ogródek. - Jednak kancelista polecał pana usługi.

- Cóż, o mnie i McManusie mówi się, lady Barrand, że jesteśmy jak psy myśliwskie. Kiedy już poczujemy trop, godziny zwierzyny są policzone. Potrafimy być mili dla miłych, ale dla okrutnych jesteśmy okrutni. Nie wiem, czy ludzie myślą się w ocenie mojej skromnej osoby. Jeśli życzy pani sobie poczekać na kolegę kilka dni...

- Och, byłam bardzo niegrzeczna, wiem i przepraszam. Nie mam czasu, by czekać na pana McManusa. Chyba muszę zdać się na pana.

- Roześmiała się. - To również nie zabrzmiało najlepiej, prawda, panie Naylor? Jeszcze raz przepraszam, jestem trochę wyprowadzona z równowagi. Mój przyjaciel znalazł się w okropnej sytuacji. Proszę usiąść.

Inspektor zajął miejsce na krześle. W tej samej chwili rozległo się głośne, natarczywe stukanie do drzwi i Naylor wyjaśnił:

- Pozwoliłem sobie poprosić Jake'a, aby przyniósł nam gorącą herbatę. Chyba nie ma pani nic przeciwko temu?

- Ależ skąd, dziękuję - powiedziała Joanna z wdzięcznością. Gorąca herbata była tym, czego w tej chwili naprawdę potrzebowała.

Drzwi otworzyły się. Tacę wniósł prawdziwy olbrzym, który sprawiał wrażenie siłacza zdolnego unieść Naylora w jednym ręku. Spojrzawszy na jego twarz, Joanna pomyślała, że wolałaby go nie spotkać po zmroku w jakimś zaułku, ale teraz nic nie mogła zarzucić jego manierom. Delikatnie rozstawił naczynia i bez słowa wrócił tam, skąd przyszedł.

Kiedy zniknął za drzwiami, Naylor zerknął pytająco na Joannę.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

- Poddaję się. Tak właśnie wyobrażałam sobie kogoś ścigającego przestępców.

- Jake jest w sądzie bardzo pożyteczny - tłumaczył Naylor nalewając herbatę. - Jest niezastąpiony, gdy trzeba ostudzić zapał lub wręcz obezwładnić podejrzanego. Rzecz w tym, że nie ma smykałki do prowadzenia dochodzenia, a chyba właśnie tego oczekuje pani w pierwszej kolejności, lady Barrant.

Pociągnęła łyk herbaty. Była gorąca, zadziwiająco aromatyczna i zdecydowanie poprawiała nastrój, rozjaśniając nieco to straszne popołudnie. Joanna nigdy przedtem nawet nie widziała Newgate, a cóż dopiero mówić o odwiedzinach! Nawet sobie nie wyobrażała, że kiedykolwiek będzie siedzieć w pokoju przesłuchań sądu przy Bow Street i popijać herbatę z jednym z inspektorów. Dobrą herbatę - dodała w myślach.

Gideona Naylora otaczała stateczna aura doświadczenia i kompetencji - musiała to przyznać. Sprawiał wrażenie skorego do wysłuchania jej historii, nawet gdyby miało to zająć wiele godzin i musiał wypić cały dzbanek herbaty.

- Chcę, by ktoś przeprowadził dochodzenie w sprawie morderstwa, o które niesłusznie oskarżono mojego starego przyjaciela - zaczęła

wyjaśnienia.

- O jakie morderstwo chodzi, moja pani?

Naylor był pewien, że zna odpowiedź na to pytanie. Nie sądził, że lady Joanna Barrand pragnie wstawić się za jakimś chłopakiem z niższej klasy, oskarżonym o zamordowanie prostytutki. Ostatnio miało miejsce tylko jedno zabójstwo, które mogło wchodzić w grę.

- Ofiarą była lady Fairhaven, panie Naylor.

- Lord Ashford jest pani przyjacielem?

- Och, a więc zna pan tę sprawę?! - radośnie zawołała Joanna.

- Można tak powiedzieć. To właśnie ja aresztowałem lorda Ashford.

Dziewczyna podskoczyła, jakby ktoś ukuł ją szpilką.

- Jak mogę wynająć kogoś, kto jest przekonany o winie Tony'ego?

- Lady Barrand, zostałem wyznaczony przez sąd do zbadania tej sprawy i dokonania odpowiednich aresztowań. Znalazłem wystarczająco wiele dowodów obciążających lorda Ashford. To jednak wcale nie oznacza, że jestem przekonany o jego winie. Wypełniałem tylko swoje obowiązki.

- Więc nie wierzy pan, że on to zrobił?

- Tego nie powiedziałem. Zgadzam się, że sprawa nie jest przejrzysta i należałoby trochę rozjaśnić okoliczności śmierci lady Fairhaven. Nawet gdy lord Ashford zostanie zwolniony po przesłuchaniu w sądzie. Zwłaszcza wtedy.

- Istnieją szansę, że tak się stanie?

- Jest to możliwe. Były podstawy, aby go aresztować, ale czy sędzia zdecyduje się trzymać go w areszcie aż do procesu? Do tego potrzebne byłoby zeznanie naocznego świadka, a czegoś takiego w tej sprawie nie mamy.

- A co konkretnie macie?

- Zgodnie z naszymi danymi lord Ashford był ostatnią osobą, która widziała lady Fairhaven żywą. Wiemy również, że odmówiła mu pieniędzy, których rozpaczliwie potrzebował. Natomiast jego żołnierska przeszłość skłania nas do przypuszczenia, że znana mu była metoda zabójstwa, którą posłużył się morderca.

- Myślałam, że lady Fairhaven została uduszona. Chyba każdy mógłby to zrobić.

Naylor przechylił się do przodu i położył dłonie na szyi Joanny. Pod jego kciukami dziewczyna poczuła przyśpieszający puls.

- Moja pani, po obu stronach szyi biegną tętnice. Jeżeli nacisnąłbym nieco silniej, straciłaby pani przytomność. I nigdy już by jej pani nie odzyskała, gdyby nacisk był jeszcze silniejszy. Nie wszyscy znają ten sposób, ale żołnierze raczej tak.

Naylor był bardzo delikatny, a mimo to Joanna wyczuła drżącą w jego rękach siłę. Nagle zdała sobie sprawę, że ludzie nie mylili się: ten drobny, miły człowiek śmiało mógł być okrutny dla okrutnych.

Nerwowo przełknęła ślinę i w tym samym momencie inspektor cofnął dłoń.

- Robi pan wrażenie eksperta w tej dziedzinie, panie Naylor

- powiedziała beznamiętnym tonem, choć ta krótka demonstracja zachwiała jej spokojną pewnością siebie. W myśli zadawała sobie pytanie: co czuła Claudia w ostatnich chwilach życia?

- Służyłem w piechocie, w Czterdziestym Siódmym Regimencie. Mam więc pewne doświadczenie. Podobnie jak lord Ashford.

- Wymienia pan dowody przeciwko Tony'emu, jakby go pan potępiał. Znam Anthony'ego Vardena, wiem, że zależało mu na lady Fairhaven, i jestem pewna, że nigdy nie zrobiłby jej krzywdy, obojętne, jak bardzo byłby zdesperowany.

- Hazardzista często zachowuje się jak człowiek pod wpływem alkoholu. Traci zdolność oceny własnych czynów, nie odróżnia dobra od zła, działa impulsywnie. Jest zdolny do zbrodni w afekcie. Kto wie, jak postąpiłby lord Ashford w chwili paniki?

- Jeśli jednak tego nie zrobił, prawdziwy morderca przebywa na wolności! Tony twierdzi, że wyjaśnili nieporozumienia i Claudia sama, z własnej woli, dała mu pieniądze. Powiedział mi, że... - zawahała się. Sprawiając sobie ból, dokończyła: - Kiedy wychodził, byli zaręczeni.

- Powiedział mi o tym.

- I nie wierzy mu pan?

- Był dość przekonujący, lady Joanno. Rzecz w tym, że nie ma świadków pojednania, jest tylko świadek kłótni. Oczywiście - mówił dalej inspektor, jakby zastanawiał się na głos - należy w tym miejscu wspomnieć o interesującym szczególe, który trochę komplikuje sytuację.

- Jakież to szczegól?

- Służący mógłby nam powiedzieć, czy wychodząc lord Ashford wyglądał na szczęśliwego, czy robił wrażenie człowieka, który przed

chwilą się zaręczył. Zapewne mógłby zeznać, czy lady Fairhaven jeszcze wtedy żyła, a jeśli tak, to czy była zagniewana, zawiedziona czy też rozradowana. Jednak służący zniknął.

- Zniknął? Co pan przez to rozumie? - dopytywała się Joanna.

- Kilka tygodni przed śmiercią lady Fairhaven zatrudniła nowego służącego. Lokaj kazał mu zostać przy drzwiach i odprowadzić ją do sypialni. Na miejscu zbrodni dowiedziałem się, że Jim dosłownie zapadł się pod ziemię, zostawiając w swoim pokoju wszystkie rzeczy osobiste.

- Może to on jest mordercą! - wykrzyknęła dziewczyna z nadzieją w głosie.

- Tylko dlaczego?

- Dla pieniędzy, rzecz jasna.

- Możliwe, chociaż nie wiemy, ile pieniędzy trzymała w szufladzie lady Fairhaven. Równie dobrze Jim może leżeć gdzieś w ciemnym zaułku, z podejrzanym gardłem. Nie, nie. W jego przypadku motywy nie są oczywiste.

- Czy mógł to być jeszcze ktoś inny?

- Złodziej. W ostatnich miesiącach odnotowaliśmy prawdziwy urodzaj na włamywaczy, ale ci, których znam, raczej nie posunęliby się do zabójstwa. - Na moment zawiesił głos, jakby przypomniał sobie o czymś istotnym. - Jest jeszcze ktoś. Nowy lord Fairhaven...

Joanna wzdrygnęła się.

- Odnoszę wrażenie, że nie lubi pani hrabiego - zauważył Naylor z uśmiechem czającym się w kącikach ust.

- W rzeczy samej. Jest w tym człowieku coś odpychającego. Mogłabym wyobrazić sobie, jak morduje z zimną krwią - odparła bez chwili namysłu.

- Niestety, lady Barrand, nie możemy tego uznać za dowód, ale zgodziłbym się, że wypadałoby zerknąć w przeszłość hrabiego Fairhaven. Trzeba również odszukać zaginionego służącego. Jeśli nadal chce pani skorzystać z moich usług, mogę podjąć się tych zadań.

Dziewczyna rozpromieniła się.

- Dziękuję, panie Naylor. Trudno mi wyrazić, jak dużo to dla mnie znaczy. Nawet jeśli sąd zwolni Tony'ego, nadal będą ciążyć na nim podejrzenia, a plotkarze nie spoczną, dopóki nie zostanie wykryty prawdziwy morderca. Jest moim starym i bardzo bliskim

przyjacielem - powiedziała ciepło. - Ciężko przeżył śmierć ojca, a potem brata. Mam nadzieję, że zaczniesz pan od zaraz - stwierdziła na koniec, podnosząc się z krzesła i przywołując Sally spojrzeniem.

- Tak. Lord Ashford ma wielkie szczęście, że posiada tak oddaną przyjaciółkę - powiedział Naylor, odprowadzając kobiety do drzwi.

Gdybym sam był hazardzistą, moja pani - pomyślał pomagając Joannie wsiąść do powozu - założyłbym się o duże pieniądze, że lord Ashford ma znacznie więcej niż swoją przyjaźń.

Tak szczęśliwie się złożyło, że kiedy wróciły do domu, ojciec nadal przebywał w klubie, a matka zażywała właśnie popołudniowej drzemki. Gdyby dzień nie był tak męczący, Joanna może nawet opowiedziałaby rodzicom o swej wyprawie „do piekieł”, ale teraz marzyła tylko o zdjęciu sukni i zrzuceniu butów.

Sally pomagała spełnić to marzenie.

- Spal ją - zarządziła Joanna, gdy suknia opadła na podłogę. - Może to tylko moja wyobraźnia, ale wydaje mi się, że czuję smród Newgate.

- Dobrze, moja pani.

- Dziękuję, że mi towarzyszyłaś. Zdaję sobie sprawę, jak niemiły był ten spacer, ale sama nic bym nie zdziałała. Chcę, żebyś wiedziała, iż doceniam twoją lojalność.

Sally zarumieniła się.

- Nie trzeba - powiedziała nie kryjąc zadowolenia. - Cieszę się, że obie jesteśmy z powrotem w domu.

Joanna zwołała garderobianą i narzuciwszy jedwabny szlafroczek, zagłębiła się w fotelu. Okna jej pokoju wychodziły na mały ogród na tyłach domu. Lubiła siadać przy oknie i czytać książki albo po prostu rozkoszować się spokojem oraz majestatycznym pięknem róż. Tego dnia jednak nie dostrzegła kolorów, a jedynym docierającym do niej zapachem był zatachły odór więzienia.

Przez całe popołudnie rozpieła ją energia, lecz teraz czuła się pusta, wyczerpana. Na dodatek zraniono jej uczucia. Przez lata się łudziła, że Tony jednak dojrzy w dawnej towarzyszce zabaw kobietę, rozkwitającą młodą kobietę, która od dzieciństwa jest w nim zakochana. Uśmiechnęła się do swych myśli. Kiedyś zdarzało jej się kopać go po kostkach lub walić piąstkami w pierś i były to jedyne chwile, gdy okazywała mu prawdziwe, nie zamaskowane uczucia.



Nigdy mu nie zdradziła, że w marzeniach jest sir Lancelotem, jej rycerzem. Wyobrażała sobie, że przytula ją, uwożąc na śnieżnobiałym rumaku ku zachodzącemu słońcu... Jeśli rzeczywiście się zdarzyło, że jechali na jednym wierzchowcu, Tony co najwyżej delikatnie ją przytrzymał. Jeśli nieopatrznie objął ją nieco mocniej, zaraz potem przeproszał i jednocześnie wybuchał śmiechem, droczył się z nią, żartował. Nie było to zachowanie godne rycerza Okrągłego Stołu, marzenie rozwiewało się niczym mgły nad Avalonem, lecz w takich chwilach wiedziała, że go kocha. Och, chyba lepiej zrobiłaby zakochując się w Nedzie, który przynajmniej potrafił przeprosić damę, jak na to zasługiwała. Ned jednak był zbyt poważny, zbyt uprzejmy. Tony był zabawniejszy i bardziej atrakcyjny.

Jej serce już na zawsze stało się własnością młodszego z braci Vardenów. Mimo że zdawał się nie zwracać na nią uwagi, Joanna wciąż miała nadzieję, że Tony choć częściowo odwzajemnia jej uczucia i rezerwuje dla niej jakiś skromny zakątek w swym sercu. Nawet gdy zaczął pokazywać się w towarzystwie lady Fairhaven, prawie przekonała samą siebie, że interesuje się wdową tylko dla jej pieniędzy. Dzisiaj dowiedziała się prawdy: zależało mu na Claudii. Może jej nie kochał, ale mu na niej zależało. Na Joannie również mu zależało, owszem, ale to Claudii się oświadczył. Wprawdzie był zaręczony tylko kilka godzin, ale liczył się fakt, że gdyby nie ten tragiczny wypadek, wkrótce stanąłby przed ołtarzem i włożył obrączkę na palec lady Fairhaven. I zrobiłby to dlatego, że miała wystarczająco dużo pieniędzy, by uratować Ashford. Pod tym względem Joanna nie mogła się z nią równać.

Obecna sytuacja jako żywo przypominała jej zdarzenie sprzed wielu lat. Joanna miała uczucie, że nadal tkwi przywiązana do drzewa, czekając, aż do Tony'ego dotrze oczywista prawda, że zapomniał o kimś ważnym, kimś bliskim. Wciąż zachowywał się jak beztroski chłopiec, lecz teraz był już głupim, nierozgarniętym mężczyzną. Chciałaby, żeby stanął przed nią tu i teraz, w tej chwili. Wygarnęłaby mu wszystko bez ogródek, skopałaby go po kostkach, a na koniec rzekła: „Głupcze, nie widzisz, że cię kocham?!”

Teraz on również był więźniem. On również czekał na to, co zgotuje mu los.

Miłość to nieustanny ból i cierpienie - pomyślała, gdy gniew

przygaśł, a do oczu napłynęła pierwsza fala łez. Słone krople spływały po twarzy i skapywały na zielony jedwab szlafroka, wnikając pomiędzy włókna i nasączając je wilgocią.

Coraz trudniej było utrzymać wszystko w tajemnicy. Coraz więcej wysiłku wymagało zachowanie spokoju. Nie potrafiła dłużej udawać, że Tony odwzajemnia jej uczucia.

Mogła oczywiście machnąć nań ręką i odciąć się od niego, jak uczynią to wszystkie damy z towarzystwa. Ale czy rzeczywiście mogła? Nie, nigdy. Nie odwróci się od Tony'ego, ale może wyjechać. Już dawno temu obiecała matce chrzestnej z Cumbrii kilkudniowe odwiedziny. Zaczeka na decyzję sądu, a jeśli lorda Ashford wypuszczą na wolność, zaraz po zakończeniu sezonu balowego wyjedzie na całe lato. I była przekonana, że do domu wróci uwolniona od tej śmiesznej, dziecinnej obsesji na punkcie Anthony'ego Vardena.

### ***Rozdział osiemnasty***

Mark Halesworth był wściekły. Nazajutrz po tragicznej śmierci Claudii złożył wizytę adwokatowi Justina, aby zapytać go o testament nieboszczki. Miał nadzieję, że taki dokument nie istnieje, co automatycznie uczyniłoby go jedynym spadkobiercą. Jednak Resesby był znakomitym prawnikiem i nigdy nie dopuściłby do podobnej sytuacji.

- Lady Fairhaven - poinformował Haleswortha - sporządziła testament natychmiast po śmierci męża, mój panie.

- Rozumiem - powiedział Mark wzdychając z ulgą. Będzie musiał poczekać na pieniądze trochę dłużej, ale otrzyma je na pewno, gdyż Claudia mogła je zapisać tylko jemu.

- Jednak kilka tygodni przed śmiercią wniosła do dokumentu znaczące poprawki - dodał Resesby. Stary prawnik nie cierpiał obecnego lorda Fairhaven i z radością przekazał mu złe wieści.

- Znaczące poprawki? Jakiego rodzaju?

- Obawiam się, że nie jestem upoważniony do udzielania takich informacji, sir. Musi pan poczekać na oficjalne odczytanie ostatniej woli, lecz stanie się to dopiero wówczas, gdy zostanie wyjaśniona zagadka śmierci lady Fairhaven.

- Zagadka? Jaka znowu zagadka? Zamordowano ją, głupcze.

Aresztowano już winnego. To Tony Varden.

- Jest tylko podejrzanym, mój panie. Nie wiadomo nawet, czy sędzia zatrzyma go w więzieniu do procesu.

- Jestem tego pewien.

- Może tak się zdarzyć, ale nawet wtedy będziemy musieli poczekać z ujawnieniem treści testamentu.

- Czy to znaczy, że mi go nie pokażesz?

- Nie, sir.

Mark opuścił czym prędzej gabinet, trzaskając drzwiami. Stary Resesby uśmiechnął się, otworzył szufladę i pieścizotliwie pogładził pergamin, na którym spisano ostatnią wolę lady Fairhaven. Halesworth był teraz rozżłoszczony, ale wpadnie w prawdziwą furję, gdy usłyszy, jakie zmiany wniosła Claudia. Każdy się zastanawiał, czy Anthony Varden naprawdę jest winien, i wszyscy mogli co najwyżej snuć domysły. Nawet jeśli sędzia wypuści go na wolność, ten testament wystarczy, żeby trafił z powrotem za kratki.

Chciałbym się zobaczyć z panem Gideonem Naylorem. Zaskoczony kancelista podniósł wzrok na petenta. To już druga osoba szukająca inspektora, a taki ruch oznacza, że zabito kogoś z wyższych sfer. Wczoraj była tu młoda dama, a teraz...

- Pan Naylor jest w terenie, panie...

- Mark Halesworth, lord Fairhaven. Jeżeli zostawię wiadomość, czy dopilnuje pan, aby dotarła do adresata?

- Oczywiście, sir.

Urzędnik podał Halesworthowi kartkę papieru i pióro ze użytą stalówką, która w trakcie pisania płała rozmaite figle.

- Proszę - rzekł Mark, wręczając kanceliście notatkę i mrużąc oczy na widok poplamionych atramentem palców. - Niech pan dopilnuje, by dostał to jak najszybciej.

- Tak, sir.

Urzędnik odczekał pięć minut, zanim rozwinął kartkę i przeczytał:

*Naylor,*

*sugeruję, ażeby złożył pan wizytę Resesby'emu, adwokatowi mojego zmarłego kuzyna. Lady Fairhaven wprowadziła niedawno poprawki do testamentu, które mogą stanowić kolejny dowód obciążający lorda Ashford.*

Kancelista zamyślił się. Gideon był mocno naciskany z obu stron. Ciekawe, na którą się przechyli?

Następnego dnia to samo pytanie zadawał sobie Gideon Naylor. Ponownie poszedł do domu lady Fairhaven, mając nadzieję, że uda mu się uzyskać dodatkowe informacje na temat Jima. Niestety, niewiele się dowiedział. Poprzedni służący zrezygnował z pracy nagle, z dnia na dzień. Odchodząc polecił Jamesa Tolina.

- Jim był bystrym chłopakiem, bardzo uprzejmym i pracowitym - mówił Dawson. - Chyba był lojalny. Szybko polubił panią, jak my wszyscy - dodał z wyczuwalnym drżeniem w głosie.

- Pochodził z Londynu? Wspominał o rodzicach?

- Wiem tylko, że ich odwiedzał, kiedy miał dzień wolny. Nie mówił jednak, w jakiej części miasta mieszkają. Wspominał kiedyś, że jego ojciec również był na służbie.

- Dziękuję, Dawson, będę miał od czego zacząć. I jeszcze jedno: posiadał jakieś pieniądze?

- Chyba tylko to, co zostało mu z pensji.

- Ale to znaleźliśmy w jego pokoju - przypomniał Gideon. Dawson zmarszczył brwi.

- A może Jim zobaczył, jak lord Ashford morduje lady Fairhaven, a tamten przekonał go, żeby zniknął, i opłacił jego milczenie? Pomyślał pan o tej możliwości, inspektorze?

- W takim razie może nie był tak lojalny, jak pan sądzi?

- No cóż... Był tu nowy, a poza tym prawie każdego można przekupić.

- Jest to ewentualność, którą trzeba brać pod uwagę, panie Dawson - stwierdził inspektor uśmiechając się do lokaja. Zawsze z radością przyjmował wszelkie sugestie. - Tymczasem - powiedział kończąc rozmowę - gdyby usłyszał pan coś interesującego

albo przypomniał sobie coś ważnego, koniecznie proszę skontaktować się ze mną.

- Oczywiście, panie Naylor. Oczywiście. Wychodząc Gideon zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Na początek popyta o starego służącego nazwiskiem Tolin. Miał nadzieję, że ojciec Jima zatrudniony był w Mayfair, a nie u jakiegoś bogatego obywatela

poza miastem. Chodzenie i zbieranie danych należało do najbardziej żmudnych elementów jego pracy, lecz było absolutnie niezbędnym. Zawsze się pocieszał, że ruch dobrze mu służy.

Przez półtora dnia odwiedził dziesiątki domów i nie posunął śledztwa nawet o krok. Miał dość. Postanowił zrobić sobie przerwę i pójść za wskazówką lorda Fairhavena.

Adwokat nie pokazał inspektorowi testamentu. Potwierdził jedynie, iż lady Fairhaven niedawno zmieniła treść ostatniej woli.

- Panie Reresby, może pan powiedzieć, czy lord Ashford skorzystałby na tych zmianach i jaka byłaby to suma?

- Niestety, nie mogę powiedzieć, jak dużo zyskałby lord Ashford - odrzekł stary prawnik.

- W takim razie zaczekam na odczytanie testamentu. Dziękuję, panie Reresby. Bardzo mi pan pomógł.

- Mam nadzieję, panie Naylor.

A więc Claudia Halesworth zmieniła ostatnią wolę na korzyść lorda Ashford - pomyślał Gideon. - Obawiam się, lady Barrand, że sprawy nie wyglądają najlepiej. Twój stary przyjaciel ma coraz większe kłopoty. Jeżeli wiedział o testamencie...

Gideon Naylor przywołał dorożkę i kazał się zawieźć do Newgate.

### ***Rozdział dziewiętnasty***

Lord Ashford usiłował ignorować dzikie wrzaski nowego więźnia, który zachowywał się tak, jakby jego miejsce było w zakładzie dla obłąkanych w Bedlam, a nie w Newgate. Z trudem przychodziło Tony'emu czytanie myśli Marka Aureliusza. Znajdowały się one pośród książek przysłanych przez Joannę i wciąż nie mógł dociec, czy dobór dowodzi szczególnego poczucia humoru, czy też Joanna naprawdę uważała, że akurat te książki będą mu odpowiadać. Dzieło starego Rzymianina na pewno było lepsze od „Męczenników” Foxe’a lub „Powołania do życia świętego” Williama Lawa, ale tylko odrobinę. Tony uważał, że w sytuacjach ekstremalnych mężczyzna rzeczywiście powinien zwrócić się do Boga lub szukać pociechy w filozofii, jednak osobiście wolałby coś napisanego z humorem. Był przecież wystarczająco przybity. Miał już chęć rzucić książki w ką i zapominając o swym ślubowaniu, poszukać partnera do kart, kiedy nagle został wezwany do sali odwiedzin.

Myślał, że to Joanna, ale srodze się zawiódł. W sali czekał na inspektor, który go aresztował i przywiózł do więzienia.

- Czego chcesz, Naylor? - spytał od progu, z ledwie maskowaną wrogością.

- Chciałbym zadać panu kilka pytań - odparł spokojnie Gideon.

- Zostałem zatrudniony przez lady Joannę Barrand, aby wyjaśnić sprawę zabójstwa lady Fairhaven.

Anthony Varden poczuł się bardziej upokorzony niż wtedy, gdy Naylor aresztował go w jego własnym domu. Był całkowicie bezbronny, bezradny jak niemowlę, a Joanna dbała o niego niczym niania. Opłaciła tego człowieka z własnych skromnych środków. Lord Ashford nie mógł znieść takiego uzależnienia. Zamiast wdzięczności poczuł gniew.

- Nie zgadzam się - warknął. - Może pan się uważać za odwołanego. Naylor spojrzał na niego łagodnymi błękitnymi oczami.

- Niech pan siądzie, milordzie. Obawiam się - na ustach zaigrał mu nikły uśmiech - że nie może pan mnie odwołać, ponieważ to nie pan mnie wynajął.

- Jak Joanna mogła to zrobić? - pytał Tony, siadając na krześle.

- Skłaniałbym się ku myśli, że zrobiła to, gdyż chciała panu pomóc - stwierdził ironicznie inspektor. - Czyżby lękał się pan, że moje śledztwo ujawni jakieś obciążające pana szczegóły? - dodał niezwykle uprzejmym tonem.

Tony spojrzał na rozmówcę uważniej.

- Bardzo podstępny z siebie człowiek, co, Naylor? Gadu-gadu, a w rzeczywistości tylko czekasz na błąd?

- Chyba ustaliliśmy to już przy naszym poprzednim spotkaniu - przyznał Gideon. - Jeśli jest pan niewinny, moje śledztwo powinno być panu na rękę. Zgadza się?

- Nie mogę tak uzależniać się od Joanny - mruknął Tony.

- Nie przejmował się pan, pożyczając pieniądze od lady Fairhaven.

- Niech cię szlag, Naylor! Ona mnie kochała. Chciałem dać jej coś w zamian i ofiarowałem przyjaźń oraz głębsze uczucia, o których nie będziemy dyskutować.

- A lady Barrand nie darzy pan głębszymi uczuciami? Sądziłem, że jesteście przyjaciółmi z dzieciństwa.

- Oczywiście, zależy mi na niej, ale... Ona znajduje się w zupełnie innej sytuacji. Jest niezamężną młodą damą, której reputacja zostanie

zbrukana, kiedy ludzie się dowiedzą, w co się wplątała. Poza tym nie kocha mnie tak jak Claudia.

Gideon chciał wstać i potrząsnąć Vardenem. Jakim głupcem był ten człowiek! Naylor spędził z lady Barrant zaledwie pięć minut i nie miał wątpliwości, że dziewczyna jest zakochana w tym... tym idiocie. A on po tylu latach przyjaźni wciąż był tego nieświadom.

- Naylor, posłuchaj - mówił dalej Tony. - Wiem, że nie jestem zbyt uprzejmy, w zasadzie zachowuję się jak arogancki łowca fortun, ale to wcale nie było tak. Lady Fairhaven i ja stanowiliśmy parę dobrych przyjaciół. Ona mnie kochała, ja ją lubiłem i oboje mieliśmy nadzieję, że po ślubie, w miarę upływu czasu, zbliżymy się do siebie jeszcze bardziej. Wiedziała, że potrzebuję pieniędzy, aby ocalić Ashford, lecz wiedziała również, iż zależy mi na niej. Nie byłem ostatni. Mogła trafić znacznie gorzej.

- Na przykład na lorda Fairhaven?

- To nie był jej wybór. Rodzice wydali ją za męża, gdy miała siedemnaście lat. Z tego, co sama mi opowiadała, stanowili jednak szczęśliwe małżeństwo.

- Chodziło mi o obecnego lorda Fairhaven.

- Marka Haleswortha!

- Nie darzy go pan sympatią?

- Jest równie fałszywy jak ty, Naylor - odparł Varden z uśmiechem.

- Znam go ze szkoły. Jest zimny jak ryba i interesują go tylko pieniądze.

- Proszę jeszcze raz opowiedzieć, co wydarzyło się tamtej nocy - rzekł inspektor zmieniając temat.

- Już to mówiłem.

- Mimo wszystko chciałbym to usłyszeć.

Anthony Varden westchnął. Wspomnienia były bolesne.

- Wcześniej tego samego tygodnia pożyczyłem od Claudii pieniądze i obiecałem spłacić wszystkie długi. Ale ich nie spłaciłem. Poszedłem do domu gry, wszystko straciłem, lecz potem część odzyskałem. Mogłem już spojrzeć jej w oczy, choć nie było to łatwe.

- Zawiesił głos.

- Proszę dalej.

- Przyszło mi do głowy, że gdybym nie złamał obietnicy, Claudia nadal byłaby wśród nas. Ale zadaję sobie pytanie: skąd włamywacz wiedział o pieniądzach?

- Rzeczywiście.
- Nie rozumiem, po co jeszcze raz przez to przechodzimy, Naylor, skoro jesteś przekonany o mojej winie. Joanna wyrzuciła pieniądze w błoto.
- Proszę kontynuować, milordzie - rzekł Gideon uprzejmie, lecz stanowczo.
- Umówiłem się z Claudią na następny wieczór i miałem zamiar poprosić o drugą pożyczkę. Poszliśmy do biblioteki. Dawson wniósł brandy akurat w samym środku naszej kłótni. Mógł słyszeć, jak Claudia odmawia mi pieniędzy - na pewno jego zeznania są prawdziwe - ale zaraz potem został odesłany do łóżka. Claudia i ja rozmawialiśmy jeszcze kilkanaście minut. Przekonałem ją, że tym razem rzeczywiście na zawsze skończę z hazardem. Spłacę wszelkie zobowiązania i będę trzymał się z daleka od domów gry. Potem się zaręczyliśmy.

Tony znowu przerwał opowieść.

- I...
  - Nie mogę uwierzyć, że ona nie żyje - powiedział Varden ze łzami w oczach. - Mam wrażenie, że to szczególnie długi i wyjątkowo wstrętny koszmar. Zaraz się obudzę i Claudia będzie obok mnie.
  - Co wydarzyło się później? Tony przestonił oczy dłonią.
  - Powiedziałem dobranoc i wyszedłem. Jim mnie wypuścił.
  - Ten nowy służący?
  - Tak.
  - Dał mu pan pieniądze, milordzie?
  - Byłem tak szczęśliwy z powodu zaręczyn, że dałem mu gwineę.
  - I potem pan wyszedł?
  - Potem wyszedłem.
  - Przypuścimy, że to prawda...
  - Do jasnej cholery! To jest prawda!
  - W takim razie kto ją zamordował?
  - Nie mam pojęcia. Ostatnio było dużo włamań do sąsiednich domów. Może złodziej się spodziewał, że wszyscy już poszli spać. Wszedł do biblioteki i...
  - A co z Jimem? Zapadł się pod ziemią?
- Anthony Varden zmarszczył brwi.
- Nie sądzę, aby ten człowiek był zdolny do morderstwa. Wydawało się, że bardzo lubi lady Fairhaven, podobnie jak reszta



służby.

- A lord Fairhaven? - zapytał Gideon tym samym obojętnym tonem.

- Z rozkoszą powiedziałbym, że to on. Nie cierpię go. Tylko dla czego miałby popełnić taką zbrodnię?

- Dla pieniędzy. Obawiam się, że to najczęstszy motyw - odparł inspektor ze smutnym uśmiechem na ustach. - Lady Fairhaven miała wielką fortunę.

- Owszem, lecz Mark jest bogatym człowiekiem. Odziedziczył tytuł i posiadłość, a poza tym prowadzi dobrze prosperującą firmę. Czego więc jej mógłby chcieć?

- Niektórzy ludzie nigdy nie mają dość bogactwa - stwierdził Naylor filozoficznie. - A co z testamentem lady Fairhaven?

Tony spojrzał na niego, jakby dopiero teraz pomyślał o ewentualnej ostatniej woli Claudii. Inspektor uznał, że albo lord Ashford jest znakomitym aktorem, albo od samego początku mówi prawdę. W tym momencie nie mógł zdecydować, co jest bardziej prawdopodobne.

- Nie wydaje mi się, by Claudia w ogóle sporządziła testament. Przecież była stosunkowo młodą wdową.

- Ale bardzo bogatą. Adwokat jej zmarłego męża dopilnował, by ostatnia wola została spisana. Gdyby lady Fairhaven nie wyszła ponownie za mąż i nie miała dzieci, jedynym spadkobiercą byłby

Mark Halesworth.

- Miałby odziedziczyć absolutnie wszystko? Czy to nie wystarczająco silny motyw? - zastanawiał się Tony na głos.

- Mógłby to być znakomity motyw. Problem w tym, że nie dalej jak dwa tygodnie temu lady Fairhaven wniosła do testamentu poprawki. Nie znam szczegółów, ale o ile dobrze zrozumiałem, owe poprawki są na pana korzyść, lordzie Ashford.

Tony otworzył szeroko oczy.

- Ale wtedy nawet nie byliśmy zaręczeni!

Wszystko wskazuje, że przynajmniej w jednej kwestii nie mijają się pan z prawdą. Lady Fairhaven rzeczywiście pana kochała. Mogę tylko zgadywać, ale chyba zapisała panu sumę, która niezależnie od tego, co wydarzyłoby się między wami, pozwoliłaby uratować pańską posiadłość. Niestety, nie przewidziała tylko tego, że zostanie zamordowana...

- No to... Skoro tak... Jestem już trupem - powiedział Tony wstając od stołu.

- Jeszcze nie. Testament nie został odczytany. Jeśli to nie nastąpi do chwili wstępnego przesłuchania, sędzia może pana zwolnić.

- I każe aresztować mnie ponownie, gdy tylko treść testamentu zostanie ujawniona!

- Chyba że znajdę dowody wskazujące na winę kogoś innego, sir.

- To beznadziejna sprawa, Naylor. Inspektor westchnął.

- Jakże nisko ocenia pan moje umiejętności! Przyznaję, że zadanie nie należy do najłatwiejszych, ale sprawa na pewno nie jest beznadziejna.

Varden nie skomentował ostatniej wypowiedzi gościa.

- Wyświadczysz mi przysługę, Naylor?

- Oczywiście, mój panie.

- Niewątpliwie będziesz zdawał raport lady Barrant. Mam rację?

- Tak, sir.

- Poproś ją, aby przysłała mi najnowszą powieść miss Austen, dobrze? Jakoś nie wydaje mi się, żebym przeczytał choćby jeszcze jedną stronę Marka Aureliusza.

### ***Rozdział dwudziesty***

Kiedy inspektor przekazał prośbę Vardena, Joanna uśmiechnęła się.

- Nie odpowiada mu rzymski stoik? Cóż, w sumie nawet się nie dziwię. To Ned uwielbiał Marka Aureliusza. Tony wołał Cezara i jego bitwy. Rozmawiał pan z nim po raz drugi. Jakie odniósł pan wrażenie? - zapytała, wskazując inspektorowi miejsce w fotelu.

- Moja pani, albo ten człowiek nie wierzy w moje umiejętności, albo doskonale wie, że będę ścigał tylko cienie, ponieważ to on jest winien.

- Która ewentualność jest bardziej prawdopodobna?

- W trakcie śledztwa staram się zachować świeżość spojrzenia i pozostać obiektywnym. Z pewnością istnieje wystarczająco wiele dowodów przeciw lordowi Ashford. Sędzia zdecyduje, czy obciążają go na tyle, by areszt utrzymać aż do procesu.

- Ale po tej rozmowie chyba nie wierzy pan, że Tony jest mordercą - zaprotestowała Joanna.

Na moment z twarzy Gideona zniknął uprzejmy uśmiech. Spojrzał

na dziewczynę wzrokiem człowieka, który poznał ciemną stronę ludzkiej natury.

- Madame, wielokrotnie udowadniałem, że osoby, które wyglądały na uosobienie niewinności, były winne strasznych, odrażających zbrodni.

Joanna zadrżała. Miała wrażenie, iż Naylor widzi oczami wyobraźni potwornie okaleczone zwłoki i kałuże krwi.

- Muszę jednak przyznać - powiedział inspektor, a jego rysy ponownie się wygładziły - że nikt nie deklarował swej niewinności równie przekonująco, jak lord Ashford.

Dziewczyna westchnęła z ulgą.

- Czy dowiedział się pan czegoś o zaginionym służącym?

- Jeszcze nie. Jutro skoncentruję się właśnie na tym.

- Dziękuję, panie Naylor, dziękuję za wszystkie wysiłki - powiedziała przywołując lokaja, który miał odprowadzić inspektora do drzwi.

Została w bibliotece i pogrążyła się w niewesołych rozmyślaniach. Wstępne przesłuchanie miało się odbyć lada dzień. Jak, na Boga, uda się Naylorowi znaleźć zaginionego służącego do tego czasu? A jeśli Jim nie żyje lub uciekł z Londynu? A może niczego nie widział? Wtedy Tony będzie gnął w więzieniu aż do procesu i prawdopodobnie zginie na szubienicy. Odejdzie w zaświaty, do Neda i Claudii, a ona, Joanna Barrand, będzie musiała żyć bez niego...

Gideon zaczął poszukiwania z samego rana. Chodził z miejsca w miejsce przez kilka godzin. Kusiło go, żeby zrobić sobie przerwę na piwo i jakiś ciepły posiłek, ale zajrzał do jeszcze jednego domu przy Curzon Street. Z początku wszystko przebiegało jak w innych domostwach: nikt nie mógł sobie przypomnieć starego lokaja o nazwisku Tolin. W pewnym momencie kucharka, pracująca tam od lat, powiedziała:

- Zaraz, zaraz! Panie Naylor, czy koniecznie chodzi panu o lokaja?

- Co pani ma na myśli? - zaciekał się inspektor.

- Dawno temu znałam pokojówkę o tym nazwisku. Byłaby teraz w takim wieku, że spokojnie mogłaby być matką tego Jima. Gideon się rozpromienił.

- Czyżby chłopak posłużył się panięmskim nazwiskiem matki? Już samo to jest interesujące. Czy pamięta pani, co się stało z tą

pokojówką?

- Wyszła za lokaja pracującego u wielmożnego pana Pentlowa. Nie pamiętam, jak później potoczyło się jej życie.

- A pamięta pani nazwisko tego lokaja?

Przysłuchujący się rozmowie służący wstrzymali oddech. Nie mieściło im się w głowie, że stara pani Conklin może pomóc rozwiązać zagadkę morderstwa.

- Crook? Nie. Jakoś podobnie, ale jak? Niech pomyślę... Pani Conklin zamknęła oczy i ściągnęła brwi, wyężając umysł. Gideon czekał cierpliwie.

- Rooke. Tak się nazywał. Henry Rooke. Był bardzo przystojnym młodzieńcem. Nie dziwię się, że świata poza nim nie widziała.

Lokaj klepnął kucharkę w ramię.

- Pani Conklin, pani to ma szczęście. Chyba rozwiązała pani sprawę, co, panie Naylor?

Gideon odpowiedział uprzejmym uśmiechem.

- Jeszcze nie do końca - wyjaśnił - ale teraz będzie mi znacznie łatwiej.

Nie mylił się. Cofnął się do domów, w których już był, ale teraz podawał właściwe nazwisko. Szybko trafił na podstarzałego służącego, który dobrze pamiętał Rooke'ów.

- Henry przez wiele lat pracował w jednym i tym samym domu, lecz jakiś czas temu wycofał się ze służby. Zatrudnił go sir Horace Pentlow.

Sir Horace mieszkał zaledwie kilka przecznic dalej. Teraz Gideon Naylor był pewien swego. Tak bardzo chciał już dotrzeć do rodziców Jima, że zignorował protesty żołądka.

Stary szlachcic był w domu. Otrzymawszy zapewnienie, iż informacja, której udzieli inspektorowi, nie zostanie wykorzystana przeciw byłym służącym, podał Naylorowi ich adres.

Państwo Rooke mieszkali w domku sąsiadującym z pubem „Pod Ptaszkiem i Gwizdkiem”, skąd rozchodziły się smakowite zapachy. Gideon szybko zdecydował, że może sobie pozwolić na krótki odpoczynek i małe co nieco. W zasadzie była już pora kolacji. Państwo Rooke pewnie parzyli herbatę i przygotowywali posiłek.

Zajął miejsce przy oknie i obserwował przechodniów. Mieszkańcy dzielnicy nie zaliczali się do bogaczy, ale byli przyzwoitymi obywatelami. Czuł się w tym pubie jak u siebie w domu; było tu

bardziej swojsko niż w bibliotece lady Joanny, choć ona sama nigdy by tego nie pomyślała. Tak to już jest, kiedy człowiek zajmuje się ściganiem przestępców. Trudno wejść w bagno i nie pobrudzić butów, a kiedy brodzi się w nim całymi dniami, ulice jak ta stają się ludzaco podobne do pierwszego lepszego zaułka w Mayfair. Zresztą kimże on był? Czym różnił się od tych ludzi? Pochodził z zachodnich prowincji. Ojciec służył u lokalnego ziemianina jako główny stajenny. Gideon mógł pójść w jego ślady, mógł pracować w stajni lub w domu, ale wówczas nie byłby panem samego siebie, z czym nie potrafiłby się pogodzić. Pewnego dnia zjawili się werbownicy i nie wahał się ani chwili. Jakoś nie przyszło mu do głowy, że w armii w ogóle utraci jakąkolwiek wolność. Jak na ironię, choć posiadał rozległą wiedzę o koniach, został wcielony do piechoty. Zobaczył trochę świata, poznał jego piękno i ohydę, a kiedy wrócił do Somerset, znalazł grób matki i dowiedział się, że ojciec został wyrzucony z pracy. Nie miał już domu. Zatrzymał się na jakiś czas u siostry, która poślubiła farmera z sąsiedztwa. Z radością przyjął rolę wujka Gideona wobec jej dzieci, lecz potem wyjechał do Londynu. Słyszał o ludziach, którzy zarabiają na życie ściganiem przestępców, i uznał, że jako były żołnierz ma szansę znaleźć zatrudnienie. Mógłby wstąpić na służbę do konnych patroli policyjnych, ale wolał swobodę, jaką cieszyli się inspektorzy. Czasami tego żałował. Zwłaszcza gdy nogi miał obolałe jak teraz.

Zastanawiał się, czy Jim mógłby ukrywać się u rodziców. No cóż, niedługo się przekona. Położył kilka monet obok talerza i podniósł się z krzesła.

Parę minut później pukał do drzwi państwa Rooke. Mieszkali na pierwszym piętrze, nad miniaturowym sklepikiem rzeźnika. Drzwi otworzył pan Rooke. Sztywno wyprostowany, z twarzą pozbawioną wyrazu, nadal zachowywał się jak lokaj.

- Pan Henry Rooke?

Stary lokaj rozpoznał w gościu pracownika sądu i uniósł brwi. Nic nie powiedział, kiwnął tylko głową.

- Nazywam się Gideon Naylor, pracuję dla sądu z Bow Street. Chciałbym zadać panu kilka pytań. Mogę wejść?

Rooke otworzył drzwi szerzej i poprowadził inspektora do saloniku.

- W czym mogę panu pomóc, panie Naylor? - powiedział głosem, w

którym ciekawość mieszała się ze zdziwieniem.

- Ma pan syna o imieniu Jim?

Maska opadła i zamiast dobrze wyszkolonego lokaja stanął przed Gideonem zaniepokojony ojciec.

- Chyba nic mu się nie stało? - spytał, zniżając głos do szeptu.

- Nie ma podstaw, by tak uważać. Przynajmniej na razie - dodał Gideon. - Chodzi o to, że pański syn zniknął nagle z miejsca zatrudnienia, a miałbym do niego kilka pytań.

- Zniknął z miejsca zatrudnienia?

- Tak, trzy dni temu. Lokaj przed udaniem się na spoczynek zostawił go na służbie w hallu, a rano się okazało, że Jima nigdzie nie ma. Jego współlokator, również służący, twierdzi, że tej nocy Jim nie pojawił się w pokoju. To może znaczyć, że wciąż chodzi ubrany w liberię.

Do tej pory o tym nie pomyślałem - powiedział sobie w duchu Gideon. - Ale jeśli nadal ma na sobie liberię, to najprawdopodobniej jest już zimnym trupem.

- Służący? Liberia? Chyba chodzi panu o innego Jima, panie Naylor. Mój syn nie jest służącym.

- Jak to? - burknął inspektor zbity z tropu. - W takim razie, gdzie pracuje?

- Jest urzędnikiem w Halesworth Limited - odparł z dumą Rooke. - Posłaliśmy go do szkoły, aby osiągnął więcej niż my z żoną.

- Zaraz, zaraz. Pański syn, Jim Rooke, pracuje w firmie Marka Haleswortha, lorda Fairhaven?

- Tak, sir. Od kilku miesięcy.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

Stary lokaj zamyślił się.

- Zwykle odwiedzał nas w każdą niedzielę, ale w ostatnich tygodniach przychodził w środy po południu.

- I nigdy nie wspomniał, że pracuje w domostwie lady Fairhaven jako służący?

- Ależ skąd!

- No to teraz już pan wie. W noc, kiedy popełniono morderstwo, był ostatnią osobą, która widziała lady Fairhaven żywą, oprócz mordercy i lorda Ashford. Chyba że lord Ashford oraz morderca i jedna i ta sama osoba - dokończył Naylor, jakby mówił do innego siebie. - Dziękuję, panie Rooke, bardzo mi pan pomógł.

- Niech pan zaczeka, panie Naylor. Czy mówi pan, że Jim jest zamieszany w morderstwo i nie wiadomo, gdzie on jest? Jeszcze tego nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć.

### ***Rozdział dwudziesty pierwszy***

Uciekając z domu lady Fairhaven, Jim rozważał, czyby nie schronić się u rodziców, jednak szybko odrzucił ten pomysł. Przecież tam właśnie inspektorzy lub pan Halesworth będą szukać w pierwszej kolejności. Miał szczęście, że lord Ashford był tak hojny. Gwinea to prawdziwy skarb dla zbiega, ubranego w rzucającą się w oczy liberię.

W połowie drogi między domem Claudii Halesworth a mieszkaniem rodziców zdecydował, że odszedł wystarczająco daleko. Opustoszała aleja wydawała mu się równie dobra na spędzenie reszty nocy jak każde inne miejsce. Przycupnął w bramie jakiegoś budynku i zdrzemnął się, ignorując popiskiwanie szczurów i bijący z kanału smród. Kiedy wstało słońce, zdjął marynarkę i już miał ją zostawić w bramie, gdy uzmysłowił sobie, że w Petticoat Lane może dostać za nią trochę grosza. Przewiesił ją przez ramię i pomaszerował na rynek.

Właściciel lombardu znał się na swym fachu i nie dał Jimowi pieniędzy, natomiast zgodził się na wymianę. Jim wybrał sobie rzeczy i musiał zadowolić się tym, że dostał ubranie bez dopłaty. Na szczęście nie zapomniał wyjąć z bryczesów pół korony, które dostał od lady Fairhaven.

Na myśl o Claudii Halesworth jego serce gwałtownie zwalniało bieg, a potem w panice uderzało jak na spóźniony alarm. Lady Claudia nie żyła. Była tak miła, tak serdecznie go traktowała, mimo że był nowym pracownikiem. Dlaczego w ogóle zgodził się na szpiegowanie damy w jej własnym domu?

Ależ tak, oczywiście, lord Fairhaven przekonał go, że robi to dla jej własnego dobra, aby uchronić ją przed przebiegłym oszustem czyhającym na fortunę. Z tego, co Jim zobaczył, wynikało, że lord Ashford miał całkowicie szczerze zamiary, a lady Claudia była w nim zakochana. Tamtej nocy był naprawdę szczęśliwy; wychodząc, szczerze Jima obdarował i wesoło powiedział:

- Nareszcie mam co uczcić, Jim. Świętuj razem ze mną. - Nachylił

się i wyszeptał chłopakowi do ucha: - Oświadczyłem się i zostałem przyjęty! Jesteś pierwszą osobą, która może mi pogratulować. Ale cicho sza! Nikomu ani słówka!

Uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo, a Jim odpowiedział uśmiechem. Pomyślał wówczas: „Lord Fairhaven nie będzie zachwycony, kiedy o tym usłyszy, jednak to dobrze, że lady Fairhaven będzie miała w domu przystojnego, czarującego mężczyznę. W domu i w... łóżku.”

Jim nie musiał nawet powiadamiać lorda Fairhaven o wydarzeniach tej nocy. Halesworth zjawił się zaraz po wyjściu lorda Ashford i natychmiast poszedł do biblioteki, twierdząc, że nie ma potrzeby zapowiadać jego wizyty. A potem... Ten okropny widok. Lady Fairhaven leżąca bez życia na podłodze. Całe szczęście, że Halesworth był tak zaaferowany, iż nie spostrzegł ruchu przy drzwiach.

Może zrobił błąd uciekając z miejsca zbrodni, ale jak miałby się zachować? Wrócić do hallu, spokojnie wręczyć Halesworthowi płaszcz i udawać, że nic się nie stało? A może jednak został zauważony? Zabójca kobiety nie zawahałby się i bez mrugnienia okiem pozbyłby się również młodego, naiwnego urzędnika.

Jim uważał się za głupca. Był głupcem, bo uwierzył swemu pracodawcy. Teraz to bez znaczenia - osądził Jim. Co się stało, to się nie odstanie. Musiał tylko znaleźć jakąś kryjówkę, gdzie mógłby spokojnie przemyśleć następny krok.

Słyszał o St. Giles. Tam na pewno by uchodził za jednego z wielu kryminalistów i niełatwo byłoby go znaleźć. Ale nie był prawdziwym kryminalistą. Prawdę mówiąc, przerażała go wizja spacerowania po ulicach najgorszej dzielnicy Londynu. Może znajdzie coś na skraju St. Giles. Tani dom czynszowy, w którym będzie mógł wynająć pokój.

Dotarł na południowy kraniec Russell Square. Przeszedł kilka uliczek i wreszcie zatrzymał się w pubie na kufel piwa. Nic nie jadł od kolacji poprzedniego dnia, toteż alkohol uderzył mu do głowy. Miał zamiar oszczędzać pieniądze i jeść tylko raz dziennie, zamówił więc chleb i ser. Kiedy kelnerka przyniosła talerz, uśmiechnął się do niej przyjaźnie, a potem powiedział, że przyjechał tutaj z daleka i szuka noclegu. Zapytał, czy nie zna kogoś, kto tanio wynajmuje



pokoje.

- Może pan zajrzeć do pani Jarvison albo pani Spencer - odparła z figlarnym błyskiem w oku. - Pani Spencer zawsze ma pokoje, ale trzeba je dzielić z innymi osobami - dodała mrugając do chłopaka.

- Och, nie mam nic przeciwko dzieleniu z kimś pokoju - zapewnił Jim. Pomyślał, że dziewczyna jest wyjątkowo miła.

- Dobrze usłyszałem? Bucknall Street?

- Tak. Właśnie tam.

Posiłek i piwo postawiły Jima na nogi. Skoro nadarzała się okazja zdobycia bezpiecznego lokum, chciał ją jak najszybciej wykorzystać. Poszedł do pani Spencer, ponieważ tam było bliżej.

Na Bucknall Street pod numerem 17 stał niewielki dom, który zdecydowanie odróżniał się od innych śnieżnobiałą elewacją i nieskazitelnie czystymi szybami. Jim zastukał do drzwi, które po chwili otworzyła młoda kobieta, jak na pokojówkę ubrana zbyt szykownie, a jednocześnie jakby... nie całkiem ubrana.

- Czym mogę panu służyć? - spytała uprzejmie.

- Szukam pani Spencer - odrzekł chłopak, starając się nie patrzeć na to, co odsłaniał niezbyt kompletny strój dziewczyny.

- Jak rozumiem, ma pokoje do wynajęcia. Dziewczyna roześmiała się perłowym głosem.

- Od razu trzeba było tak mówić. Proszę wejść, sir. Zaraz zawołam panią Spencer.

Wprowadziła Jima do urządzonego z dużym smakiem salonu. Dom aż lśnił czystością i robił korzystne wrażenie. Dodatkowej urody dostarczał salonowi obraz; promieniejący jasnym światłem krajobraz, namalowany w ciepłych, pastelowych barwach, tak zafascynował Jima, że chłopak nie zauważył wchodzącej do pokoju kobiety.

Nagle za jego plecami rozległ się silny, melodyjny głos:

- To Constable.

Na dźwięk słowa „konstabl” Jim prawie wyskoczył ze swego nowego i cokolwiek nie dopasowanego ubrania.

- Konstabl?! Gdzie?! - wykrzyknął bez zastanowienia i odwrócił się, stając twarzą z twarzą z domniemaną panią Spencer. Jak to możliwe, że znaleziono go tak szybko?

Rozejrzał się po salonie. Nie mógłby się tu ukryć. Już był gotów odepchnąć kobietę i rzucić się do ucieczki, gdy usłyszał wyjaśnienie:

- John Constable, malarz. Wydawało mi się, że podziwia pan mój obraz, panie...

- Och, tak... eee... oczywiście - wyjąkał. - Nazywam się Jim Jones, madame.

Pani Spencer uśmiechnęła się.

- Panie... Jones. Tak więc szuka pan... pokoju, czy tak?

- Tak. Ile wynosi opłata za jedną noc?

- To zależy, czego pan od nas oczekuje, panie Jones.

- Niczego specjalnego. Może śniadania?

- Wygląda na to, że łatwo pana zadowolić, panie Jones. Może jest pan po raz pierwszy w takim domu jak mój? - pytała pani Spencer.

- Eee, tak. Nigdy przedtem nie zatrzymywałem się w prywatnym domu noclegowym.

- No cóż. Mam dla pana... pokój. Numer trzy, zaraz u szczytu schodów. Dziesięć szylingów za noc.

Jim odetchnął z ulgą. Obawiał się, że nie będzie go stać na tak czysty, zadbany dom. Doskonale. Biorę.

- Carrie pokaże panu drogę. I niech pan miło spędza z nami czas, panie Jones.

Pani Spencer otworzyła drzwi salonu i urodziwa, młoda dziewczyna, która wcześniej wpuściła Jima do domu, poprowadziła go na piętro.

- Proszę, jesteście na miejscu - powiedziała, gdy dotarli na górę. - Pan na całą noc, tak? Niewielu zostaje na dłużej niż kilka godzin. No, ale pan jest młody i pewnie od niedawna w mieście.

- Owszem, tak właśnie - stwierdził Jim i uśmiechając się, zamknął drzwi swego pokoju.

Rozejrzał się. Czysto i miło. Może nieco przesadny wystrój, nazbyt kłujący w oczy. Ta karmazynowa kapa i haftowane nakrycia na pościel! A obrazy na ścianach w niczym nie przypominały miłych dla oka krajobrazów... Ważne, że było czysto i bezpiecznie. Nareszcie kamień niepokoju spadł mu z serca. Jim zsuł buty i wyciągnął się na łóżku, które okazało się wyjątkowo wygodne.

Kiedy ktoś delikatnie zapukał do drzwi, bez wahania powiedział:

- Proszę wejść.

Spodziewał się pokojówki z dzbanem pełnym wody, przydatnym w umywalni, ale zamiast niej do pokoju weszła smukła ciemnowłosa dziewczyna, ubrana jeszcze bardziej skąpo niż Carrie.

- Dobry wieczór, panie Jones. Mam na imię Nancy.

- Dobry wieczór, Nancy - odrzekł Jim, opuszczając nogi poza krawędź łóżka i wstając. Dziewczyna była podobna do gospodyni tego domu, z tą różnicą, że dziewczęcej twarzy nie pokrywała gruba warstwa kosmetyków. Czyżby miał przed sobą córkę pani Spencer?

Dziewczyna zamknęła za sobą drzwi i zasunęła rygiel.

- Wynajął pan pokój na całą noc?

- Zgadza się.

- Jeśli się panu podobam, może pan spędzić ją ze mną - stwierdziła Nancy i oparłszy stopę o krawędź krzesła, zaczęła rolować pończochy.

- Z tobą?

Jim zastanawiał się, czy przypadkiem nie wypił za dużo piwa. Zaraz przypomniał sobie, jak kelnerka w pubie mrugnęła porozumiewawczo. Przypomniał sobie, że opisywała dom pani Spencer jako miejsce, gdzie czasem trzeba dzielić z kimś pokój. Jęknął i ciężko usiadł na łóżku.

Znalazł schronienie w domu publicznym!

Nancy podeszła do niego i przysiadła obok.

- Słyszałam, że to pański pierwszy raz. To prawda, panie Jones? Niech pan się nie martwi. Pomogę panu się odprężyć - zapewniła, zaczynając odpinać guziki jego koszuli.

Jim zerwał się na równe nogi.

- Nie! Rzeczywiście mówiłem, że to mój pierwszy raz, ale miałem na myśli gościnę w domu noclegowym, a nie publicznym! Zaszła jakaś pomyłka. Muszę odzyskać moje pieniądze.

- Jeśli zapłacił pan z góry, nie wyciągnie pan pieniędzy od pani Spencer - zawyrokowała dziewczyna. - Ale czy chce pan mnie, czy nie, wciąż ma pan pokój - dodała ze smutnym półśmiechem.

- Och, nie chodzi o to, że nie jesteś ładna - zaprotestował chłopak. - Nie bierz tego do siebie. Po prostu w tej chwili... nie potrzebuję towarzystwa dziewczyny.

- Chyba pójdę do pani Spencer i zastanowimy się, co mamy z panem zrobić.

Dziewczyna zniknęła za drzwiami, nim zdecydował się ją powstrzymać.

Jeszcze raz jęknął, a potem wybuchnął śmiechem. Uciekając przed wymiarem sprawiedliwości i mordercą, ukrył się w burdelu! On, syn

ogólnie szanowanych rodziców!

Wiedział, że takie miejsca istnieją, jednak nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby któreś z nich odwiedzić. Wyobrażał sobie, że pewnego dnia on i Polly Hemmings, córka rzeźnika, który był właścicielem mieszkania rodziców, stworzą dobraną parę. Jego doświadczenia z kobietami ograniczały się do kilku pocałunków z Poily. Nagle stanęły mu przed oczami smukłe białe nogi Nancy i poczuł przyjemne ciepło rozchodzące się po podbrzuszu. Przeraził się. Jak w ogóle mógł o czymś takim pomyśleć? Powinien odzyskać pieniądze i poszukać innego pokoju. Tak, właśnie to powinien zrobić, a nie siedzieć beczynn timer wyobrażać sobie, jak uroczo wyglądałaby ta młoda dziewczka bez ubrania!

Znowu otworzyły się drzwi, tym razem za sprawą pani Spencer. Wyglądała nieco starszej niż przedtem w salonie. Może dlatego, że na jej twarzy było jeszcze więcej szminki i pudru.

- Jak słyszę, panie Jones, chciałby pan odzyskać pieniądze.

- Tak, widzi pani, zaszło pewne nieporozumienie... - powiedział Jim, podrywając się z łóżka.

- Najwyraźniej. Niech pan siada. - Jim natychmiast opadł na posłanie, a pani Spencer przysunęła krzesło i usiadła naprzeciwko. - Pozostaje pytanie: kto powinien za to nieporozumienie zapłacić, pan czy ja?

- Może pół na pół? - zaproponował ostrożnie. - Widzi pani, nie mam wiele pieniędzy, a muszę teraz iść szukać miejsca w jakimś domu noclegowym - wyjaśnił z uśmiechem.

- Kiedy pan u nas się zjawił, panie Jones, wydawał się pan trochę zdenerwowany. Wprawdzie brak odzieży na zmianę nie jest zbrodnią, ale może dziwić, nie sądzi pan? Przed kim lub przed czym pan ucieka? Nie chcę żadnych problemów z władzą. Prowadzę przyzwoity interes i trzymam moje dziewczęta z dala od podejrzanych typów.

Jim zarumienił się.

- Jednak nie wygląda mi pan na zatwardziałego kryminalistę, panie Jones - powiedziała pani Spencer z uśmiechem, który złagodził wyraz jej twarzy. Promieniowało od niej ciepło i sympatia. Ta aura serdeczności sprawiła, że Jim nagle postanowił wyjawic całą prawdę.

- Nie jestem kryminalistą, pani Spencer... Przynajmniej ja tak uważam, choć mogę być ścigany przez władze.

- Za co?

Chłopak opowiedział swoją historię.

- Więc nie poszedłeś do rodziców?

- Nie. Miałem taki zamiar, ale zrozumiałem, że to pierwsze miejsce, gdzie będą mnie szukać.

- A u lady Fairhaven posługiwałaś się panińskim nazwiskiem matki?

- Tak.

- W takim razie mogą szukać pana dłużej, niż się panu zdaje.

Nie zidentyfikują pana i nie dostrzegą związku z lordem Fairhaven. Myślę, że to właśnie jego najbardziej się pan obawia, panie...

- Rooke. Tak, przyznaję, najbardziej boję się lorda Fairhaven, choć jestem niemal całkowicie pewny, że mnie nie widział.

- To nie ma znaczenia. Zniknął pan ten samej nocy, gdy on dokonał morderstwa. Jest ostatnią osobą, którą wpuszczał pan do domu lady Fairhaven. Na pewno go ciekawi, dlaczego pan uciekł.

- Nie chcę sprawiać kłopotu - powiedział bohatercko Jim.

- Zaraz sobie pójdę. Byłbym wdzięczny, gdyby zwróciła mi pani połowę pieniędzy.

Pani Spencer próbowała uporządkować w myślach wszystko, co przed chwilą usłyszała. Chłopak wzbudzał zaufanie, był sympatyczny, choć nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego tak bardzo przejęła się jego losem.

- Panie Rooke, mam dla pana inną propozycję - rzekła.

- Pracując w domu w Mayfair, nabył pan już pewnego doświadczenia. Lokaj wpuszczający dżentelmenów dodałby mojemu skromnemu przedsiębiorstwu... *Je ne sais quoi...* - wyjaśniła po francusku, uśmiechając się ironicznie. - Nie sądzi pan?

Widząc, że Jim zamierza zgłosić ostry protest, uniosła dłoń i mówiła dalej:

- Chyba dość dobrze zataił pan ślady, ale dysponuje pan niewielką gotówką. W zamian za pracę mogę zaoferować pokój i wyżywienie. Zapewniam, że moi klienci to ogólnie szanowani obywatele. Jeśli któryś zachowuje się jak gbur, co należy do rzadkości, wzywam na pomoc sąsiada. Podkuwa konie dla firmy przewozowej i jest tak potężnie zbudowany, że na jego widok większość kłopotliwych klientów zmyka gdzie pieprz rośnie. A co najważniejsze: komu przyjdzie do głowy szukać pana w domu publicznym?

- Moi rodzice padną trupem, gdy się o tym dowiedzą. Zawsze pragnęli, abym coś w życiu osiągnął, tymczasem straciłem pracę urzędnika i zostanę odźwiernym w burdelu!

Pani Spencer roześmiała się z sympatią.

- Zaufaj mi, Jim, jesteś w doborowym towarzystwie. Mogę mówić ci po imieniu? Wszyscy tutaj mieliśmy w życiu wiele zakrętów. Gdybyś pomógł mi w zakupach i załatwił czasem jakąś drobną sprawę, mógłbyś raz na tydzień wybrać sobie dziewczynę. Nancy uznała ciebie za bardzo pociągającego młodzieńca.

- Eee, dziękuję, pani Spencer, ale raczej nie skorzystam.

- Daj znać, gdybyś zmienił zdanie... I jeszcze jedno...

- Tak, madame?

- Zejdź na dół. Dam ci pieniądze na nowe ubranie. Wszyscy moi pracownicy muszą być dobrze ubrani, a twoja garderoba pozostawia wiele do życzenia.

### ***Rozdział dwudziesty drugi***

W dzień przesłuchania wstępnego Tony wstał wcześniej rano. Zrobił co w jego mocy, aby doprowadzić swój wygląd do jakiego takiego stanu, lecz kilka dni w Newgate, nawet w jednoosobowej celi, wycisnęło na nim piętno nie do zatarcia. Jakby tego było mało, na rękach zapięto mu kajdanki.

Wcześniej udało mu się spotkać z adwokatem rodziny i omówić procedury prawne. W trakcie przesłuchania wstępnego, inaczej niż podczas procesu, podejrzany nie słyszy zeznań składanych przez świadków. Tony nie miał więc szansy poznać dowodów przeciw niemu. Adwokat zwrócił się do dawnych towarzyszy broni obecnego lorda Ashford. Kilku złożyło pisemne oświadczenia, a pułkownik Bain, który służył z Vardenem w Hiszpanii, miał osobiście przyjść i opowiedzieć w sądzie o lojalnej służbie Tony'ego, wierności Koronie i trosce o podkomendnych.

W sądzie przy Bow Street zaprowadzono go do pokoju, który pełnił rolę poczekalni. Siedział tam zupełnie sam, jeśli nie liczyć strażnika przy drzwiach. Czas złośliwie zwolnił bieg, minuty wlokły się jedna za drugą, gdzieś otwierały się i zamykały drzwi, z korytarza dochodziły stłumione głosy.

W pewnej chwili miał wrażenie, że słyszy głos Gideona Naylora.

Ucieszyłby się, gdyby inspektor zajrzał do poczekalni. Widok znajomej twarzy, nawet niezbyt przyjaznej, znacznie poprawiłby mu samopoczucie.

Drzwi pozostały zamknięte, głosy się oddaliły. Tony nigdy nie czuł się tak bezsilny. Najgorsza była świadomość, że gdzieś tam, w innej sali, ludzie wypowiadają się na jego temat, mówią o Claudii. Nie słyszał ich słów. Nie domyślał się, jakie będą skutki tych zeznań. Denerwował się bardziej niż wtedy, w górach Hiszpanii, gdy razem z sierżantem siedział ukryty za skałami, zastanawiając się, czy zostaną zauważeni przez przechodzący tuż obok wieczorny patrol wroga.

Oczekiwanie przedłużało się w nieskończoność. Wydawało mu się, że minął cały dzień albo nawet kilka dni i nocy. Ostatecznie wezwano go przed oblicze sędziego. Naylor był obecny na sali. Siedział w kącie, z nietypową dla siebie marsową miną.

Tony'ego zaprzysiężone i zaczęło się przesłuchanie.

- Anthony Varden, lord Ashford?

- Tak jest, wysoki sędzie.

- Czy wie pan, pod jakim zarzutem pana aresztowano?

- Tak jest, wysoki sędzie.

- I jaka jest pańska odpowiedź na te zarzuty?

- Jestem niewinny.

Miał przed sobą dwóch sędziów, ale tylko jeden z nich zadawał pytania. Drugi siedział z półprzymkniętymi oczami i sprawiał wrażenie człowieka, który zaraz zapadnie w sen. W umyśle Tony'ego zrodziło się podejrzenie, że przesłuchanie było tylko formalnością. Prawdopodobnie sędziowie już wcześniej zdecydowali, że zatrzymają go w więzieniu do chwili rozpoczęcia procesu. A skoro tak, czekały go całe tygodnie w Newgate.

- Czy mógłby pan opowiedzieć nam o swym związku z lady Fairhaven?

- Byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

- Dalej, dalej, lordzie Ashford. Chcemy usłyszeć całą historię. Kiedy i gdzie poznał pan lady Fairhaven?

- Spotkaliśmy się na początku tego sezonu balowego. Po dwóch latach żałoby lady Fairhaven przyjechała do Londynu i odnowiła kontakty towarzyskie. Natychmiast odkryliśmy, że łączy nas jedno: oboje straciliśmy kogoś, kogo darzyliśmy miłością.

- Jak mniemam, ma pan na myśli brata?

- Tak, wysoki sędzie.
- Lady Fairhaven była od pana starsza, prawda?
- Tylko o pięć lat.
- Ale była bogatą wdową. A pan odziedziczył zrujnowaną posiadłość? Tony przytaknął.
- Pański brat ciężko pracował nad poprawieniem kondycji Ashford, czyż nie? - Sędzia nie czekał na potwierdzenie. Mówił dalej: - Jakie były pańskie metody działania, kiedy odziedziczył pan rodzinny majątek? Chyba nieco różniły się od strategii brata?
- Różniły się, wysoki sędzie.
- W rzeczy samej - skomentował sędzia uszczypliwym tonem. Przybył pan do Londynu i zaczął uczęszczać do domów gry, zapewne sądząc, że karty szybciej przyniosą zysk niż żmudna praca na roli?
- Zachowałem się jak głupiec, wiem o tym, sir, ale Ned odszedł tak nagle, a wcześniej straciłem również ojca... Nie byłem przygotowany na to, że odziedziczę Ashford. Moje uzdolnienia różniły się od talentów Neda. On zawsze wybierał rozwiązania bezpieczne, wyważone, racjonalne. Ja nigdy nie unikałem ryzyka.
- Skłonność do ryzyka... Dość dziwne uzdolnienie - wtrącił sarkastycznie sędzia.
- Nie w armii, wysoki sędzie - powiedział Tony spokojnym, pewnym głosem. Odezwał się w nim żołnierz, który nie poddaje się bez walki.
- Rzeczywiście, mieliśmy przyjemność wysłuchać pułkownika Baina i zapoznaliśmy się z listami, których autorzy potwierdzają, że na polu bitwy popisywał się pan męstwem... Wróćmy jednak do tematu. Zaczął pan grać w czerwone i czarne, ludząc się, że odbuduje w ten sposób rodzinną fortunę. Przegrał pan dużą sumę pieniędzy i zwrócił się do lady Fairhaven z prośbą o wykupienie pańskich długów. Kiedy odmówiła kolejnej pożyczki, zabił ją pan w napadzie gniewu i rozpacz.
- Tony poderwał głowę.
- To kłamstwo, wysoki sędzie! Ja... Zależało mi na lady Fairhaven. Nigdy nie zrobiłbym jej krzywdy.
- Lordzie Ashford, czy zarzuca pan temu sądowi kłamstwo?
- Ależ nie. To stawiane mi zarzuty są kłamstwem.
- Czy zaprzecza pan, że był ostatnią osobą, z którą widziała się lady



Fairhaven w noc zabójstwa?

- Wysoki sędzie, jestem ostatnią osobą, którą widziano z lady Fairhaven. Ostatnią osobą, którą widziała lady Fairhaven, musiał być morderca.

- Proszę nam opowiedzieć, lordzie Ashford, co wydarzyło się w minionym tygodniu.

Miły, łagodny głos należał do drugiego sędziego, tego, którego Tony podejrzewał o przysypianie. Mężczyzna nadal wyglądał na pogrążonego w drzemce - ręce trzymał splecione na brzuchu, oczy miał przymknięte - ale mówił jak człowiek trzeźwy i jasno myślący.

- W tym ostatnim tygodniu lady Fairhaven i ja byliśmy sobie bardzo bliscy, wysoki sędzie. Choć do niczego między nami nie doszło, spodziewałem się, że gdy poproszę ją o rękę, zgodzi się zostać moją żoną. Pożyczonymi pieniędzmi zamierzałem spłacić wszystkie długi. Obiecałem, że nigdy więcej nie pójdę do domu gry.

Zapadła cisza. Sędziowie nie zadawali żadnych pytań, więc Tony kontynuował:

- Nie dotrzymałem tej obietnicy. Straciłem wszystko. Sprzedałem trochę rzeczy osobistych i odegrałem trzysta funtów. Postanowiłem znowu zwrócić się o pomoc do lady Fairhaven, ale tym razem byłem zdecydowany całkowicie zerwać z hazardem. Tej nocy odwiozłem ją do domu, poszliśmy do biblioteki. Przyznałem się do tego, co zrobiłem z pieniędzmi, a potem poprosiłem o kolejną i ostatnią zarazem pożyczkę.

- Pożyczkę?

- Prosiłem, aby pomogła mi spłacić wierzycieli. Odmówiła. To chyba właśnie wtedy do biblioteki wszedł lokaj. Jestem pewien, że słyszał fragment naszej kłótni, ale potem lady Fairhaven odesłała go do łóżka i rozmawialiśmy dalej.

Nagle przed oczami stanęła mu Claudia. Przypomniał sobie jej hojność, jej dar miłości, ale również doznane upokorzenie, i na nowo poczuł pewność, że już nigdy nie zagra na pieniądze. Tylko t że to nie wróci jej życia...

- Niech pan mówi dalej, lordzie Ashford - ponownie odezwał się przysypiający sędzia.

- To była... trudna rozmowa, wysoki sędzie. Muszę przyznać, że stałem się hazardzistą. Zawiodłem brata, zawiodłem Claudię. A jednak kiedy wszystko sobie wyjaśniliśmy, oboje wierzyliśmy, że

tym razem rzeczywiście na zawsze zerwę z hazardem. Zaręczyliśmy się. Rano mieliśmy dać anons w prasie.

- A dlaczegoż to lady Fairhaven miałyby się zgodzić na ślub z panem, lordzie Ashford? Tony zawahał się.

- Ponieważ kochała mnie i wiedziała, że zależy mi na niej, a nie na jej pieniądzach.

- Ona pana kochała, a panu... zależało na niej? Nie dosłyszeliśmy słowa „kochałem”.

- Nie kochałem jej tak jak ona mnie. Miała tego świadomość. Oboje żywiliśmy nadzieję, że z czasem ją pokocham.

- I...?

- Pożegnaliśmy się i wyszedłem.

- Mając przy sobie sześćset funtów.

- Tak. Dała mi pieniądze tuż przed wyjściem.

- Kto pana wypuścił?

- Jim, nowy służący. - Oblicze Tony'ego rozjaśniło się.

- Wysoki sędzie, ten człowiek mógłby zaświadczyć o mojej niewinności. Dałem mu gwineę i powiedziałem, że pierwszy może mi pogratulować zaręczyn.

- Wielka szkoda w takim razie, że Jim przepadł bez wieści - skomentował sarkastycznie sędzia, który rozpoczął przesłuchanie.

- Kto wie, gdzie teraz przebywa. O ile w ogóle żyje!

- Lordzie Ashford, czy po wyjściu udał się pan prosto do domu? - zapytał uprzejmie drugi sędzia.

- Owszem, wysoki sędzie. Mój kamerdyner może to potwierdzić.

- To, gdzie pan był po śmierci lady Fairhaven, nie ma chyba wielkiego znaczenia, prawda, lordzie Ashford? - zauważył zjadliwie pierwszy sędzia.

Tony milczał. Stał sztywno wyprostowany, z rękami wczepionymi w poręcz. Zacisnął palce, aż pobieleły mu kostki.

- Jak pan sądzi, lordzie Ashford - spytał miłym dla ucha głosem drugi sędzia - co się stało po pana wyjściu?

- Nie mam pojęcia, wysoki sędzie. Może to Jim jest winny, ale wydawało mi się, że bardzo lubi lady Fairhaven. Może do domu dostał się złodziej. W ostatnim czasie było dużo włamań do sąsiednich budynków. Wiem tylko jedno: Claudia żyła, gdy wychodziłem z jej domu.

- Czy nie wydaje się panu bardziej prawdopodobne, że włamywacz

po prostu uderzyłby lady Fairhaven jakimś ciężkim przedmiotem? - rozbrzmiał łagodny głos drugiego sędziego. - Albo zwyczajnie ją udusił?

- Zgodziłbym się, wysoki sędzie, że jest to bardziej prawdopodobne.

- Tymczasem lady Fairhaven nie została uduszona ani pozbawiona życia w inny okrutny sposób. Zabito ją szybko, posługując się metodą, która wskazuje na doświadczonego żołnierza. Czy kiedykolwiek zabił pan kogoś w ten konkretny sposób? Wywierając nacisk na tętnice szyjne?

Sędzia powoli otworzył oczy i pochylił się, czekając na odpowiedź. Ale odpowiedzi nie było. Tony milczał.

- Czy kiedykolwiek zrobił pan to, lordzie Ashford?

Varden odetchnął głęboko.

- Tak, wysoki sędzie. Zrobiłem to jeden raz, w Hiszpanii.

- Cóż, sędzę, że usłyszeliśmy wystarczająco dużo. Pierwszy sędzia skinął twierdząco i Tony został wyprowadzony z sali. To tyle, koniec. Już po nim. Będzie gnął w Newgate aż do procesu, w trakcie którego zostanie skazany na podstawie zebranych dowodów. Ale przecież żadnych dowodów. Czyż sędziowie tego nie widzieli? Dlaczego miałby zabić Claudię dla sześciuset funtów, jeśli mógł ją poślubić i zyskać tysiące, dziesiątki tysięcy? Dlaczego nikt nie szukał Jima? Nikomu nie wydawał się podejrzany?

Czekał pół godziny, zanim ponownie wezwano go przed oblicza sędziów.

- Wyrokiem sądu Jego Królewskiej Mości z siedzibą przy Bow Street - powiedział pierwszy sędzia - Anthony Varden, lord Ashford, zostanie zwolniony z aresztu.

Tony zaczął się trząść jak liść na wietrze.

Tymczasem drugi sędzia kontynuował melodyjnym głosem, który wydał się Vardenowi słodszy od miodu.

- Dowody świadczące przeciw panu okazały się w większości poszlakowe. Wprawdzie można doszukać się motywu, można w przekonywający sposób wskazać na możliwość działania pod wpływem gniewu i desperacji, ale wydaje się, że więcej zyskałby pan, gdyby lady Fairhaven żyła. Przynajmniej w świetle posiadanych przez nas dowodów. Jeśli pojawi się jakiś nowy obciążający pana dowód, natychmiast zostanie pan ujęty. Czy ma pan coś do

powiedzenia, lordzie Ashford?

Tony z trudem zdołał wykrztusić jedno, proste zdanie.

- Nie. Dziękuję, wysoki sędzie.

Rozkuto go i dopiero wtedy dotarło do niego, że naprawdę jest wolny. Mógł pójść do domu i zmyć z siebie smród Newgate. Przebiegł cały korytarz i wydostał się na świeże powietrze, rozpierany mieszaniną euforii i rozpaczliwego pragnienia powrotu do normalnego życia. Zaraz pośle Johna do Newgate po *rzeczy*, które zostawił w celi. Zje porządny posiłek i przygotuje się do wyjazdu do Ashford. Strój wieczorowy i zaproszenia, które nadeszły w zeszłym tygodniu, mógł teraz wyrzucić przez okno. Wprawdzie sąd nie dopatrzył się jego winy, ale nie był to ostateczny wyrok w sprawie o zabójstwo lady Fairhaven. Morderca Claudii wciąż chodził na wolności i dopóki tak będzie, dla napiętnowanego podejrzeniami Tony'ego Vardena nie ma miejsca w salonach i na salach balowych.

### ***Rozdział dwudziesty trzeci***

Rankiem w dniu przesłuchania wstępnego Joanna posłała wiadomość do Gideona Naylora, z prośbą, aby odezwał się do niej zaraz po ogłoszeniu wyroku. Rodzice wiedzieli już, że wynajęła śledczego, i nie byli z tego faktu zadowoleni. Owszem, nie chcieli, aby porzucała w potrzebie starego przyjaciela, lecz uważali, że opłacanie inspektora nie przystoi młodej damie na wydaniu. Zdecydowali, że lepiej będzie, jeśli oficjalnie Naylor będzie opłacany przez rodzinę, a nie samą Joannę.

Kiedy zjawił się Gideon, lokaj wskazał mu drogę do salonu, gdzie już czekała nań Joanna wraz z rodzicami. Lord i lady Barrand zadowolili się krótką rozmową z inspektorem. To wystarczyło, aby przekonali się o kompetencjach tego człowieka i nabrali pewności, że nie stanowi on zagrożenia dla ewentualnych planów matrymonialnych córki.

Joanna została z Naylorom sama.

- Z radością mogę pani zakomunikować - powiedział - że dziś rano lord Ashford został zwolniony z aresztu.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą i radośnie uśmiechnęła się do inspektora.

- Dzięki Bogu! Jednak dojrzeli, że jest niewinny. Jak pan to zrobił?

- Jak dotąd nie dokonałem jeszcze niczego, lady Barrant. Po wysłuchaniu świadków sędziowie orzekli, że mają za mało dowodów, aby zatrzymać podejrzanego w areszcie aż do procesu. Na razie.

- Jak to „na razie”?

- Lord Ashford ma szczęście, że jeszcze nie odczytano testamentu lady Fairhaven.

- Dlaczego?

- Ponieważ gdyby udowodniono, że znał treść ostatniej woli, znacznie pogorszyłoby to jego sytuację. Z tego, co powiedział adwokat, wywnioskowałem, że testament jest korzystny dla lorda Ashford. Nie wiem, ile dostanie, ale dla sądu nie ma to znaczenia.

- Ale teraz jest na wolności?

- O tak, wypuszczono go zaraz po przesłuchaniu. Nikogo jednak nie aresztowano na jego miejsce, więc lord Ashford wciąż jest podejrzanym numer jeden. Areszt naznacza człowieka. Opinia publiczna zawsze wie swoje, zgodnie ze starym powiedzeniem: nie ma dymu bez ognia.

Dziewczyna westchnęła.

- Wiem, ma pan rację. Tony będzie zrujnowany, dopóki nie znajdziemy prawdziwego mordercy. Ludzie są bezlitośni.

- Cóż, nie upadajmy na duchu. W zasadzie jestem optymistą - nieoczekiwanie stwierdził Naylor. - Odkryłem, że Jim Tolin naprawdę nazywa się Jim Rooke i zanim zaczął pracować u lady Fairhaven, był zatrudniony w Halesworth Limited.

- Więc lord Fairhaven znał tego człowieka?

- Najprawdopodobniej. Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności. Rodzice tego młodzieńca specjalnie go kształcili, aby do czegoś w życiu doszedł. Nie chcieli dlań kariery służącego. Powstaje więc pytanie: dlaczego zatrudnił się u lady Fairhaven właśnie jako lokaj?

- Może nie był zadowolony z posady urzędnika?

- Możliwe. Albo lord Halesworth umieścił go w domu lady Fairhaven w roli szpiega.

- Albo lord Fairhaven wyrzucił go z pracy, a Jim chciał się odegrać na rodzinie Halesworthów i zabił lady Fairhaven, gdy ta Przyłapała go na kradzieży - podsunęła Joanna.

Gideon uśmiechnął się, widząc zapał, z jakim młoda dama snuje swoje teorie.

- Mogło tak być, jednak nic nie wskazuje na to, że Jim zachowywał się agresywnie, kradł lub miał jakiegokolwiek powody do zemsty.

- Jak zamierza pan go znaleźć?

- Na początek porozmawiam z lordem Fairhaven i jego pracownikami. Potem trzeba będzie trochę pospacerować po mieście - powiedział Gideon, nie przestając się uśmiechać. - Tyle par butów zdarłem w piechocie, a nadal nie mogę spokojnie sięść i popracować przy biurku.

- Kiedy zostanie odczytana ostatnia wola lady Fairhaven? - spytała Joanna.

- Chyba nie wcześniej niż w następnym tygodniu, mam więc trochę czasu, by znaleźć Jima.

- Czy naprawdę istnieje realne niebezpieczeństwo, że Tony zostanie ponownie aresztowany?

- Tak. Jeżeli nie znajdzie się inny podejrzany.

- W takim razie miejmy nadzieję, że pana misja się powiedzie - rzekła lady Joanna, wstając i wyciągając dłoń na pożegnanie.

- Powiadomi mnie pan, gdy uda się panu coś odkryć?

- Oczywiście, moja pani.

- A ja tymczasem zrobię co w mojej mocy, aby naprawić reputację Tony'ego - stwierdziła optymistycznie, choć wcale nie widziała przyszłości w różowych barwach.

Po południu, gdy usłyszała najnowsze plotki, wywietrzały jej z głowy resztki optymizmu. Zrozumiała, że zadanie będzie trudniejsze, niż przypuszczała. Starła się zaczynać każdą rozmowę od przekazania wiadomości, że rano Tony został zwolniony z aresztu.

- Czyż to nie wspaniale, że sąd nie znalazł dowodów winy lorda Ashford? To hańba, żeby tak traktować człowieka mogącego zasiadać w Izbie Lordów!

Byłoby niegrzecznie nie zgodzić się z córką lorda i lady Barrandów. Poza tym większość rozmówców była zdania, że żaden szlachcic nie powinien gnić w publicznym więzieniu. Obojętne, co zrobił.

Jednak słowa Joanny były jak kamienie w wartkim potoku. Plotki na chwilę ustawały, a potem opływały przeszkodę i wybuchały z nową siłą.

Nazajutrz miała nadzieję, że Tony odezwie się do niej, ale przeżyła srogi zawód. Wprawdzie nie wynajęła Naylora po to, by Tony

dziękował jej na kolanach, ale z drugiej strony miała prawo oczekiwać, że przyjaciel się zjawi, by podziękować za pomoc. Łudziła się jeszcze, że zobaczy go na którymś z wieczornych przyjęć, ale Anthony Varden nigdzie się nie pokazał, co tylko spotęgowało falę plotek.

Zawiodła się na nim. Mógł - a nawet powinien - zobaczyć się z nią lub choćby przesłać list. Miał chyba tyle rozumu, żeby nie ukrywać się przed ludźmi. Nieobecność tylko pogarszała jego sytuację, była niczym przyznanie się do winy. Joanna poprosiła rodziców, aby posłali mu zaproszenie na kolację i wspólną wyprawę do teatru.

- Na pewno tego chcesz, Joanno? - spytała lady Barrand.

- Mamo, jak możesz tak mówić? Znasz Tony'ego od urodzenia. Przecież wiesz, że potrzebuje teraz wsparcia. Jeśli opuszczą go starzy przyjaciele, to na kogo jeszcze może liczyć?

- Chyba masz rację, moja droga. Po prostu matka zawsze w pierwszej kolejności myśli o swym dziecku. Nie chciałabym, żebyś miała z tego powodu jakieś nieprzyjemności. Dobrze - zdecydowała lady Barrand po chwili wahania - zaproszę go na jutro. Wiesz, ja również bardzo go lubię - dodała z uśmiechem.

Zaproszenie zostało zwrócone wraz z dopiskiem będącym uprzejmą odmową. Kiedy je dostarczono, Joanna była w domu sama. Wpadła w furję. Dlaczego Tony zachowuje się jak skończony głupiec?! Natychmiast chwyciła pióro i napisała do niego krótki list, w którym wytknęła, że odrzucenie zaproszenia od lorda Hunt to jedno, ale odrzucenie zaproszenia od starych przyjaciół to już zupełnie co innego. „Mógłbyś przyjść przynajmniej przez wzgląd na moich rodziców, którzy poczują się urażeni twoją odmową.” Zastanowiła się i dopisała postscriptum: „Jeśli nie otrzymam pozytywnej odpowiedzi, będę zmuszona przybyć do Ciebie osobiście i przemówić Ci do rozsądku.”

Przekazała list lokajowi, wyraźnie zaznaczając, że ma zaczekać na odpowiedź.

Kilka pierwszych godzin na wolności lord Ashley spędził w wannie, mocząc się w gorącej wodzie, która przyjemnie wyciągała z głowy ponure myśli. Kamerdyner robił w tym czasie niezbędne zakupy. Po kąpeli Anthony ogolił się, spryskał wodą kolońską i ubrał w wygodne, świeżo uprane *rzeczy*. Potem wyciągnął nogi

przed kominkiem i sięgnął po butelkę aby z wolna zalać się w trupa.

Obudził się nazajutrz w południe i nawet był zadowolony z efektów raczenia się alkoholem. Apatię i depresję mógł bowiem zapisać na konto kaca, zapominając o prawdziwych przyczynach.

Kiedy zasiadł do kawy i słodkich bułeczek, John przyniósł tacę pełną zaproszeń.

- Zabierz je, John.

- Mój panie, czy wolno mi coś zauważyć?

- Nigdy przedtem nie miałeś oporów, więc skąd nagle to wahanie?  
- odrzekł Tony z uśmiechem.

- Jeżeli nie będzie się pan pokazywał publicznie, ludzie uznają pana za winnego, niezależnie od orzeczenia sędziów.

- Niech sobie myślą, co chcą. Jeśli przyjąłbym któreś z tych zaproszeń, unikaliby mnie albo fałszywie się uśmiechali. Nie byłbym zaskoczony - powiedział podnosząc jeden bilet i z powrotem rzucając go na stos - gdyby stary Hunt w ogóle nie wpuścił mnie za próg swego domu.

Kamerdyner nic na to nie odparł. W takim nastroju jego pracodawca nie był podatny na perswazję.

- Co planuje pan na popołudnie, sir? Chciałbym przygotować odpowiedni strój?

- O! To mam jeszcze jakieś ubrania? - zażartował Tony.

- Na kilka dni wystarczy, mój panie.

- W takim razie przygotuj mi spodnie z kozłej skóry. Wybiorę się na przejażdżkę konną. Publicznie!

Przejażdżka dobrze mu zrobiła. Od kilku dni nie miał okazji do żadnej aktywności prócz spacerowania od ściany do ściany w ciasnej celi w Newgate. Miał już wyjechać z parku, gdy dostrzegł pułkownika Baina. Skierował konia w jego stronę, ciekaw reakcji dawnego towarzysza broni.

- Witam, pułkowniku. Jestem pana dozgonnym dłużnikiem. Mężczyzna uśmiechnął się przyjaźnie i zatrzymał wierzchowca tuż obok Vardena.

- Drobiazg. Cieszę się, że mogłem świadczyć za tobą. To śmieszne, że widzieli w tobie podejrzanego numer jeden.

- Nie wiem, Bain, nie wiem. Teraz na wolności zdaję sobie sprawę, jak racjonalne były ich podejrzenia. Łatwo było wysnuć takie wnioski z informacji, które posiadali. Miałem dużo szczęścia.



- Co planujesz?
  - Spędzę tutaj jeszcze kilka dni, spłacę wszystkie długi, a potem wrócę do Ashford. Czas poważnie zająć się obowiązkami.
  - Koniec z hazardem? Miło mi to słyszeć. Tony. Karty zrujnowały wielu młodych mężczyzn. Zbyt wielu.
  - Dostałem dobrą nauczkę, Bain. I długo ją zapamiętam.
  - Będzie nam ciebie brakowało na kontynencie, kapitanie Varden - powiedział Bain, wyciągając dłoń do Tony'ego.
  - Dziękuję, sir.
- Z wdzięcznością przyjął ten gest przyjaźni i zaufania, a potem zawrócił konia i pojechał ku parkowej bramie.

Wieczorem, kiedy odesłał kamerdynera i został sam w swoim pokoju, przypomniał sobie rozmowę z pułkownikiem. Nagle się zastanowił, czy rzeczywiście na długo zapamięta nauczkę, którą dostał od losu. Chcąc zająć czymś myśli, sięgnął po książkę, jedną z tych przyniesionych przez Johna z Newgate. Niestety, ponownie trafił na Marka Aureliusza. Powieść Jane Austen zdążył już przeczytać, tak więc nie pozostało mu nic innego, jak zagłębić się w filozofię. Nie mógł jednak skupić uwagi na treści, widział tylko cyfry, litery zamazywały się i zlewały w czarne plamy.

- Trzydzieści Jeden *apres* - wymamrotał.

Słyszał zawołania krupierów, widział ich sprawne ręce i upadające na stół karty, wyczuwał narastające napięcie graczy. Miał przy sobie pieniądze. Zwrócono mu sześćset funtów, skonfiskowane przy aresztowaniu. Mógłby wziąć sto funtów i spędzić kilka godzin na St. James Street. Kilka godzin na pewno by nie zaszkodziło. Tam przynajmniej byłby mile widzianym gościem.

Obiecał Claudii, że więcej tam nie pójdzie, i zamierzał dotrzymać słowa, ale... sprawy się zmieniły. Co znaczyła obietnica, jeśli Claudia nie żyła? Mógłby chyba spędzić kilka godzin w miłej atmosferze, która pomogłaby zapomnieć o kłopotach?

Książka wysliznęła mu się z rąk, ale nawet tego nie zauważył. Popadł w odrętwienie, paraliż niezdecydowania. Za każdym razem, gdy już był gotów cisnąć wywody rzymskiego filozofa do kominka, wyjść z tego przygnębiającego pokoju i zostawić za sobą wszystkie te przytłaczające problemy - stawała mu przed oczami Claudia. Wierzyła w niego. Kochała go.

- Ale jest teraz martwa, więc nie robi jej różnicy, gdy się trochę rozerwiesz... - kusił go wewnętrzny głos.

I wtedy ukazywała mu się twarz Joanny. Stara przyjaciółka również w niego wierzyła, choć jeden Bóg wiedział, skąd czerpała tę wiarę. Wystawiła na szwank własną reputację, aby odwiedzić go w Newgate, tym potwornym przedsionku piekła. Wynajęła też Naylora. Jak mógłby ją zawieść? Jak mógłby zawieść Claudię?

Wyczerpany zmaganiami się z samym sobą, padł na łóżko. Rankiem ze zdziwieniem spostrzegł na prawej ręce ślad po ugryzieniu. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że wbił zęby w dłoń, kiedy wydawało mu się, iż dłużej nie jest w stanie przeciwstawić się pokusie odwiedzenia domu gry.

### ***Rozdział dwudziesty czwarty***

Otrzymałszy zaproszenie od Barrandów, natychmiast odesłał je z uprzejmą, acz stanowczą odmową. Nie mógł sobie wyobrazić, że zjawi się w ich domu i spokojnie spojrzy im w twarz. Zwłaszcza Joannie. Owszem, był jej bardzo wdzięczny, ale zawstydził go fakt, że musiała się nim zaopiekować, śpieszyć mu na ratunek, jakby sam nie mógł sobie poradzić. Zresztą jego zdaniem decyzja o całkowitym wycofaniu się z życia towarzyskiego była najlepszym posunięciem.

Nie przewidział, że Joanna zaraz przyśle kolejny list, w którym zagrozi użyciem przemocy. Poddał się. Podarł kartkę i wrzucił kawałki papieru do kominka. Wiedział, że nie były to czcze pogrożki, Joanna naprawdę była zdolna przyjść tutaj i siłą wyciągnąć go z domu, ponownie wystawiając na szwank swoją reputację. Zastanowiło go, gdzie podziała się dawna cichutka i potulna dziewczyna. Gdzieś zniknęła, zmieniła się. Na jej miejsce pojawiła się pewna siebie, uparta kobieta.

Nie wdając się w szczegóły, odpisał, że przyjmie zaproszenie.

Joanna odprężyła się, gdy ujrzała tę odpowiedź. Miała obawy, że posunęła się za daleko. Postanowiła dobrać strój bardzo starannie, toteż zaczęła przygotowania na kilka godzin przed kolacją. Przymierzała jedną suknię za drugą, ostatecznie decydując się na luźną jedwabną kreację o morelowym odcieniu. Zachowywała się tak nietypowo, że garderobiana szepnęła do pokojówki:

- Przecież na kolację przychodzi tylko lord Ashford. nasza pani zna

go od dzieciństwa!

Pokojówka nic nie powiedziała. Pomyślała tylko: I kocha go również od dzieciństwa. Mogę się założyć o każdą sumę.

Z początku Tony nie był pewien, czy to, że na kolacji u rodziny Barrandów był jedynym gościem, czyni wizytę łatwiejszą, czy trudniejszą. Zaczęło się od zwykłych, grzecznościowych banałów w rodzaju: „Cieszymy się, że jesteś na wolności”, na które automatycznie odpowiadał: „Ja również bardzo się cieszę”. Kiedy zabrakło grzecznościowych zwrotów, przy stole zapadła ciężka, dręcząca cisza, aż wreszcie Tony zdecydował się poruszyć gorący temat.

- Lady Barrand, ten posiłek jest niczym kolacja w raju, jeśli porównać ją z wiktem Newgate.

- Naprawdę było tak strasznie. Tony? - spytała gospodyni, kładąc dłoń na ręce Vardena.

- Nie. Chociaż... raczej tak - przyznał. - Miałem wiele szczęścia, że udało mi się wykupić miejsce w pojedynczej celi. Mam nadzieję, że moja noga więcej tam nie postanie, nawet na krótką chwilę.

- Och, chyba możesz się tego nie obawiać - skomentował ojciec Joanny.

- Sędziowie ostrzegli, że jeśli tylko pojawią się dodatkowe dowody przeciwko mnie, natychmiast zostanę aresztowany.

- Cóż, mam wielką nadzieję, że pan Naylor znajdzie dowody świadczące na twoją korzyść - stwierdziła Joanna rzeczowym, wyważonym tonem, choć zadrżała na myśl, że Tony mógłby ponownie znaleźć się w Newgate.

- Przepraszam, jeszcze nie podziękowałem wam za wynajęcie tego człowieka - rzekł Varden rumieniąc się. - Przepraszam, wstyd mi za moje zachowanie. Trudno mi było zaakceptować taką hojność.

- Ależ nic z tych rzeczy! - odparł lord Barrand. - Jesteśmy starymi przyjaciółmi, sąsiadami. Przynajmniej tyle mogliśmy dla ciebie zrobić. Tak naprawdę muszę ci powiedzieć, że wszystko to pomysł Joanny.

- Tak, wiem - mruknął Anthony Varden spuszczać głowę. Joanna spojrzała na niego z troską. Do tej pory nie pomyślała, co Tony sądzi o jej akcji ratunkowej. Działała impulsywnie, bez zastanowienia, po prostu poszła za głosem serca. Mężczyźni mają jednak dziwne poczucie honoru i dumy. Mimo że byli przyjaciółmi, tak silne

uzależnienie od kobiety mogło sprawiać Tony'emu przykrość. Przeraziła się. Nie chciała tego. Pragnęła tylko mu pomóc.

- Pan Naylor złożył ci jakiś raport, prawda, moja droga? - zapytała lady Barrand, świadoma nagłego zagęszczenia atmosfery przy stole.

- Rzeczywiście. Tony, inspektor odkrył, kim był zaginiony lokaj. Jim naprawdę nazywał się Rooke i jeszcze kilka tygodni temu pracował jako urzędnik w Halesworth Limited.

Jakkolwiek Varden zapatrywał się na postępowanie Joanny, tą informacją żywo się zainteresował.

- Czyli Mark Halesworth musiał go znać! Naylor już z nim rozmawiał?

- Nie, ale zamierza to zrobić. Będzie też kontynuował poszukiwania Jima.

- To beznadziejne - jęknął Tony. - Ten człowiek może być wszędzie.

- Może Halesworth będzie coś wiedział - pocieszył go lord Barrand.

Kiedy opuścili powóz i powoli ruszyli ku zachęcająco otwartym drzwiom teatru, Anthony Varden jasno dał do zrozumienia, że nie chce się przyczyniać do tego, aby plotkarze wytykali Barrandów palcami.

- Ależ, Tony, zaprosiliśmy cię właśnie po to, żeby rozprawić się z plotkami - zaprotestowała Joanna. Powoli zaczynała tracić cierpliwość.

- Może nie chcę waszej pomocy - powiedział na tyle przyciszonym głosem, że jej rodzice, idący przodem, nie usłyszeli cierpkich słów. - Niepotrzebnie wystawiasz na szwank swoją reputację - dodał mając świadomość, że nie zapanował w porę nad irracjonalną niechęcią do korzystania z pomocy przyjaciółki.

Gdy sens wypowiedzi dotarł do Joanny, zrobiła się biała jak ściana. Miała wrażenie, jakby ktoś uderzył ją w twarz. Oczy wypełniły jej się łzami i musiała szybko się odwrócić, aby zapobiec dalszemu upokorzeniu.

Tony chciał się zapaść pod ziemię albo zniknąć w lochach Newgate. Po raz pierwszy od tylu lat - w zasadzie od początku ich znajomości - celowo, z premedytacją sprawił Joannie ból. W tej jednej chwili zdał sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie pomyślał, że

można ją zranić, ani nie przyszło mu do głowy, że akurat on tak łatwo może to zrobić. Przez kilka sekund widział inną Joannę

- Joannę, której istnienia nawet nie przeczuwał. Joannę wrażliwą, delikatną, kruchą, czułą.

- Jo - powiedział, niepewnie dotykając jej ramienia - nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Jestem bardzo wdzięczny za to, co dla mnie robisz.

Dziewczyna szybko starła z policzków łzy i zaczerpnąwszy powietrza, stanęła twarzą w twarz z Vardenem.

- Nie chcę twojej przekłętej wdzięczności. Tony - syknęła.

- Chcę tylko, abyś w końcu zrozumiał, że... - W porę ugryzła się w język. - Że zrobiłam tylko to, co zrobiłby każdy, widząc przyjaciela w potrzebie.

Poprawiła sukienkę i stanęła z podniesioną głową. Znowu była dawną Joanną, opanowaną, niewzruszoną i dowcipną zarazem.

- Masz zamiar schować głowę w piasek czy ruszysz na plotkarzy jak na Francuzów pod Waterloo?

Tony uśmiechnął się. Właśnie taką lubił ją najbardziej. Znowu miał przed sobą starą, dobrą Jo.

- Moja droga, skoro tak stawiasz sprawę, nie mam chyba wielkiego wyboru.

Podczas gdy Barrandowie i Anthony Varden przeciwstawiali się opinii publicznej, Gideon Naylor siedział w tawernie „Pod głową Garricka”, popijając piwo w towarzystwie kilku przyjaciół aktorów. Lubiał tych ludzi, zwłaszcza że zawsze mógł liczyć na ich elokwencję. Każdego wieczora musiał wysłuchać przynajmniej jednego monologu z jakiejś wielkiej roli. Sam najchętniej milczał, ale od czasu do czasu ulegał namowom i demonstrował własne zdolności, wcielając się w jedną z postaci poznanych w trakcie pracy dla sądu. Taki występ nieodmiennie kończył się brawami, a zawodowi, choć bezrobotni w tej chwili aktorzy przekonywali Naylora, że jeśli znudzi mu się ściganie przestępców, w każdej chwili może rozpocząć karierę na Drury Lane.

Tego wieczora był jeszcze bardziej cichy i nie mógł się skupić na popisach przyjaciół. Dopiero szczególnie dramatyczny występ Roberta Carthy'ego, prezentującego trzeci monolog Hamleta, zwrócił jego uwagę.

- Hej, Bob, jakoś w rolę Fortynbrasa nie wczuwałeś się tak bardzo - zażartował jeden z jego kolegów.

Gideon siedział, sączył piwo i poddawał się atmosferze sali. Pozy ludzi otaczających Hamleta sprowokowały go do postawienia kilku prostych pytań. Jaki naprawdę był lord Ashford? Czy uśmiechał się, mówił, bolał nad stratą narzeczonej szczerze, czy odgrywał tylko napisany przez siebie monodram? Kim naprawdę był w tej historii? Co skrywał przed okiem widza?

Ktoś trącił go łokciem i powiedział:

- Gideon, coś dzisiaj jesteś dziwnie milczący. Masz jakąś nową sprawę? Inspektor potwierdził słabym ruchem głowy.

- Poważną sprawę - mruknął. - Morderstwo lady Fairhaven.

- Sprawa lady Fairhaven? Czy nie zamknęli za to Ashforda?

- Sam go aresztowałem - stwierdził Naylor uśmiechając się.

- Słyszałem, że go wypuścili - wtrącił Bob.

- Zabrakło dowodów, żeby go zatrzymać w więzieniu - wyjaśnił inspektor.

- A co ty o tym myślisz, Gideon?

- Staram się nie myśleć.

- No nie! Posłuchajcie go tylko. Biorąc pod uwagę jego dziwaczne metody, powinniśmy nazwać naszego przyjaciela Dreppem z Bow Street. Nic nie myśli, tylko drepcze, drepcze, drepcze, aż tu nagle... trach! Nasz Gideon doznaje olśnienia i już wie, kto zabił!

- Ale on naprawdę rozwiązał w ten sposób niejedną sprawę - zaprotestował Bob.

- W sprawie o zabójstwo lady Fairhaven przeszedłem już dziesiątki kilometrów - stwierdził Naylor, podnosząc się z krzesła. Z tajemniczym uśmiechem dodał: - I jestem pewien, że przejdę jeszcze wiele kilometrów, zanim doznam olśnienia. Znikam stąd. Muszę odpocząć.

- Kierunek: dom! Cel: zimne, puste łóżko. Do zobaczenia, Gideonie!

- Jego łóżko nie jest bardziej zimne i puste od naszych.

- Zaiste, prawdę mówisz, mój druhu!

Naylor zatrzymał się w drzwiach tawerny i jeszcze raz spojrzął na wesołą kompanię przy stole, machając ręką na pożegnanie. Miał szczęście, że Covent Garden i teatry leżały tak blisko Bow Street. Owszem, zwykle kładł się do zimnego i pustego łóżka, więc w takie

wieczory, gdy z wyjątkową siłą dokuczało mu zmęczenie i samotność, dobrze było posiedzieć w gronie przyjaciół i wypić kilka piw.

Mieszkał niedaleko, w czystym domu czynszowym, który prowadziła przyzwoita kobieta w średnim wieku. Oplaty nie były wygórowane, a właścicielka zdecydowanie polubiła cichego, nie sprawiającego kłopotu lokatora. Gideon rzadko zastanawiał się nad własnym stylem życia, był zadowolony z pracy i mieszkania. Czasem tylko, w takie wieczory jak ten, odczuwał tęsknotę za czymś więcej.

Kiedyś znał pewną dziewczynę, nawet skradł jej kilka pocałunków. Kiedy zakończył przygodę z wojskiem i wrócił z Portugalii, jechał do Somerset z nadzieją, że Mary Booth będzie na niego czekać. Minęły jednak cztery lata, aż cztery lata. Mary wyszła za mąż. Nigdy niczego mu nie obiecywała, nigdy nie snuli planów, które do czegośkolwiek by ją zobowiązały, jednak Gideon myślał o niej, widział ją w snach i marzył, że pewnego dnia... Marzenia rozpadły się w proch. Zabolalo go, ale nie mógł jej winić.

- Czekałam, Gideonie, czekałam długo, ale dłużej już nie mogłam - powiedziała, nerwowo głaszcząc po główce dziecko, które czepiało się jej spódnicy. Zaokrąglony brzuch wskazywał, że drugie jest w drodze. - Bardzo cię lubiłam - mówiła dalej, spuszczać wzrok - ale Samuel i ja jesteśmy bardzo szczęśliwi.

Nie chciał, żeby czuła się zakłopotana. Złożył jej życzenia wszystkiego najlepszego i wyjechał. Jego matka nie żyła, rodzina dobrze sobie radziła bez niego, a dawna miłość pozostała bladym wspomnieniem. W tej sytuacji wyjazd do miasta stanowił obietnicę lepszej przyszłości.

Co miałby robić w mieście? Mógł pójść na służbę, ale była to ostateczność, której wolał uniknąć. Nie pociągała go praca w fabryce lub na farmie. Żołnierskie życie przyzwyczyliło go do mocnych wrażeń i teraz musiał raz na jakiś czas otrzymać solidną ich porcję, ot tak, dla dobrego samopoczucia.

Zawód inspektora satysfakcjonował go pod wieloma względami. Zarobki może nie były oszałamiające, ale człowiek z jego pochodzeniem nie mógł oczekiwać lepszych warunków. Istniał jeden poważny mankament. Kiedy nocą kładł głowę na poduszkę i zamykał oczy, pragnął mieć przy sobie kogoś, kto byłby dla niego

podporą. Tylko jaka kobieta chciałaby dzielić z nim życie? Rzadko bywały w domu, nadal musiały zadawać się z kryminalistami, wydobywać informacje z najgorszych szumowin, a od czasu do czasu cały przesiąkałyby smrodem Newgate. Nie, mógł jedynie zafundować sobie noc z prostytutką. Zdążył pomyśleć, że jutro odwiedzi przybytek pani Doyle, po czym zapadł w sen.

### ***Rozdział dwudziesty piąty***

Następnego ranka zjadł na śniadanie świeże bułeczki maślane z pobliskiej piekarni, wypił kawę i ruszył do siedziby lorda Fairhaven.

Z początku lokaj nie chciał go wpuścić ani powiadomić gospodarza o nieoczekiwanej wizycie.

- Jego lordowska mość jest dziś bardzo zajęty - stwierdził. - Nie ma czasu dla nie zapowiedzianych gości.

- Doskonale to rozumiem. Jeśli jednak powiesz mu, że przyszedł Gideon Naylor, inspektor z Bow Street, na pewno znajdzie chwilę, aby ze mną porozmawiać.

Lokaj spojrział na gościa z szacunkiem i natychmiast się oddalił, aby poinformować Haleswortha o wizycie. Po jakimś czasie wrócił z odpowiedzią i wyglądał, jakby otrzymał ostrą reprimendę.

- Jego lordowska mość przyjmie pana.

- Dziękuję.

Gideona rozbawiła twarz lokaja. Służący wyjątkowo bogatych i wpływowych ludzi często zadzierali nosa, jakby sami posiadali władzę tych, u których pracowali. Naylor przyzwyczył się do tego, jak również do nagłej przemiany, jaka w nich następowała, gdy się przedstawiał. Nikt nie chciał się narazić inspektorowi.

Lord Fairhaven siedział za biurkiem i najwyraźniej przeglądał korespondencję. Był tak zajęty, że nie dostrzegł wchodzącego gościa. Albo tylko udaje - pomyślał Gideon. Chrząknął, aby zwrócić na siebie uwagę.

- Ach, dzień dobry, panie...

- Naylor, sir. Gideon Naylor.

- Tak, rzeczywiście... Proszę usiąść. Zapewniam, iż postawienie przed sądem mordercy lady Fairhaven jest dla mnie bardzo ważne, lecz niestety, mogę ponu poświęcić tylko kilka minut - powiedział Mark Halesworth, wymownie pokazując na zarzucony papierami



blat. - Wydawało mi się, że macie już sprawcę. Tymczasem usłyszałem, iż wczoraj lorda Ashford zwolniono.

- To prawda, mój panie - odparł Gideon, zajmując miejsce po drugiej stronie biurka. - Sędziowie zdecydowali, że mają za mało dowodów, brakuje świadka zbrodni, czegoś, co bezpośrednio wskazywałoby na jego winę.

- A motyw? - warknął Halesworth. - Przecież miał motyw. Był zdesperowany, a Claudia odmówiła mu pieniędzy.

- Z drugiej strony lord Ashford utrzymuje, że spodziewał się poślubić lady Fairhaven. Twierdzi wręcz, iż zaręczyli się w noc morderstwa. A skoro tak, wolałby widzieć lady Fairhaven żywą.

- Kłamie. Jakoś nie wydaje mi się, żeby Claudia kiedykolwiek i chłapa poślubić tego człowieka. Chyba dostał pan mój list, w którym pisałem o testamencie Claudii. Jeżeli Ashford ma dziedziczyć, to czy może istnieć lepszy motyw zabójstwa?

- Jestem wdzięczny za wskazówki, sir. Rozmawiałem z adwokatem lady Fairhaven. Pan Reresby nie wyraził się jasno. Lord Ashford rzeczywiście może być jednym ze spadkobierców, ale nie mam pojęcia, ile odziedziczy. Nie wiemy też, czy lord Ashford znał treść testamentu.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby Claudia sama mu powiedziała - stwierdził Mark. - Byłoby to nawet do niej podobne.

- To możliwe. - Gideon urwał na moment, aby zaraz słodkim głosem oznajmić: - Wyszedł na jaw interesujący fakt, który w zasadzie jest prawdziwym powodem mojej wizyty. Okazało się, że lokaj, który zniknął tamtej nocy z domu lady Fairhaven, właściwie nie był służącym i nie nazywał się Jim Tolin. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Rooke. Ten człowiek jeszcze miesiąc temu był urzędnikiem w Halesworth Limited.

Naylor sprawiał wrażenie sennego, lecz w rzeczywistości spoglądał na Haleswortha spod na wpół przymkniętych powiek.

Mark potarł dłonią podbródek i niewinnie uśmiechnął się do inspektora.

- Muszę coś wyznać, panie Naylor.

- Tak? Słucham.

- Jim był - a raczej powinien powiedzieć - jest jednym z moich pracowników. Był bardzo zdolnym, ambitnym młodzieńcem, któremu zaproponowałem awans w zamian za pewną przysługę.

Poprosiłem go, żeby przyjął posadę służącego u Claudii, dzięki czemu miałbym oko na moją kuzynkę. Niepokoił mnie jej związek z Ashfordem.

- Dlaczego podjął pan taką decyzję, mój panie?

- Zawsze leżało mi na sercu dobro lady Fairhaven, panie Naylor. - Zadrzał mu głos. Spojrzał w bok, jakby patrzenie na rozmówcę podczas zwierzeń sprawiało mu ogromny ból. - W ciągu ostatnich dwóch lat zrozumiałem, jak bardzo mi na niej zależy. Ona jednak nadal kochała mojego zmarłego kuzyna, więc chciałem dać jej trochę czasu, zanim zacznę na serio rozważać możliwość delikatnego wyznania swych uczuć. O ostrym uderzaniu w konkury nie mogło być mowy. Tony Varden nie miał żadnych skrupułów. Desperacko potrzebował pieniędzy i znalazł sposób, żeby uratować posiadłość. Bałem się o Claudię. Nie zamierzałem się wtrącać do jej życia osobistego, ale chciałem wiedzieć, jak naprawdę mają się sprawy z Vardenem. Żywiłem nadzieję, że w decydującym momencie zdołam przemówić jej do rozsądku i przekonać, by nie wychodziła za Ashforda.

- I stąd pomysł umieszczenia w jej domu szpiega?

Halesworth zawahał się.

- Sądzę, że tak właśnie wygląda to z pańskiego punktu widzenia. Nie chodziło mi o szpiega. W rzeczywistości myślałem tylko o przyszłości Claudii. Skąd miałem wiedzieć, że powinienem martwić się o jej bezpieczeństwo? - spytał pośpym tonem.

- Jim regularnie składał panu raport?

- Tak.

- Rozmawiał pan z nim tej nocy, kiedy popełniono morderstwo? ..  
Może potem miał pan od niego jakieś wieści?

- Nie. Tamtej nocy uczestniczyłem w kilku przyjęciach. Z ostatniego wyszedłem bardzo późno i byłem tak zmęczony, że udałem się prosto do domu. O Claudii dowiedziałem się dopiero rankiem następnego dnia. I od tamtej pory Jim nie dał znaku życia.

- Nie przyszedł do pana?

- Nie. Muszę przyznać, że byłem zaskoczony jego zniknięciem. Teraz jednak myślę, że nie ma w tym nic zaskakującego. Odpowiedź narzuca się sama.

- Tak? - wtrącił Naylor, zabarwiając głos nutką ironii.

- Przecież to jasne, panie Naylor. Albo Ashford groźbami zmusił

go do uciezki, albo pozbył się go. Jakoś bardziej prawdopodobna wydaje mi się ta druga wersja. Zgodzi się pan ze mną?

- Na pewno jest to ewentualność, którą trzeba brać pod uwagę - przyznał Gideon. - Jednak nadal będę go szukał. - Wstał z krzesła. - Skoro o tym mowa, czas w drogę. Jeśli dowie się pan czegoś o Jimie, proszę dać mi znać. Dobrze, lordzie Fairhaven?

- Oczywiście, Naylor, oczywiście. Jednak obawiam się, że stało mu się coś złego. W przeciwnym wypadku spotkałby się ze mną.

Halesworth uprzejmie podszedł do drzwi gabinetu i otworzył je przed inspektorem. Przyjaźnie się uśmiechnął i pożegnał gościa.

Mark odprowadził wzrokiem Gideona Naylora i dopiero gdy inspektor zniknął za rogiem, odwrócił się od okna i podszedł do biurka. Nie widzącym wzrokiem patrzył na listy leżące na blacie, obracając w myślach pytania, które dręczyły go od kilku dni. Dlaczego Jim zniknął? Dlaczego nie skontaktował się ze swym pracodawcą? I to najbardziej przerażające: czy Jim widział tamtej nocy coś, co zmusiło go do uciezki?

Gideon spędził cały dzień na wałęsaniu się po najgorszych ulicach St. Giles, szukając swoich stałych informatorów i uczulając ich, żeby oczy mieli szeroko otwarte i rozglądali się za mężczyzną w liberii. Zdążył zostawić rysopis Jima u sześciu współpracowników, gdy nagle zdał sobie sprawę, że uciekinier, choćby nie wiadomo jak naiwny, najprawdopodobniej szybko się pozbył tak rzucającego się w oczy ubrania. Gdzie można było to sprawdzić? Na Petticoat Lane oczywiście.

Odwiedził pięć lombardów, zanim znalazł ten właściwy. Rzeczywiście, młody mężczyzna sprzedał Ubędę, biorąc w zamian kilka używanych rzeczy. To były dobre wieści. Niestety, jak mógł się tego spodziewać, były również złe. Właściciel lombardu nie miał pojęcia, dokąd udał się ten młodzieniec.

Naylor musiał wrócić do St. Giles i przekazać informatorom uaktualnione dane. W takie dni miał wrażenie, iż wykonuje syzyfową pracę. Mimo to spróbował rozejrzeć się za Jimem w domach noclegowych. Przypominało to szukanie igły w stogu siana. Jim Rooke mógł być wszędzie, w jakimkolwiek zaułku Londynu. Gdzieś jednak być musiał. Gideon snuł się po mieście niczym londyńska mgła, ignorując brud, nędzę i smród, wypytując biegające

w lachmanach dzieciaki i rozdając im drobne, zaglądając do domów noclegowych. Kiedy powłócząc nogami dotarł do domu, był już zbyt zmęczony na długie posiedzenie w barze. Szybko zjadł kanapkę, wypił kufelek piwa i poszedł do siebie. Padł na łóżko tak wyczerpany, że kompletnie zapomniał o wczorajszych planach spędzenia nocy w miłym kobiecym towarzystwie.

### *Rozdział dwudziesty szósty*

Anthony Varden spodziewał się, że wieczór w teatrze będzie całkowicie nieudany, i rzeczywiście się nie mylił. Oczy wszystkich widzów były zwrócone na łożę Barrandów, a damy niemal bez przerwy unosiły wachlarze i zasłaniały oblicza, jednocześnie odwracając się do przyjaciółek, aby podzielić się z nimi opinią na temat bezczelności lorda Ashford i głupoty lady Joanny, która pokazywała się publicznie w towarzystwie człowieka podejrzanego o morderstwo.

Podczas antraktu łożę odwiedziło tylko dwóch mężczyzn:

pułkownik Bain, celowo rzucający się w oczy, oraz sir George Greene, sąsiad Vardena z hrabstwa Kent, który mimo protestów małżonki zdecydował okazać poparcie lordowi Ashford.

- Moja droga - mówił do żony - nie wierzę, by Varden mógł popełnić morderstwo.

Pani Greene potrząsnęła głową i rozpaczliwie zapytała:

- Oczywiście, George, ja również w to nie wierzę, ale czy przez *to* musimy pchać się ludziom na języki?

Obecność pułkownika nie była dla Tony'ego zaskoczeniem, w przeciwieństwie do wizyty baroneta, którego pozycja w kręgach towarzyskich nie należała do najwyższych. To miło z jego strony, że nawet w tak niepewnej sytuacji pragnie okazać mi swą przyjaźń - pomyślał Tony, serdecznie witając sir George'a. Joanna ciepło uśmiechnęła się do baroneta. Później szepnęła matce do ucha, że wszystko idzie lepiej, niż sądziła.

Na koniec wieczoru Barrandowie podwieźli Tony'ego do domu.

- Ufam, że zjawisz się jutro na przyjęciu u lady Howard?

- Nie miałem takiego zamiaru.

- Wydaje mi się, że powinieneś pójść. Nie wolno ci dopuścić do tego, by zatriumfowali plotkarze.

- Na mój widok lady Howard będzie udawać, że nikogo nie ma w domu - powiedział Varden tonem, w którym pobrzmiwały nutki gorzkiej ironii.

- Bzdura! - wykrzyknęła lady Barrand.

- Przyjaciele, jesteście absolutnie pewni, że chcecie to dla mnie zrobić? - z całą powagą spytał lord Ashford. - Zaproszenie na kolację i do teatru to jedno, ale stałe pokazywanie się w moim towarzystwie to już zupełnie co innego. Jaki to będzie miało wpływ na życie Joanny? Czy znajdzie adoratorów? Nie chciałbym, żeby cierpiała z powodu godnej podziwu lojalności wobec starego przyjaciela.

Joanna wychyliła się z powozu i spojrzała Vardenowi prosto w oczy. „

- Tony, jakoś nie widzę wokół siebie nieprzeliczonych rzesz wielbicieli. Nie mam nic przeciwko temu, żeby tak pozostało. Jeśli natomiast trafi się jakiś adorator, będzie musiał zaakceptować mnie taką, jaka jestem.

- Dziękuję, moja pani - odrzekł lord Ashford, kłaniając się w pas. Chciał w ten sposób ukryć nagłe i zaskakujące dla niego samego wzruszenie postawą przyjaciółki.

Kiedy powóz ruszył spod domu Anthony'ego Vardena, lady Barrand zwróciła się do męża z pytaniem:

- Myślisz, że przyjdzie?

- Tak sędzę. Nie jest tchórzem i ma dług wobec Joanny za wszystko, co dla niego zrobiła.

- Przecież nic nie zrobiłam, ojczy - wtrąciła dziewczyna wzburzonym głosem.

- Dobrze, dobrze. Po prostu miejmy nadzieję, że za kilka tygodni nikt nie będzie już pamiętał o wydarzeniach ostatnich dni - stwierdziła pojednawczo matka.

- I że Gideon Naylor znajdzie zaginionego lokaja - dodał od siebie lord Barrand.

Joanna ubrała się na bal u Howardów wyjątkowo szykownie. Wmawiała sobie, że bynajmniej nie dlatego, by zrobić piorunujące wrażenie na lordzie Ashford. Chciała tylko wyróżnić się z grona młodych panien, jakich wiele pokazywało się na każdym przyjęciu lub balu. Tym razem odsunęła na bok wszystkie suknie, które wkładała na tegoroczne zabawy. Zamiast nich wybrała stosunkowo

wyzywającą kreację, której jeszcze na sobie nie miała, ponieważ zawsze brakowało jej odwagi. Uszyto ją z bladzielonego muślinu przetykanego złotą nicią. W zielonym zawsze jej było dobrze, gdyż dodawał oczom blasku, a złote nici powinny fascynująco mienić się w świetle świec. Ale najbardziej zwracał uwagę dekolt, jeszcze nie skandalizujący, ale na tyle głęboki, by przyciągnąć wzrok każdego kawalera.

Joanna obejrzała się w lustrze i aż pokręciła głową z niedowierzaniem. Może stojąca przed lustrem dziewczyna nie była piękna ani nawet ładna, ale za to zdumiewająco atrakcyjna. W jednej chwili zdecydowała, że kiedy pójdzie na zakupy do madame Celeste, wybierze więcej sukni tego kroju.

Zawsze cieszyła się względami mężczyzn, którzy lubili kobiety bezpośrednie i dowcipne, lecz tego wieczoru zwrócili na nią uwagę również ci preferujący tradycyjne kobiece wdzięki. Cieszyło ją to powodzenie. Kiedy zjawi się Tony - jeśli się zjawi - wszyscy będą mogli zobaczyć, jak wpisuje nazwisko swojego starego przyjaciela do wypełnionego niemal po brzegi karnetu.

Czas mijał, a Tony się nie pojawiał. Prawie straciła już nadzieję, gdy usłyszała długo oczekiwaną zapowiedź: Anthony Varden, lord Ashford. W sali rozległ się pomruk niezadowolenia, który omal nie wytrącił jej z rytmu. Najpierw wyglądała przybycia Vardena, teraz nerwowo oczekiwała chwili, kiedy orkiestra przestanie grać. Chciała wybiec mu na spotkanie, przywitać się i podtrzymać go na duchu.

Nagle przypomniała sobie, że jest to ostatni taniec przed kolacją, co znaczyło, że aktualny partner będzie towarzyszył jej również przy stole. Nic nie mogła na to poradzić. Oby tylko Tony znalazł jej rodziców albo pułkownika Baina - pomyślała.

Nie potrafiła skoncentrować się na posiłku ani na rozmowie z siedzącym obok kawalerem. Próbowwała w odpowiednich momentach kiwać głową i od czasu do czasu wtrącała kilka grzecznościowych słów, ale myślała tylko o lordzie Ashford.

Następny taniec miała zajęty, jednak gdy podszedł do niej partner, uśmiechnęła się przepaszająco i poprosiła o anulowanie wpisu do karnetu.

- Obawiam się, że trochę za dużo zjadłam - skłamała.

Stała na skraju parkietu, toteż bez kłopotu dojrzała Tony'ego. On... tańczył! Zaraz jednak rozpoznała jego partnerkę i przestała się

dziwić. Była nią żona lorda Cathcart, znana z tego, że nieustannie towarzyszyła jej aura skandalu. Owa dama robiła wszystko, aby jej życie było kolorowe i pełne emocji, gdyż tylko w taki sposób mogła znieść małżeństwo z człowiekiem, którego nawet najbliżsi przyjaciele uważali za potwornego nudziarza. Taniec z mężczyzną podejrzanym o morderstwo idealnie odpowiadał jej wyobrażeniom o miłym spędzaniu czasu. Dzięki Bogu istnieją jeszcze takie kobiety - pomyślała Joanna z ulgą przemieszana z zazdrością.

Orkiestra przestała grać i Joanna odesłała towarzyszącego jej kawalera do następnej partnerki, zapewniając, że czuje się już dobrze. Kiedy mężczyzna się oddalił, nie zwlekając podeszła do Tony'ego i lady Cathcart.

Szeroko uśmiechnęła się do zadowolonej damy i wypowiedziała komplement pod adresem jej sukni. Tymczasem Tony tłumił w sobie złość. Miał zamiar zatańczyć z kilkoma kobietami, które pociągał partner napiętnowany podejrzeniem o zabójstwo, a potem wyjść. O tańcu z Joanną absolutnie tego wieczora nie marzył. Niestety, młoda lady Barrant nie pozostawiła mu żadnego wyboru. Nie mógł jej zbyć, toteż uśmiechał się, toczył beztroską rozmowę i miał nadzieję, że dziewczyna opamięta się w porę i uniknie skandalu.

Kreacja mogła jednak świadczyć o tym, że Joanna nie zamierza łatwo zrezygnować. Wprawdzie dekolot nie był tak głęboki jak f w sukni lady Cathcart, ale Tony musiał przyznać, że widok bardzo mu się spodobał. Nie zdawał sobie sprawy, jak delikatną, aksamitną skórę ma jego przyjaciółka. Dostrzegał granicę, gdzie kończyły się znajome piegi, i widział wylaniające się z zielonego materiału piersi... Joanna coś do niego mówiła, ale nie potrafił się skupić na rozmowie. Zdziwiło go, że jest tak rozproszony. Przecież znał Joannę od wielu lat. Może tak silnie oddziaływał na niego seledynowy poblask rzucany przez materiał, może sposób, w jaki suknia opinała smukłe ciało dziewczyny. Nie miał pojęcia. Kiwał głową, grzecznie potakując, lecz nagle dotarło do niego, że Joanna trzyma w dłoni karnet i lamentuje, ponieważ nie ma partnera do następnego walca. Zrozumiał, że przed chwilą nieświadomie zgodził się wyratować ją z tej opresji.

Kiedy wyszli na parkiet, mruknął jej do ucha:

- Wrobiłaś mnie w to, Joanno.
- Dobrowolnie chyba nie zgodziłbyś się ze mną zatańczyć -

odparła.

- Masz rację, niemądra dziewczyno. Nie wystawiaj na szwank swej reputacji. Nie chcę tego.

- Miałaś zamiar zatańczyć z kilkoma dziwkami z wyższych sfer, jak lady Cathcart, a potem chyłkiem uciec do domu? Tony musiał się roześmiać.

- Jesteś niepoprawna, Jo. Nic się nie zmieniłaś od czasu, gdy ze złości kopałaś mnie po kostkach, ale cieszę się, że nadal jesteś moją przyjaciółką - powiedział szczerze.

Rozluźnił się po raz pierwszy od chwili, gdy przekroczył próg domu Howardów. Nareszcie mógł cieszyć się tańcem. Zwykle trzymał Joannę bardzo lekko i podczas walca snuli pogawędkę. Tego wieczora nic nie mówili, poruszali się po parkiecie płynnie, Jak zaczarowani przez muzykę i wzajemną bliskość. Anthony Varden uświadomił sobie gibkość ciała dziewczyny i objął ją nieco mocniej niż zawsze.

Joanna miała wrażenie, że dłoń Tony'ego jest rozpalonym do czerwoności żelazem. Nigdy nie byli w tańcu tak blisko siebie i żałowała, że ten wyjątkowy walc nie może trwać wiecznie. Niestety, orkiestra przestała grać. Jeszcze przez chwilę dziewczyna cieszyła się dotykiem dłoni Tony'ego, kiedy sprowadzał ją z parkietu, lecz potem przyszedł moment rozstania. Z trudem zdobyła się na uśmiech, gdy Tony się pokłonił i podążył w drugi koniec sali, podziękowawszy za taniec. Do końca balu czuła na plecach ciepło jego silnej, męskiej dłoni.

Anthony Varden szukał wzrokiem lady Cathcart, której obiecał następny taniec. Wolałby zostać przy Joannie, niech sobie ludzie mówią, co im się podoba. Niech plotkują. Liczyło się tylko to, że nadal by ją obejmował, przyciskał do siebie. Próbował znaleźć wytłumaczenie tak nagłego zainteresowania i wmawiał sobie, że to przez suknię. Przedtem nie dostrzegał kobiecych kształtów przyjaciółki. W zasadzie do tego wieczora nie zdawał sobie sprawy, że dziewczęce ciało Jo w ogóle ma jakieś krągłości.

Z początku Tony uległ namowom Barrandów, ponieważ nie chciał ich urazić i miał dług wdzięczności wobec Joanny: Zamierzał zakończyć publiczne występy na kolacji i wyprawie do teatru. Później dał się przekonać i poszedł na bal, powtarzając sobie po



drodze, że teraz zerwie z życiem towarzyskim. Owszem, wypełni obowiązek wobec przyjaciół i pokaże się wśród ludzi, będzie się zachowywać jak niewinny człowiek, którym przecież w istocie był, a potem wyjedzie do Ashford. Jeśli sędziowie zapragną widzieć go za kratkami, mogą wysłać swoje psy gończe aż do Kentu. Proszę bardzo.

Jednak po balu u Howardów nie miał ochoty wyjeżdżać z Londynu. Tłumaczył sobie, że przeciwstawił się plotkom i osiągnął w tej dziedzinie znaczne postępy, toteż gdyby teraz opuścił miasto, jego zachowanie zostałoby odczytane jako rejterada. W oczach ludzi znowu byłby winny. Jeszcze kilka dni, kilka balów - i kiedy plotki ucichną, z czystym sumieniem uda się do rodzinnej posiadłości. Poza tym Naylor mógł w najbliższych dniach znaleźć Jima, a Tony chciał być na miejscu, gdy to się stanie. Jednak najważniejszą przyczyną odłożenia wyjazdu było wspomnienie walca z Joanną. To dziwne, ale nie mógł przestać o niej myśleć. Cóż, w końcu byli dobrymi przyjaciółmi. Tylko przyjaciółmi - mówił sobie. Szukał odpowiedzi na pytanie, jak to możliwe, że przez wszystkie te lata nie dostrzegł drzemiącej w niej kobiecości. Dla niego wciąż była to Jo, przyjaciółka z dzieciństwa, ktoś bliski niczym siostra, ale... z całą pewnością nie obejmowałby w taki sposób siostry! Ścierały się w jego duszy różne uczucia, wśród których dominowały pożądanie i wstyd. To wszystko skutek ostatnich wydarzeń - wmawiał sobie. Stał się podatny na ich wpływ, ponieważ stracił Claudię, został aresztowany za morderstwo, spędził kilka dni w więzieniu. Rzecz w tym, że Joanna naprawdę była bardzo atrakcyjną młodą kobietą. Jego reakcja była naturalnym odzwierciedleniem na jej wdzięki. Jednego Anthony Varden był pewien: nie chciał zrobić niczego, co zagroziłoby trwałości ich przyjaźni. Zdecydował się zostać w Londynie. Tak było najrozsądniej.

Joanna wyczuła subtelny zmianę w zachowaniu Tony'ego i odżyła w niej nadzieja. W drodze do domu i przez całą noc marzyła o przystojnym sąsiedzie, a cały następny dzień chodziła odurzona wspomnieniem bliskości ich ciał podczas walca. Była pewna, że na następnym balu Tony znowu z nią zatańczy i przyciągnie ją jeszcze bliżej. Jednak przeżyła srogi zawód, gdy Varden poprosił ją tylko do kotyliona i tańca, w którym partnerzy stoją naprzeciw siebie w

dwóch szeregach. Nie szukał żadnej okazji, aby zostać z nią sam na sam. Był taki jak zawsze, stary, dobry Tony. Tamtą niewielką odmianę mogła złożyć na karb trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł.

Kiedy trzeciego wieczora ponownie zjawił się na balu tuż przed kolacją i tylko raz poprosił ją do tańca, Joanna zaczęła się zastanawiać, czy owo wrażenie magnetycznego przyciągania nie było tylko wytworem jej wyobraźni. Z cynizmem obcym jej naturze pomyślała, że Tony może już jej nie potrzebuje. Wprawdzie nadal otrzymywał niewiele zaproszeń i ludzie odsuwali się od niego, ale regularność, z jaką pokazywał się publicznie, robiła wrażenie na tych, którzy dotąd wątpili w jego niewinność. Przecież człowiek winny morderstwa nie miałby odwagi spojrzeć ludziom w oczy. Matki nadal chroniły przed nim córki, ale kilka szanowanych wdów i starszych dam przyjęło jego zaproszenie do tańca, a niektórzy z dawnych znajomych przestali go ignorować i zdobywali się na kurtuazyjną rozmowę.

Wszystko wskazywało na to, że mimo ciężącego na nim podejrzenia Tony odniósł sukces towarzyski. Joanna myślała o tym z goryczą, ale jednocześnie była świadoma, że jest dla niego niesprawiedliwa. Nie zachowywał się teraz inaczej niż zwykle. Był tak samo nieosiągalny, daleki jak gwiazdy na wieczornym niebie. I pogodziłaby się z tym, gdyby nie wspomnienie tamtego magicznego tańca, kiedy wyraźnie czuła, jak rodzi się coś pięknego, coś nieziemsko cudownego.

A może wszystko to było tylko igraszką jej wyobraźni?

### ***Rozdział dwudziesty siódmy***

Podczas gdy Anthony Varden powoli odzyskiwał utraconą pozycję towarzyską, Naylor cierpliwie krążył po ulicach Londynu. Żaden z informatorów nie widział mężczyzny podobnego do Jima i inspektor coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że dalsze poszukiwanie lokaja w dzielnicy St. Giles, teoretycznie najodpowiedniejszej dla uciekiniera, jest stratą czasu.

Po tylu dniach śledztwa zwykle następował przełom: albo Gideon uzyskiwał jakąś cenną informację, albo nagła myśl ukazywała problem w całkiem nowym świetle. Na ogół udawało mu się rozwiązywać sprawy za pomocą prostych metod, które - jak to ujęli

jego przyjaciele aktorzy - sprowadzały się do łączenia żmudnego dreptania po ulicach z przebłyskami intuicji. Na tym polegały jego unikatowe zdolności. Nawet gdy wykonywał pozornie nieprzydatne czynności, jego umysł przez cały czas pracował na najwyższych obrotach i nagle podsuwał gotowe rozwiązanie.

Na razie w sprawie o morderstwo lady Fairhaven nie doczekał się żadnego przebłysku. Raz, podczas wizyty u Marka Haleswortha, był bardzo blisko. Coś mu się nie zgadzało w wyjaśnieniach lorda Fairhaven, dotyczących umieszczenia Jima w domostwie kuzynki. Były szyte bardzo grubymi nićmi, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Wprawdzie Halesworth należał do ludzi bogatych, jednak bogactwo często idzie w parze z chorobliwym wręcz pożądaniem pieniądza. Mimo, że w testamencie był zapis na rzecz lorda Ashford, Halesworth mógł na śmierci lady Fairhaven wiele zyskać. Mógł, lecz wcale nie musiał. Wszystko to były tylko domysły, błędzenie w mroku. Więcej światła rzuciłby na tę sprawę Jim, dlatego za wszelką cenę należało go znaleźć.

Po dwóch dniach włóczenia się po schroniskach i ruderach zamieszkałych przez najróżniejsze męty, po dwóch nocach, kiedy wyczerpany padał na łóżko i zasypiał w zimnej pościeli, Gideon zdecydował, że najwyższy czas poszukać damskiego towarzystwa. Nigdy nie korzystał z usług ulicznych, jakich wiele kręciło się w pobliżu Covent Garden. Nie chciał sprowadzać ich do domu. Znalazł nieduży, zadbane burdelik, gdzie miał dwie specjalne przyjaciółki. Jeśli Grace była zajęta, miał do dyspozycji Annie. Raz zdarzyło się, że gdy Grace mozolnie doprowadzała go do szczytu rozkoszy, Annie cicho wśliznęła się do pokoju i resztę wieczoru spędził z obiema dziewczynami. Uśmiechnął się do tych wspomnień. Od tamtej pory upłynęło kilka lat, był wówczas młodszy i nie dokuczało mu zmęczenie.

Zdziwił się, gdy drzwi otworzył mu młody chłopak z sąsiedztwa, ubrany w nowiutką liberię. Najwidoczniej w modzie było teraz zatrudnianie w burdelu lokaja. Może chciano w ten sposób dodać temu przybytkowi powagi? Nie zastanawiał się nad tym. Po kilku rozkosznych godzinach spędzonych z Annie, która była specjalistką w masażu pleców i nóg oraz innych partii męskiej anatomii, temat nagle powrócił.

- Widziałeś odźwiernego? - powiedziała Annie, chichocząc pod

wpływem łaskotliwych pieaszczot Gideona. - Śmiesznie wygląda, no nie?

- Po co wam lokaj? Chyba pani Doyle nie zamierza zwolnić dziewcząt?

- Niece, ale słyszała, że pani Spencer zatrudniła lokaja. Obie znają się od lat. Podobno kiedyś zaczynały w tym samym domu. Trochę ze sobą rywalizują. Po przyjacielsku, ale rywalizują. Wiesz, jak to jest.

- Pani Spencer i lokaj? Pewnie na początek zatrudniła jakiegoś młodego kryminalistę, co? Takiego wykidajkę w liberii?

- Nie, nie! Nie widziałam go, ale słyszałam, że to najprawdziwszy lokaj. Pani Doyle wścieka się, bo nie może znaleźć nikogo, kto byłby, jak tamten, wykwalifikowanym służącym.

Naylor był tak zrelaksowany, że omal nie przegapił tej informacji. Zupełnie zapomniał o prowadzonej sprawie. Myślał tylko o słodkich krągłościach Annie, o tym, jak znakomicie jej pupa dopasowuje się do jego ciała, a miękkie wżgórki piersi sprawiają, że w lędźwiach znowu rozpala mu się płomień pożądania. I nagle dotarł do niego sens posłyszanych słów.

- Chcesz powiedzieć, że ten człowiek jest zawodowym lokajem? Że przedtem był u kogoś na służbie?

- Mówią, że robi znakomite wrażenie, Gideonku - zdradziła Annie, pocierając pupą o jego podbrzusze.

- Kiedy go najęła? To młody człowiek?

- Nie wiem, ile ma lat, ale jest u niej dopiero od kilku dni.

- Jak mówiłaś? Gdzie pani Spencer ma swój... przybytek?

- Na Buckwall Street. Chyba nie chcesz już iść, Gideonku? Masz zamiar opuścić swoją Annie i Grace dla dziewcząt pani Spencer? - pytała błagalnie. - Tylko dlatego, że zatrudnia jakiegoś pajaca w liberii?

Nie chciała tracić tak dobrego klienta. W przeciwieństwie do większości odwiedzających ten dom mężczyzn Gideon Naylor widział w niej i Grace kobiety, a nie sprzedajne dziwki. Obejmował je, rozmawiał z nimi. Nie wybiegał w pośpiechu, gdy już mu dogodziły.

Gideon uściskał jej ramię.

- Jak mógłbym zostawić ciebie i Grace? Tak wspaniale... drapiecie po plecach! - Oboje roześmiali się. - Odwiedzę panią Spencer, ale służbowo. Być może udzieliłaś mi informacji, która oszczędzi mi

kilka dni spacerowania po mieście.

Położył na komodzie monetę i wyszedł, zostawiając Annie w łóżku, spoglądającą za nim tęsknym wzrokiem. Tylko przyjaźń z Grace i chwile, gdy tuliła się do tego mężczyzny, pozwalały jej czuć się ludzką istotą.

Było już późno, ale przywykł do chodzenia nocą po tych ulicach i czuł się wyjątkowo odświeżony, więc postanowił załatwić to od razu, natychmiast. Annie i Grace dawały mu złudzenie, że ma kogoś, kto darzy go głębszym uczuciem. Ostatnio iluzja ta coraz bardziej się rozwiewała i dotkliwie odczuwał pragnienie posiadania w swym życiu prawdziwie kochającej kobiety, a nie dwóch prostytutek, które udawały zaangażowanie i miłość. No, może tak do końca nie udawały. Śmiało mógł powiedzieć, że go lubią. Z wzajemnością. Były czyste i zdrowe, tyle przynajmniej o nich wiedział. Powinien się cieszyć, że ma taką Annie i taką Grace. Byłby głupcem, gdyby kaprysił i żądał czegoś więcej. Jaka porządna kobieta chciałaby dzielić życie z inspektorem z Bow Street?

Dotarł na Buckwall Street szybciej, niż się spodziewał. Rezydencja pani Spencer była większa od domu pani Doyle i sprawiała wrażenie siedziby dobrze prosperującego przedsiębiorstwa. Kiedy Naylor stał na ulicy i oglądał budynek, drzwi otworzyły się i stanął w nich młody mężczyzna w liberii, pomagając wychodzącemu klientowi włożyć płaszcz. Z tej odległości chłopak raczej pasował do rysopisu Jima. Gideon zaczekał, aż klient wyjdzie, a potem podszedł do drzwi.

- Czy zastałem panią Spencer?

Chłopak powitał go jak księcia składającego wizytę w najlepszym domu Mayfair, a nie klienta burdelu.

- Tak, sir. Kogo mam zaanonsować? Inspektor uśmiechnął się. Z całą pewnością dziewczęta pani Spencer świadczyły usługi klientom z najwyższych sfer.

- Nazywam się Gideon Naylor.

Młodzieniec wpuścił gościa do saloniku, a potem udał się do swej pracodawczyni.

Inspektor rozejrzył się ze zwykłą dla niego ciekawością, która po części wynikała z zawodowych nawyków, a po części z naturalnej skłonności do obserwowania życia innych ludzi.

Pokój urządzone z dużym smakiem. Na podłodze leżały tureckie

dywany, a na ścianach wisiały interesujące ryciny. Oglądał jedną z nich, gdy otworzyły się drzwi.

- Pan Naylor?

Gideon odwrócił się. Do pokoju weszła wysoka kobieta, ubrana w jedwabną suknię o odcieniu burgunda, z głębokim dekoltem. Czarne włosy - zbyt czarne, aby mógł to być ich naturalny kolor - były upięte w misterny kok. Delikatny makijaż podkreślał rysy twarzy, której ton nadawał orli nos i brązowe oczy. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Tylko usta, pełne, zmysłowe, jakby nie pasowały do reszty. Naylor pomyślał, że chyba jest jego rówieśnicą, a kiedy podeszła bliżej, odkrył, iż oboje są tego samego wzrostu.

- Pani Spencer, jak sądzę?

- Blisse Spencer - odparła, przywołując na usta wystudiowany uśmiech i podając gościowi dłoń. - Czym mogę panu służyć, panie Naylor?

- Wracam właśnie od pani Doyle.

Kobieta zmrużyła oczy, lecz nie przestała się uśmiechać.

- Bardzo dobry wybór, panie Naylor. Znam panią Doyle. Jednak z dumą stwierdzam, że mój dom jest jeszcze lepszy.

- Wszystko na to wskazuje, pani Spencer. Pani lokaj zdecydowanie góruje nad lokajem pani Doyle - powiedział inspektor, uśmiechając się szeroko.

Panią Spencer wyraźnie ucieszył ten komplement.

- Tak. Przechodziłam obok jej domu i widziałam tego nowego... pracownika. Wie pan, trochę rywalizujemy między sobą, tak po przyjacielsku. Kiedy zatrudniłam lokaja, ona również musiała kogoś znaleźć. Przejdźmy do sedna. Co mogę panu zaoferować, panie Naylor? Brandy? Szampana? Cichy pokoik na kilka godzin?

Gideon pokręcił głową.

- Dziękuję, wypilem dzisiaj wystarczająco dużo, a Annie... zna pani Annie, prawda?... Annie zadbała o zaspokojenie innych moich potrzeb.

- Więc co pana tutaj sprowadza? Przecież nie przyszedł pan po to, by porównać kwalifikacje lokajów.

- W zasadzie cel mojej wizyty jest właśnie taki. Pani Spencer spojrzała na gościa „podejrzliwie. Miała zamiar wstać i wyjść, ale Gideon chwycił ją za rękę i delikatnie, aczkolwiek stanowczo, usadził z powrotem na fotelu.

- Jestem inspektorem śledczym, pani Spencer. A poza tym stałym klientem domu pani Doyle - dodał z uśmiechem. - Od kilku dni szukam niejakiego Jima Rooke'a i kiedy Annie opisała pani nowego lokaja, pomyślałam, że moje poszukiwania dobiegły końca. Proszę mi powiedzieć, co pani o nim wie?

- Nic - odrzekła pani Spencer chłodno. - Wzięłam go prosto z ulicy.

- Pani Spencer... Blisse, czy tak? Wygląda pani na rozsądną kobietę. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, Blisse, że zatrudniłabyś człowieka ot tak, zupełnie nic o nim nie wiedząc. Po prostu nie mieści mi się to w głowie.

- Dla pana, panie Naylor, jestem pani Spencer. To już pańskie zmartwienie, jeśli coś nie mieści się panu w głowie. Powiedziałam prawdę.

Gideon był pewien, że jest inaczej, ale postanowił nie naciskać. Przecież nie chodziło mu o zastraszenie właścicielki, tylko odszukanie Jima. A teraz dzielił go zaledwie krok od realizacji tego celu.

- Może zainteresuje panią wiadomość, że pani nowy lokaj jest poszukiwany w związku z morderstwem?

Pani Spencer wyniośle odparła, że trudno jej w to uwierzyć, ale skoro tak twierdzi inspektor o takim autorytecie...

Ostatnie słowo nasyciła zjadliwą ironią, ale Gideon nie dał się sprowokować.

- Myślę, że poprosimy Jima - powiedział. - Nie, nie, proszę nie wstawać, pani Spencer. Sam go zawołam.

Podejrzał, że kobieta mogłaby ostrzec chłopaka, więc wyszedł do hallu i powiedział lokajowi, że pani Spencer chce go widzieć. Kiedy Jim wszedł do salonu, Naylor zamknął za nim drzwi i stanął przy nich w postawie, która mówiła: „Nikt stąd nie wyjdzie bez mojej zgody!”

### *Rozdział dwudziesty ósmy*

Chłopak zbliżył się do pani Spencer, ale ta machnęła ręką, wskazując na stojącego przy drzwiach gościa. Jim odwrócił się do nieznanego mężczyzny, a potem spojrzał pytająco na pracodawczynię.

- Mam zaprowadzić pana na górę, madame?

- Nie, panie Rooke. Tak się pan nazywa, czyż nie? - spytał niewinnie Gideon.

Jim z trudem zwalczył pokusę rzucenia się w kierunku drzwi i odepchnięcia od nich nieznanego. Milczał, gorączkowo się zastanawiając, kto i w jaki sposób go tutaj znalazł. Jeśli to człowiek najęty przez lorda Fairhaven, nie powie mu ani słowa. Tylko że Mark Halesworth wysłałby chyba jakiegoś osiłka z dłońmi jak łopaty.

Pani Spencer przedstawiła nieznanego:

- To pan Naylor, inspektor śledczy z Bow Street. Jim nie wiedział, czy ma się bać, czy odetchnąć z ulgą. Dzięki Bogu, Fairhaven nie wpadł na jego trop. Jeśli jednak znalazł go inspektor, ludziom Haleswortha też się to uda. I nagle zaczął się bać. Uświadomił sobie, że Halesworth mógł wynająć inspektora.

- Staram się wyjaśnić sprawę zabójstwa lady Fairhaven. A działałam na zlecenie lady Joanny Barrand, przyjaciółki lorda Ashford, którego aresztowano za popełnienie tej zbrodni.

- Lord Ashforda? - powtórzył Jim z wyrazem zdumienia na twarzy.

Interesujące - pomyślał Naylor. Najwyraźniej się nie spodziewał, że padnie to nazwisko.

- Anthony'ego Vardena, lorda Ashford. Z posiadanych przez nas informacji wynika, że był on ostatnią osobą, z którą widziała się lady Fairhaven. Oczywiście - dodał sarkastycznie - umknął nam koronny świadek. To znaczy ty. A może jesteś mordercą?

Jim aż podskoczył.

- Ja?! Ja miałbym zabić lady Fairhaven?! Nie, sir, to wykluczone!

- Pracowałeś u niej od niedawna. Trochę to dziwne, panie Rooke. Wydaje się pan przyzwyczajony do krótkookresowej służby w różnych... hmm... domach. Czy tutaj też przysłał pana Mark Halesworth?

- Więc już pan wie - wymamrotał Jim, tracąc ochotę na stawianie oporu.

- Wiem, że Mark Halesworth chciał mieć szpiega w domu lady Fairhaven i powierzył to zadanie właśnie tobie, synu. Mogłeś otworzyć drzwi mordercy, to wiem na pewno. Tylko nie jestem pewien, kto jest tym mordercą.

Pani Spencer przyglądała się scenie z boku, zachwycona prezentowaną przez Naylora techniką prowadzenia przesłuchania.



Mówił monotonnym głosem, tak przyciszonym, że chwilami musiała wstrzymać oddech, aby usłyszeć poszczególne słowa. Również wyrazem twarzy, koncentrując spojrzenie na przesłuchiwanym, stwarzał aurę osaczenia, pułapki bez wyjścia. Delikwent musiał się bać, choć w głosie inspektora nie było gniewu ani ukrytej groźby. Naylor nie zachowywał się jak przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości, przypominał raczej zatroskanego ojca wypyującego niegrzeczne dziecko. Sprytnie - pomyślała. Gdyby podniósł głos, krzyknął, napadł na Jima, chłopak na pewno stawiałby opór, zamknął się w sobie. A tak Jim sam nieświadomie podjął współpracę. Ciekawe, jak by się zachowywał, gdyby to mnie miał przesłuchać? Albo gdyby miał się ze mną... Nagle zdała sobie sprawę, że jest niezwykle zainteresowana tym człowiekiem.

Jim kilka razy zaczynał zdanie, zanim w końcu udało mu się wypowiedzieć je na głos:

- Lord Ashford został aresztowany i oskarżony o popełnienie morderstwa? Naprawdę?

- Tak.

- Ale chyba nie zostanie skazany, sir? Przecież jest szlachcicem, ma prawo zasiadać w Izbie Lordów...

Naylor postanowił na razie nie zdradzać, że w tej chwili Anthony Varden znajduje się na wolności.

- Mamy świadka, lokaja, który zeznał, że słyszał kłótnię pomiędzy lordem Ashford a lady Fairhaven. Mamy dowód: sześćset funtów. Być może istnieje jeszcze bardziej obciążający motyw. Dowiemy się o tym, kiedy zostanie odczytany testament zmarłej. Lord Ashford ma prawo zasiadać w Izbie Lordów, ale zawisnie na stryczku, jeśli rzeczywiście zabił lady Fairhaven.

Jim wpadł w panikę. Nie chciał, by Ashford został skazany za czyn, którego nie popełnił. Z drugiej strony nie chciał ryzykować własnego bezpieczeństwa. Jeśli zacznie zeznawać, co powstrzyma lorda Fairhaven od zamknięcia mu ust na wieki? Do chwili rozpoczęcia procesu wszystko może się zdarzyć.

- Rzecz jasna, gdybyśmy mieli świadka, kogoś, kto widział lorda Ashford wychodzącego w momencie, kiedy lady Fairhaven jeszcze żyła, oskarżenie zawałiłoby się jak domek z kart - stwierdził przymilnie Gideon.

Może to jest jakieś wyjście - pomyślał Jim. Naylor pokazał mu

boczną furtkę, drogę do kompromisu zadowalającego obie strony. Wystarczy, że opowie, jak lady Fairhaven prosiła o odprowadzenie lorda Ashford do drzwi i jak ten zdradził mu, iż przed chwilą się zaręczył. Takie zeznanie oczyściłoby z podejrzeń lorda Ashford i jednocześnie nie pogrzyżyłoby Marka Haleswortha. Jim odetchnął głęboko i wypowiedział tę połowiczną prawdę.

- Jesteś pewien, że lady Fairhaven żyła, kiedy lord Ashford opuszczał jej dom?

- O tak, sir! Całkowicie! - wykrzyknął, zadowolony i uspokojony.

- Ashford powiedział ci o zaręczynach?

- Był bardzo szczęśliwy i hojny, sir. Dał mi gwineę.

- Miałeś więc trochę pieniędzy na ucieczkę?

- Eee... Tak, sir.

- Jednego wciąż nie rozumiem, Jim - rzekł Naylor łagodnie. - Dlaczego uciekłeś z domu lady Fairhaven?

O mój Boże - pomyślała pani Spencer. Dopadł go!

- To było tak, sir. Eee, nie byłem zadowolony z mojej sytuacji w domu lady Fairhaven. Pani była dla mnie bardzo miła, coraz gorzej czułem się z myślą, że przyszedłem tam na przespīgi. A kiedy usłyszałem, że zaręczyła się z lordem Ashford... Cóż, moja misja dobiegła końca, prawda? Skoro tak, poszedłem sobie.

- Ale nie wróciłeś do Halesworth Limited? Nie złożyłeś raportu lordowi Fairhaven?

- Eee, nie, sir. Sądziłem, że będzie na mnie wściekły. Opuściłem mój posterunek i tak dalej... Poza tym wcale nie podobała mi się praca w jego firmie.

- I postanowiłeś sobie dogodzić, przyjmując posadę w burdelu?

- Nie znalazłbym lepszej pracy, sir - stwierdził odważnie chłopak. - Pani Spencer jest dla mnie bardzo hojna.

Blisse Spencer wstała i podeszła do rozmawiających mężczyzn.

- O tak, Jim dodał mojemu domowi pewnego blasku, którego wcześniej mu brakowało. Klienci lubią ten nowy styl, a w miarę jak rozchodzą się wieści, mam klientelę z coraz lepszych sfer. Żeby nie przedłużać, bo Jim musi wracać do pracy... Panie Naylor, zapewne chciałby pan zabrać ze sobą pisemne oświadczenie Jima. Zaraz przyniosę pióro i papier.

- Siadaj, Jim - powiedział Gideon stanowczo.

- Tak, sir.

- Zakładam, że spiszesz oświadczenie.
- Oczywiście, sir. Nie chcę, by stracono niewinnego człowieka.
- A co z tym, który jest winny tej zbrodni? Nie chciałbyś, żeby go skazano?
- Chciałbym, sir. Gdybym tylko wiedział, kto to jest... Coś mi mówi, Jim, że wiesz, kto to jest - pomyślał Gideon. Zauważył jednak, że chłopak jest przerażony. Jego wyjaśnienia nie kleiły się, w większości musiały być naprędce wymyślonym kłamstwem. Rodzice Jima padliby trupem, gdyby się dowiedzieli, gdzie ich syn znalazł pracę. Nie, nie, prawda wyglądała inaczej. To strach wygnał Jima z domu lady Fairhaven i spowodował, że chłopak schronił się w domu publicznym. Coś musiało wywołać to przerażenie, a groźba wciąż pozostawała aktualna. Jim był koronnym świadkiem i Gideon za wszelką cenę zamierzał chronić go do czasu złożenia pełnych zeznań.

Pani Spencer wróciła z piórem i kilkoma kartkami pergaminu. i Jim szczegółowo opisał wydarzenia tamtego wieczora. Jego wprawna ręka rachmistrza poruszała się szybko i wkrótce Naylor mógł złożyć kartkę i schować ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Dziękuję za współpracę, Jim. Lady Joanna Barrant i lord Ashford również będą bardzo wdzięczni. Pani Spencer, pani także dziękuję za pomoc, choć udzieloną niezbyt chętnie - powiedział z ironicznym uśmiechem. - Jim, mam wrażenie, że jesteś zadowolony z pracy w tym domu. Dam ci radę. Nie pokazuj się w miejscach publicznych, dopóki nie złapiemy mordercy. Tutaj jesteś chyba bezpieczny. Mało prawdopodobne, aby Annie zabawiała kogoś zainteresowanego miejscem twojego pobytu. Było mi miło poznać panią, pani Spencer. Od czasu do czasu zajrzę tutaj i sprawdzę, jak sobie radzi Jim. Kto wie, może zmienię przyzwyczajenia i zamiast odwiedzać dom pani Doyle, zacznę przychodzić do pani?

- Zawsze będzie pan mile widziany - rzekła pani Spencer z grzecznościowym uśmiechem, który szybko zniknął z jej ust.

### ***Rozdział dwudziesty dziewiąty***

Wizyta Gideona Naylora całkowicie rozstroiła Marka Haleswortha. Nie przypuszczał, że komukolwiek uda się powiązać z nim zbiegłego lokaja lady Fairhaven. Tak naprawdę nie spodziewał się, że w ogóle

będzie jakieś śledztwo. Ashford miał motyw, był też świadek zeznający na jego niekorzyść. Zniknięcie Jima nieco zakłócało ten klarowny obraz, ale dopóki chłopak się nie pojawiał, Mark mógł bezkarnie rzucać podejrzenia na Vardena.

Tylko że Barrandowie najęli inspektora, a ten mógł znaleźć Jima. Było to mało prawdopodobne, lecz tego człowieka nie powinno się lekceważyć. Kto by pomyślał, że ów niepozornie wyglądający mężczyzna wyśledzi powiązania Jima z Halesworth Limited? Mark czuł, że musi się zabezpieczyć na wypadek, gdyby Gideonowi Naylorowi udało się odszukać Jima.

Ktoś powinien śledzić Naylora. Halesworth miał odpowiedniego człowieka do tego zadania. Był jednym z pracowników fizycznych w dokach i nazywał się Tom Drabbie.

Nazajutrz po wizycie inspektora Mark wyszedł z biura wcześniej i udał się do doków. Jego żalobny czarny strój sprawiał, że skutecznie ginął w cieniu magazynów portowych. Spokojnie mógł poczekać, aż pracownicy zaczną wychodzić. Halesworth miał szczęście. Drabbie wyszedł jeden z ostatnich i był sam.

- O, pan Halesworth! Ten tego... znaczy, lordzie Fairhaven... co za niespodzianka! Pan tutaj?

Drabbie był drobnym człowieczkiem o charakterystycznej lisiej twarzy, której ostre rysy na długo zostawały w pamięci. Mark zlecał mu od czasu do czasu jakieś specjalne misje. Ostatnio było to szpiegowanie współpracowników i pilnowanie, czy nie wynoszą z terenu zakładu majątku Halesworth Limited.

- Mam dla ciebie robotę, Drabbie.

- Co to bendzie tym razem, panie lordzie? Trza z kimś zrobić porzundek w magazynie?

- Na kilka dni opuścisz doki. Chciałbym, żebyś kogoś dla mnie śledził.

- Śledził, panie lordzie?

- Tak, śledził. Gwarantuję, że wypłacę ci za ten okres obydwie pensje i wszystkie premie.

Drabbie pociągnął nosem. Mark zdążył już poznać ten niemily nawyk i zawsze odruchowo miał ochotę wręczyć mężczyźnie chusteczkę. Koledzy z pracy przezywali go Tom Kapuśniaczek, bo bez przerwy ciekło mu z nosa. Dzięki Bogu, Drabbie nie musi używać nosa do śledzenia - pomyślał Mark, z obrzydzeniem patrząc,

jak robotnik wyciera nos w rękaw. Gdyby był psem, nie nadawałby się do niczego, ponieważ nie podjąłby żadnego tropu. Tymczasem jako człowiek miał swoje sposoby. To zadziwiające, ale z łatwością potrafił wywęszyć złodzieja w magazynach portowych lub wywiedzieć się na mieście, co robią konkurenci Haleswortha.

- Kogo bende śledził, panie lordzie?
- Inspektora śledczego z Bow Street.
- Inspektura, sir?
- Niejakiego Gideona Naylora.
- Naylora!
- Słyszałeś o nim?
- Kto nie słyszał? Jest najlepszym łapaczem złodziejów.
- Nie robił wrażenia niebezpiecznego.
- Tak wyglunda, ale to pozór, panie lordzie. Znowu pociągnął nosem. I znowu rękaw posłużył mu za chusteczkę.
- Jak myślisz, uda ci się chodzić za nim tak, aby cię nie zauważył?
- No chyba, sir. Jestem w tym doskonały.
- Rzeczywiście, jesteś bezkonkurencyjny. Zwróć uwagę, czy Naylorowi uda się znaleźć pewnego młodego człowieka o nazwisku Jim Rooke. Pilnuj inspektora od samego rana.
- Ta jest, sir. Przyczaję się na Bow Street i stamtąd zacznę.
- Jesteś pewien, że cię nie zauważy?
- Tak myślę, panie lordzie.
- Nie życzę sobie, by wyszło na jaw, iż to ja ciebie wysłałem, Drabbie. Spotkamy się w „Złotej Koronie”. Drabbie znowu pociągnął nosem.
- Tak, panie lordzie.
- W takim razie idź już. Nie chcę, żeby ktoś nas zobaczył. Drabbie natychmiast ruszył przed siebie. Nie odwrócił się ani razu. Może wysławiając się kaleczył słowa i brzmiał śmiesznie, lecz znał się na swym drugim fachu. Halesworth nie miał wątpliwości: kiedy Naylor wpadnie na trop Jima, Drabbie będzie tylko kilka kroków za nim.

Następnego ranka Drabbie stanął na posterunku niedaleko budynku sądu. Kiedy pojawił się Gideon Naylor, ruszył za nim, ale dotarł tylko „Pod Głowę Garricka”. Inspektor zasiadł tam nad talerzem wypełnionym po brzegi jajecznicą na szynce, a obok postawił duży kufel piwa. Nie śpieszył się. W zasadzie zachowywał się jak

człowiek, który nie jest w pracy, tylko miło spędza czas wolny. Drabbie stał przy barze i powoli popijał swoje piwo. Kątem oka przez cały czas obserwował Naylora. Kiedy ten w końcu wstał od stołu, odwrócił się tyłem do drzwi i szybko dopił piwo. Wyszedł w samą porę, by dojrzeć, jak inspektor znika za rogiem. Po chwili okazało się, że zmierza ku postojowi dorożek. Drabbie zaklął w duchu. Fairhaven nic nie wspominał o rozliczeniu wydatków. Trudno, trzeba wyłożyć z własnej kieszeni. Miał przynajmniej tyle szczęścia, że w decydującej chwili znalazł się wystarczająco blisko, by usłyszeć, dokąd Naylor się wybiera.

Drabbie kazał woźnicy zatrzymać się dwie ulice dalej. Minęli dorożkę inspektora akurat w momencie, gdy ten wchodził już na stopnie prowadzące do domu przy Clarges Street 15. Drabbie zapłacił tylko tyle, ile się należało za kurs, nie dodając ani pensa napiwku. Zignorował złorzeczenia woźnicy. Nie zamierzał szastać pieniędzmi, zwłaszcza że nie miał pewności, czy Halesworth zwróci mu poniesione koszty.

Wróciwszy na Clarges Street, zastanowił się, jak mógłby zasięgnąć języka, kogo odwiedził Naylor. Na pewno przyszedł tu w interesach, ponieważ inspektorzy nie składali wizyt towarzyskich w tej dzielnicy.

Drabbie czekał przed domem, w którym Gideon przekazywał Vardenowi dobre wieści.

- Naprawdę go znalazłeś, Naylor? Siadaj, proszę. Siadaj i napij się ze mną herbaty.

- Dziękuję, mój panie, ale już jadłem śniadanie - powiedział inspektor przysuwając sobie krzesło.

- Czy Jim potwierdził moją wersję wydarzeń? - niecierpliwie dopytywał się Tony.

- Tak, sir. W kieszeni mam podpisane przez niego oświadczenie.

- W takim razie spodziewam się, że bezzwłocznie przedstawiś je w sądzie.

- Cóż, mój panie, przyszedłem właśnie w tej sprawie. Na razie nie grozi panu ponowne aresztowanie. Będzie tak przynajmniej do czasu odczytania testamentu lady Fairhaven - przypomniał Naylor. - Znalazłem Jima, ale nie chciałbym, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli.

- Dlaczego! - wykrzyknął Tony.
- Ponieważ chłopak może być w niebezpieczeństwie. Zaapelowałem do jego poczucia sprawiedliwości i udało mi się uzyskać zeznanie na piśmie. Jim nie chciał, by skazano niewinnego człowieka. Mam przeczucie, że on wie, kto jest mordercą. Sądzę, że się przed nim ukrywa.
- Nie przesłuchiwał go pan? Na pewno potrafi pan skłonić go do mówienia. Inspektor z pana doświadczeniem musi znać wiele sztuczek, sposobów na wydobywanie zeznań...
- Usłyszawszy, że Naylor znalazł Jima, Anthony Varden nieco się uspokoił, ale wciąż go denerwowało, iż cała prawda nie ujrzała światła dziennego. Tylko wykrycie sprawcy mogło go oczyścić z podejrzeń w oczach opinii publicznej.
- Wszyscy mamy ulubione metody, mój panie - odrzekł Gideon. - Staram się je dostosowywać do okoliczności. I do osób.
- Słyszałem. „Miły dla miłych, okrutny dla okrutnych”. Gideon uśmiechnął się.
- Uznałem, że Jima nie trzeba bardziej straszyć. Był wystarczająco przerażony. Wrócę tam jutro i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku. Przy okazji zadam mu kilka pytań.
- Gdzie pan go znalazł?
- Zatrudnił się jako lokaj w burdelu, sir.
- Niewiele brakowało, a Tony udławiłby się bułeczką maślaną.
- Jak udało się panu to ustalić? - zapytał, gdy przestał kasłać.
- Można rzec, iż mam swoje źródła - odparł Naylor z błyskiem w oku.
- Rozumiem - powiedział Tony uśmiechając się szeroko. - Może powinienem poznać pańskie źródła, Naylor. Tylko żeby sprawdzić ich rzetelność, rzecz jasna.
- Jestem pewien, lordzie, że ma pan własne źródła, hmm, w lepszych dzielnicach.
- Chyba tak, jednak muszę wyznać, że ostatnio brakuje mi zarówno pieniędzy, jak i... damskiego towarzystwa.
- Wiem, jak to jest.
- Tęsknię za Claudią - wyznał Varden. - Była moją przyjaciółką. Bardzo dobrą przyjaciółką. Zależało mi na niej, ale nie wyszliśmy poza przelotne pocałunki. Żal, odczuwam wielki, bezdeny żal. Sam nie wiem, dlaczego ci to mówię, Naylor. Chyba czuję się samotny.

- Przecież ma pan jeszcze jedną bardzo dobrą przyjaciółkę w osobie Joanny Barrand. Varden westchnął.

- Zgadza się, ale muszę jej unikać.

Gideon spojrział na niego, nie kryjąc zaskoczenia.

- Dla jej dobra - wyjaśnił Tony. - Zresztą dla mojego również. Przyłapałem się na tym, że zaczynam inaczej na nią patrzeć.

- To znaczy?

- W moich oczach przestaje być tylko przyjaciółką, a jestem pewien, że ona niczego takiego nie czuje w stosunku do mnie. Będę musiał rozejrzeć się za jednym z moich „źródeł”. Może wtedy smutek przestanie mi dokuczać.

Gideon wiedział, że lady Joanna Barrand darzy Vardena uczuciem głębszym niż przyjaźń. Kimże jednak był, żeby mówić o tym lordowi Ashford?

- Właśnie wybieram się do lady Barrand, aby złożyć jej raport.

- Oczywiście, oczywiście. Brakuje mi słów, którymi mógłbym ci podziękować, Naylor. Nawet jeśli połowa Londynu odwróci się ode mnie, to przynajmniej nie grozi mi już szubienica.

- Zrobiłem tylko to, co do mnie należało. Wykonałem zadanie, do którego wynajęła mnie lady Barrand. Niechętnie myślę o przerwaniu śledztwa w takim momencie... Kontynuowałbym je, gdyby...

- Gdyby ktoś pana wynajął?

- Tak, mój panie.

- De bierzesz, Naylor?

- Gwinea na tydzień plus wydatki.

- Cóż, chyba stać mnie na taki wydatek. Wynajmę cię i zanim wrócę do Ashford, zobaczę, co uda ci się znaleźć. Przynajmniej tyle mogę uczynić dla Claudii. Odszukać mordercę.

- Dziękuję, milordzie. Z przyjemnością poprowadzę dalej śledztwo. Tony uściskał dłoń inspektora.

- Powodzenia, Naylor.

Drabbie opierał się o płot po drugiej stronie ulicy. Przyglądał się, jak Gideon Naylor opuszcza dom i idzie dalej chodnikiem w kierunku Berkeley Square. Z ulgą spostrzegł, że tym razem inspektor nie ma zamiaru korzystać z dorożki. Wszystko wskazywało na to, że jego celem było kolejne domostwo kogoś z wyższych sfer. W istocie, Naylor wszedł na schody domu oznaczonego numerem 10 i zapukał



do drzwi. Drabnie przeszedł na drugą stronę ulicy i ponownie zatrzymał się na obserwację.

Joanna była zachwycona.

- Czyli Tony jest całkowicie oczyszczony z zarzutów?

- Tak, moja pani. Stanie się tak, gdy tylko dostarczę sędziemu oświadczenie Jima.

- Zrobi pan to jeszcze dzisiaj, jak sądzę? Gideon wytłumaczył, dlaczego podjął decyzję o odłożeniu tego na jakiś czas.

- Rozumiem - powiedziała Joanna kiwając głową. - Próbuje pan chronić świadka. Myśli pan, że ten chłopak wie, kto jest mordercą?

- Jestem pewien, moja pani.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Joanna zastanawiała się nad czymś.

- Panie Naylor, chciałabym, żeby nadał pan dla mnie pracował... to znaczy: dla nas. Nie wątpię, iż ojciec się zgodzi, że nie powinniśmy przerywać śledztwa w tym punkcie. Musimy znaleźć winowajcę.

- Z radością podjąłbym się dalszej pracy dla pani, lecz zostałem już wynajęty przez kogoś innego.

- Och, nie! Przecież nie może pan zrezygnować z wyjaśnienia tej sprawy, kiedy jesteśmy tak blisko rozwiązania - zaprotestowała dziewczyna.

- Nie rezygnuję z doprowadzenia tej sprawy do końca, moja pani - rzekł Gideon. - Wynajął mnie lord Ashford.

- Tony?

- Tak. Wydaje mi się, że bardzo mu zależy na postawieniu zabójcy lady Fairhaven przed sądem.

- Oczywiście, tak będzie nawet lepiej. Po prostu jestem... zaskoczona. Nie wiedziałam, że on ma pieniądze.

- Pieniądze, które dostał od lady Fairhaven, zwrócono mu w chwili zwolnienia z aresztu.

- No tak. Tak.

Joanna podziękowała inspektorowi za jego wysiłki i nalegając na przyjęcie premii w postaci gwinei, życzyła powodzenia w dalszym śledztwie. Po wyjściu Naylora stanęła przed otwartym francuskim oknem, które prowadziło do niewielkiego przydomowego ogrodu. Skoro tak bardzo się cieszyła, że Tony został oczyszczony z zarzutów, dlaczego czuła się zawiedziona? Przedtem mogła coś dla

niego zrobić; sądziła, że jest potrzebna. Nie chodziło o zyskanie jego wdzięczności; ważna była więź, jaka nagle się pomiędzy nimi zrodziła. Teraz ta specjalna więź została zerwana. Joanna Barrand znowu zajmie odległe miejsce w życiu lorda Ashford. Na pierwszym planie wciąż znajdowała się Claudia...

To podle, nie wolno źle myśleć o niezującej kobiecie - upomniała się Joanna. Wynajęcie Naylora było ze strony Tony'ego manifestacją poczucia odpowiedzialności. Tego się po nim nie spodziewała. Tu zdobyła się na szczerość wobec samej siebie. Owszem, zawsze miała Vardenowi za złe, że widzi w niej tylko ciągle tę samą przyjaciółkę z dzieciństwa. A jak ona go postrzegała? Również widziała w nim wciąż tego samego, dawnego Tony'ego Vardena, beztróskiego, pełnego werwy, skorego do brawury. Owszem, był odpowiedzialnym żołnierzem, ale nie potrafił się ustatkować i udźwignąć ciężaru zwykłej, szarej codzienności. Od wielu lat właśnie w takim człowieku się durzyła.

Teraz Tony sam zajął się własnymi sprawami. Powinna być zadowolona... A jednak czuła się dziwnie nieswojo, jakby jej świat nagle zmienił się nie do poznania.

### ***Rozdział trzydziesty***

Drabbie wytrwale chodził za Gideonem. Jakiś czas spędził przed jego domem, czekając, aż inspektor ponownie się pojawi na ulicy. Nie wiedział, że Naylor postanowił wydać połowę premii na drinki dla przyjaciół, dobrą kolację i noc w objęciach Annie oraz Grace. Drabbie nie odstępował go na krok. Po kilku godzinach zobaczył Gideona wychodzącego z domu. Inspektor był wystrojony w jeden z najlepszych wyjściowych garniturów i kierował się „Pod Głowę Garricka”. Drabbie zajął miejsce w najciemniejszym kącie tawerny, a potem zamówił coś do jedzenia i picia, ponieważ wszystko wskazywało na to, że Naylor zatrzyma się tutaj na dłużej. Mógł się rozluźnić i wyciągnąć nogi. Westchnął sobie, pociągnął nosem i użył serwetki jak chusteczki do nosa.

Goście wlewali w siebie drinki od co najmniej godziny, gdy jeden z aktorów pochylił się nad stołem i szarpnął rękaw garnituru Naylor.

- Gideonku, skarbie, popatrz tylko na tego faceta w rogu. Co za twarzyczka tępą siekierką ciosana! Niech mnie diabli, jeśli nie jest mu pisane spotkać twoje ramię sprawiedliwości. Popatrz, jak pociąga

tym swoim wielkim nochalem! - Bob był już solidnie zaprawiony. Pochwycił dłoń inspektora i wlepiając weń zamglone spojrzenie, wymamrotał: - Ach! Mój ty śliczny Gideonku.

Naylor uśmiechnął się. Regularnie, mniej więcej co trzy miesiące, Bob upijał się do nieprzytomności i głośno wyznawał Gideonowi miłość. Inspektor słodko się uśmiechał i nieodmiennie się skarżył, że jest tak urodziwym mężczyzną, iż można go wziąć za kobietę. Bob tymczasem ronił kilka łez, po czym zasypiał na stole... lub pod nim.

- Chyba mógłby już z tym skończyć - powiedział jeden z kolegów Boba. - Całe szczęście, że się tym nie przejmujesz, Gideon.

- Niech sobie gada, co chce...

Rzeczywiście, zupełnie mu to nie przeszkadzało. Miał kiedyś przyjaciela w 47 Regimentie Piechoty, który wołał mężczyzn, lecz jego skłonności nigdy nie stały się źródłem jakichkolwiek problemów. Podobnie mały rytuał Boba był tylko niewinnym popisem udręczonego przez życie, bezrobotnego aktora.

Nie siedział już długo. Wstał od stołu i pożegnał się ze wszystkimi, którzy byli jeszcze na tyle trzeźwi, aby dosłyszeć jego słowa.

- No, chłopaki, na mnie już czas. Jestem pewien, że wasza zła passa się skończy. Życzę wam, żeby stało się to już jutro. Powodzenia!

Tak wyglądał jego skromny rytuał. Koledzy aktorzy to tracili pracę, to znów ją zyskiwali. Grono przesiadujących w tawernie „Pod Głową Garricka” nieustannie się zmieniało.

Tego wieczora dopadła go jakaś dziwna melancholia. Szedł ulicą powoli, nie patrząc pod nogi, pogrążony w myślach. Pozornie był nieobecny duchem, ale wyszkolony umysł, mimo rozmiękczającego działania alkoholu, przez cały czas rejestrował sygnały z najbliższego otoczenia. Kilka razy wydawało się Naylorowi, że słyszy kroki za plecami. Natychmiast się odwracał, ale nikogo nie zobaczył. Widocznie szczury przemykały do rynsztoka.

Pani Doyle przywitała go nie tak ciepło, jak mógłby tego oczekiwać. Powiedziała, że Grace jest zajęta, więc znowu przyjmie go Annie.

- I tak noc będzie krótka, Gideonie, bo Annie ma klienta z samego rana. Masz godzinę. Nie więcej.

Może stało się tak dlatego, że musiał wyjść wcześniej, niż zamierzał, może dlatego, że wypił za dużo alkoholu, ale Annie nie potrafiła wydobyć z niego namiętności. Zwykle jej wdzięki działały

na niego pobudzająco. Tej nocy bez przerwy stawała mu przed oczami pani Spencer i snuł fantazje, jak by to było, gdyby znalazła się z nim w łóżku. Roześmiał się w duchu. O tak, pani Spencer musi się znać na *rzeczy*. Przy jej doświadczeniu Annie to nie douczona amatorka. Wspomnienie pełnych, miękkich ust tamtej kobiety uparcie powracało i w końcu postanowił, że odwiedzi ją pod pretekstem skontrolowania bezpieczeństwa Jima. Może zrobi to nawet już jutro wieczorem.

Nazajutrz zjadł późne śniadanie i pomyślał, że powinien złożyć wizytę lordowi Fairhaven. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że mimo znacznej fortuny Mark Halesworth wyrastał na podejrzanego numer jeden. Popijając kawę, starał się wczuć w sytuację tego człowieka. Przez wiele lat był on najbliższym krewnym Justina Haleswortha i miał odziedziczyć zarówno tytuł szlachecki, jak i fortunę. Ponieważ Justin ożenił się dopiero mając czterdzieści siedem lat, Mark musiał dorastać w przeświadczeniu, że zgarnie całą pulę. Tymczasem pojawiła się lady Claudia, a wraz z nią prawdopodobieństwo, że kuzyn doczeka się potomka. Mark musiał przyglądać się jej z drżącym sercem i czekać, czekać... Może nawet znienawidził młodą żonę kuzyna? Kiedy mijały lata, a lady Fairhaven wciąż nie powiła dziecka, zapewne odżyły jego nadzieje. Ostatnia wola zmarłego kuzyna sprawiła, że musiał przynajmniej rozważyć możliwość poślubienia wdowy. I wszystko byłoby na dobrej drodze, gdyby nie pojawił się Anthony Varden. Jeśliby lady Fairhaven wyszła za niego i miała z nim dzieci, Mark Halesworth mógłby się pożegnać z fortuną kuzyna. Zostałby mu tylko tytuł.

Wszystko składało się w logiczną całość. W oczach sędziów i większości obserwatorów Tony Varden miał najbardziej oczywisty motyw, ponieważ desperacko poszukiwał pieniędzy. To takie oczywiste: mężczyzna przyparty do muru może posunąć się do zbrodni. Często tak właśnie bywa. Gideon Naylor widział jednak wiele razy, jak zgubne skutki wywiera na ludzi nie brak, lecz posiadanie pieniędzy. Niektórym zawsze jest mało. Owszem, nędza i desperacja prowadzą do zbrodni. Ale chciwość również.

Czekał prawie godzinę, zanim Mark Halesworth znalazł chwilę, aby się z nim spotkać. Naylor od razu zwrócił uwagę, że lord

Fairhaven jest rozdrażniony ponownym wypytywaniem.

- Siadaj, Naylor. Nie mam dzisiaj dla ciebie dużo czasu, ale też nie mogę sobie wyobrazić, czegoś więcej możesz ode mnie chcieć.

- Byłem w pobliżu i pomyślałem, że wejść zapytać, czy nie słyszał pan czegoś o tym młodym lokaju, sir - odparł inspektor.

- Nic nie słyszałem. Niby dlaczego spodziewasz się, że mógłbym coś o nim słyszeć? - rzucił niecierpliwie Halesworth.

- W końcu jest to pański pracownik.

- Były pracownik, Naylor, były.

- Nie przyjmie pan tego człowieka z powrotem do pracy na stanowisku urzędnika?

- Po tym, jak zniknął? Nie. Jak już mówiłem, Naylor, nie wydaje mi się, żebyśmy go jeszcze zobaczyli. Albo od dawna nie ma go w mieście, albo leży gdzieś martwy. Jestem pewny.

- Cóż, mój panie, może ma pan rację. Tak czy inaczej, pochodzę jeszcze i porozglądam się.

Halesworth poderwał się z fotela i niemal niegrzecznie pokazał Naylorowi drogę do drzwi. Na progu życzył mu szczęścia.

Gideon wyszedł z budynku zadowolony. Jeżeli Fairhaven jest winny, wiadomość, że inspektor wciąż szuka Jima, powinna pchnąć go do czynu.

Mark szybko skończył pracę w biurze i pobiegł do pubu na spotkanie ze swoim szpiegiem.

Drabbie się spóźnił, ale miał gotowe wytłumaczenie: nie chciał zostawić Naylora, dopóki się nie przekonał, że ten na dobre się rozgościł „Pod Głową Garricka”.

- Znalazł już coś?

- Niczego takiego nie widział, panie lordzie. Był we dwu domach w Mayfair.

- Czyich?

- Dowiedziałem się, że to domy lorda Ashford i lorda Barrand.

- To ma sens - rzekł Halesworth po namyśle. - Przepytywał lorda Ashford, a potem poszedł złożyć raport lordowi Barrand. Nie wchodził nigdzie więcej?

- Tylko do burdelu, panie lordzie - odparł Drabbie, łypiąc lubieżnie okiem i pociągając nosem.

- Jak to wyglądało? Poszedł tam w interesach czy dla

przyjemności?

- To drugie, panie lordzie. Był tam tak długo, że musiał bardzo intensywnie przesłuchiwać jakąś panienkę. Jeśli wiesz, panie lordzie, co miałem na myśli.

Przeciągnął nosem po rękawie, wzbudzając obrzydzenie lorda Fairhaven.

- I nie podejrzewa, że go śledzisz?

- Nie dojrzał mnie i nie dojrzy. Mówiłem, że jestem dobry.

- Dobrze. Tylko tak dalej. Wracaj „Pod Głową Garricka”. Jutro spotkamy się tutaj o tej samej porze.

Kiedy Drabbie wśliznął się za stół w swoim ciemnym kącie, Gideon Naylor nadal siedział ze swymi kolegami. Wyszedł jednak wcześniej niż poprzedniego wieczora. Drabbie połapał się w sytuacji, gdy inspektor był już przy drzwiach. Wypił duszkiem cały kufel piwa i położył na stole monetę. Nie czekał na resztę. Miał tylko nadzieję, że w ten sposób nie ściągnie na siebie uwagi barmana.

Kiedy znalazł się na ulicy, Naylor już zniknął za rogiem. Szedł w tym samym kierunku co poprzedniej nocy. Drabbie zaczął podejrzewać, że inspektor po raz kolejny wybrał się na dziwki, ale Naylor minął burdel i kroczył dalej przed siebie. Minęło dobre dziesięć minut, zanim zatrzymał się przed budynkiem, który robił znacznie lepsze wrażenie niż dom pani Doyle. Stał tam kilka minut, jakby się zastanawiał, czy ma wejść do środka, czy zrezygnować.

Drabbie przyglądał mu się z cienia. Nagle drzwi się otworzyły i z domu wyszedł klient, wypuszczany przez autentycznego lokaja. Tryby w jego mózgu nie zaskoczyły od razu. Dopiero gdy Naylor przeszedł przez ulicę i wdał się w rozmowę z młodzieńcem w liberii, Drabbie zrozumiał sens rozgrywającej się na jego oczach sceny. Lokaj. Młody. Czyżby to właśnie był Jim? Czyżby Naylor go znalazł i teraz trzymał z jakiegoś powodu w ukryciu? Drabbie był zmęczony i kuśiło go, żeby pójść do domu. Lecz jeśli ten młokos nie był Jimem? Lord Fairhaven wpadłby w furię. Nie, trzeba tę wersję sprawdzić. Drobne dochodzenie nie zaszkodzi, zwłaszcza prowadzone w tych warunkach. Wygrzebał z kieszeni kilka monet. Godzina w łóżku z którąś z dziewcząt powinna rozjaśnić sytuację. Taka praca nawet mu się podobała...

Odczekał kwadrans i podeszedł do drzwi frontowych. Zastukał.

Gideon planował, że najpierw poprosi Jima do salonu i zada mu kilka pytań, a potem zdecyduje, co zrobić z resztą wieczoru. Plan zawalił się w gruzy, gdy wchodząc natknął się na panią Spencer, która akurat opuszczała salon. Miała na sobie obcisłą suknię z purpurowego jedwabiu, uwydatniającą jej krągłe kształty. Zobaczywszy Gideona, uśmiechnęła się do niego.

- Cóż to, panie Naylor, jednak postanowił pan zmienić przyzwyczajenia? A może nie przyszedł pan dla przyjemności, tylko w interesach?

- Jedno drugiemu nie przeszkadza, mam nadzieję. Czy mogę z panią pomówić na osobności? Zawahała się, ale zaraz odzyskała rezon i wydała dyspozycje:

- Jim, jeśli ktoś się zjawi, wyślij go do Carrie. Ona będzie wiedziała, co dalej robić.

- Dobrze, madame.

Gideon wszedł za nią do salonu i czekał, aż usiądzie. Nie zrobiła tego.

- Czym mogę panu służyć, panie Naylor? Mam odpowiedzieć na kilka pytań na temat Jima? A może woli pan porozmawiać o moich dziewczynkach?

Gideon po raz kolejny zwrócił uwagę, że twarz pani Blisse Spencer jest jedną z najbardziej fascynujących, jakie zdarzyło mu się oglądać. Uśmiech ledwie musnął chłodne oczy, ale usta... Te usta! Powinien zadać tej kobiecie kilka pytań o Jima, lecz nie potrafił oderwać wzroku od tych zmysłowych karminowych warg, obiecujących nieziemskie rozkosze.

- Owszem, mam jedno, no, może dwa pytania, ale to chyba może poczekać.

- Więc jednak jest pan zainteresowany jedną z moich panienek? Panie Naylor, woli pan niewinne czy doświadczone?

- Och, oczywiście, że wolę doświadczone - oburzył się Gideon. - Nie jestem z tych, którzy zaznają rozkoszy tylko w ramionach nietkniętych dziewic, które dopiero co przyjechały z prowincji. Zdecydowanie wolałbym towarzystwo doświadczonej kobiety.

Nie chciał, żeby zabrzmiało to zbyt stanowczo, toteż ostatnie zdanie wypowiedział bardzo łagodnie. W obecności pani Spencer łatwiej było zapanować nad głosem niż nad inną częścią męskiej

anatomii.

- Doskonale pana rozumiem, panie Naylor. Niektóre z moich dziewcząt są bardzo młode, ale przyszły do mnie z ulicy lub uciekły od natrętnych, napastliwych pracodawców. Zapewniam pana, że żadna z nich nie jest dzieckiem. Skoro ustaliliśmy, że preferuje pan doświadczone partnerki - powiedziała z wystudiowanym uśmiechem - proszę określić, jakie kobiety pan woli: brunetki czy blondynki?

- Szatynki, z całą pewnością. Tak naprawdę - rzekł Gideon, spoglądając na czarne jak noc włosy pani Spencer - im ciemniejsze włosy, tym lepiej, choć muszę powiedzieć, że trudno znaleźć piękność o naturalnych kruczoczarnych lokach.

Pani Spencer spojrzała na niego podejrzliwie.

- Hmm, obawiam się, że nie mam czarnowłosej kobiety, panie Naylor. Zatrudniam pewną bardzo miłą dziewczynę z włosami o ślicznym brązowym kolorze.

- Im więcej o tym myślę, tym bardziej moje serce tęskni za jakąś czarnulką - mówił dalej Gideon, niewinnie przyglądając się włosom pani Spencer.

- Rozumiem. Obawiam się, że jestem tutaj jedyną czarnowłosą kobietą, panie Naylor. Lecz nie przyjmuję już klientów.

Gideon przysunął się do niej. Byli niemal identycznego wzrostu, ich oczy znajdowały się na tej samej wysokości.

- To dla mnie wielki zawód, pani Spencer - rzekł wyciągając ramię. Delikatnie dotknął kosmyka, który wysunął się z koka.

- Czyżby?

- Naprawdę, z ręką na sercu.

Jego dłoń zsunęła się z włosów i musnęła policzek Blisse Spencer. Powoli przesunął palcem po jej ustach, aż lekko westchnęła rozbrojona pieśczętą.

Niech cię szlag, człowieku - pomyślała. Trafiłeś w mój czuły punkt. Zupełnie jak poprzednio Jim. Niczego nie wymuszał, po prostu pozwalał, by bliskość, bezruch i cisza wywierały presję za niego. Blisse nie przyjmowała klientów od pięciu lat, co także oznaczało, że od pięciu lat nie była z mężczyzną. Co prawda, wcale za tym nie tęskniła. Sprawiało jej to przyjemność tylko w czasach, gdy była ze swym pierwszym opiekunem, bardzo, bardzo dawno temu.

- Chyba nie uda mi się ciebie przekonać, abys na jedną noc



odstąpiła od swych obecnych zasad - wyszeptał Gideon, przesuwając palcem po brodzie i szyi czarnowłosej piękności.

- Mogłabym się zastanowić nad daniem panu... jednej godziny - wyszeptała w odpowiedzi.

Gideon ostrożnie zbliżył usta do jej gorących warg i złożył na nich pocałunek.

- To znakomicie.

### *Rozdział trzydziesty pierwszy*

Wyszli z salonu. Pani Spencer powiedziała Jimowi, że przez następną godzinę Carrie będzie pełnić obowiązki szefowej, a potem poprowadziła Naylora schodami w górę - prosto do pokoju, który niedawno przekazała Jimowi. Zamknęła drzwi i odwróciwszy się do Gideona plecami, bez słowa zaczęła się rozbierać. Położył dłonie na jej ramionach i obrócił ją twarzą do siebie. Zanim zdążyła zareagować, pocałował ją po raz kolejny, tym razem namiętniej, jeszcze silniej rozpalając jej zmysły.

- Nie musisz zachowywać się tak... zasadniczo - wyszeptał.

- Panie Naylor, przyszliśmy tu w interesach.

- Jeśli nawet, pani Spencer, to klient powinien być zadowolony, czyż nie? A ja będę zadowolony, jeśli dam pani odrobinę rozkoszy.

- Bardzo nowatorska koncepcja burdelu - zauważyła ze śmiechem. Jej głos zadrżał.

Palce Gideona delikatnie rozwiązały sznurowanie przy sukni, a potem poślaskotały kark i plecy. Zimna, opanowana pani Spencer zadygotała.

Jedwabna suknia zsunęła się do bioder. Inspektor zamknął w dłoni jedną z uwolnionych piersi i wodząc kciukiem wokół sutka, ponownie sięgnął ustami do rozchylonych warg.

Tym razem jej reakcja była naturalna i namiętna. Stali całując się, a Gideon pozwolił opaść sukni na podłogę. Pani Spencer nie miała na sobie nic więcej. Chciała rozpiąć spodnie Naylor, ale powstrzymał jej rękę. Odwrócił Blisse Spencer plecami do łóżka i ostrożnie ułożył ją na posłaniu.

Szybko zdjął spodnie, uwalniając swą męskość. Blisse przyglądała mu się z łóżka. Byłby bardzo przystojnym mężczyzną, gdyby nie nad wyraz skromny wzrost i przeredzone włosy. Położył się obok niej,

oparł na łokciu i zaczął głaskać jej uda. Po chwili jego palce zagłębiły się w trójkątnym gąszczu włosów, które były brązowe, a nie czarne. Gideon uśmiechnął się.

- Tak myślałem. Pani włosy są zbyt czarne, by mógł to być ich naturalny kolor.

- Przynajmniej wciąż je mam na głowie, panie Naylor - odparła, muskając palcem linię jego włosów.

- *Touche*, pani Spencer.

- Mam na imię Blisse.

- A ja Gideon - odrzekł pieszcząc ją palcami, aż uniosła biodra na spotkanie jego dłoni.

Chciała mu się odwdziaczyć, ale cofnął jej rękę.

- Nie trzeba. Wystarczająco długo dogadzałaś mężczyznom.

Kłęknął przed nią i poruszając się w górę i w dół, pieścił ją w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowały się jego palce. Dopiero gdy wiała się pod nim z rozkoszy, wtargnął do jej wnętrza. Na początku poruszał się w niej powoli, oszczędnymi, wyważonymi posunięciami, sięgając palcami do źródła rozkoszy. Stopniowo przyśpieszał rytm i wkrótce Blisse Spencer głośno jęknęła, a falowanie jej łona powiedziało mu, że osiągnęła szczyt rozkoszy. Zagłębił się w jej rozpalonym wnętrzu jeszcze kilka razy i sam również osiągnął spełnienie.

Przez kilka minut leżeli objęci w głuchoj ciszy. Żadne z nich nie chciało zakłócać słowami wzajemnej bliskości. Pierwszy odezwał się Gideon.

- Skarbie - rzekł, odgarniając włosy z jej twarzy - masz idealnie dobrane imię\*.

- Tak, bez wątplenia - zgodziła się. W jej głosie wyraźnie mógł usłyszeć gorzyc. - To samo powiedział mój pierwszy mężczyzna.

- Kto to był?

- Nasz wikariusz - odparła odsuwając się od Gideona. - Powiedział wtedy, że kochać się ze mną to jak doznać błogosławieństwa przebywania w raju. To dziwne, ale musiałam być wówczas zupełnie gdzie indziej, ponieważ żadnych rajskich wrażeń nie zaznałam - podsumowała ironicznie.

---

\* *Bliss* (ang.) - błogość.

- Ile miałaś wtedy lat? - zapytał, nie przerywając zabawy jej włosami.

- Czternaście.

- Nikomu o tym nie powiedziałaś?

- A kto by mi uwierzył? Nikt. On był młodszym synem pewnego wicehrabiego, miał żonę i trójkę dzieci. Ja byłam córką sklepikarza. Żona wikariusza nakryła nas i spędziłam trzy dni zamknięta na klucz w moim pokoju, bez jedzenia i picia. Nie chciałam wyznać swych grzechów, więc ojciec stłukł mnie na kwaśne jabłko i wyrzucił z domu. Przyjechałam do Londynu, a resztę możesz już sobie dopisać. Historia, jakich wiele.

Gideon pocałował ją w kark.

- Rzeczywiście, z drobnymi zmianami słyszałam ją z ust wielu dziewcząt, takich jak Annie lub Grace. Jak udało ci się zdobyć własny dom publiczny?

- Kiedy miałam nieco ponad dwadzieścia lat, uśmiechnęło się do mnie szczęście. Poznałam mężczyznę, dżentelmena. Jeszcze jednego młodszego syna. Zamieszkałam w jego domu, a on stał się moim opiekunem. Idylla trwała cztery lata. Ożenił się, ale na pożegnanie dał mi podarek, za który mogłam kupić ten dom i uruchomić własny interes.

- Kochałaś go?

- Owszem, byłam na tyle głupia.

- Nie wydaje mi się, żeby miłość była dowodem głupoty. Blisse usiadła na łóżku.

- Czas już chyba się skończył, panie Naylor.

- Mam na imię Gideon. Musisz już iść?

- Prowadzę interes, panie Naylor.

- Gideonie.

- Gideonie. Muszę wracać na dół.

- Carrie robi wrażenie bardzo kompetentnej we wszystkich ważnych sprawach - rzekł z uśmiechem, łapiąc jej rękę w nadgarstku. - W końcu jestem przecież klientem, który płaci za usługi. Na pewno opłaciliby się... hmm, zachęcić mnie do ponownej wizyty. Zaczyna mi się tu podobać. Będę trochę tęsknić za Annie i Grace...

- Mam tu dziewczynę, która sprawi, Gideonie, że szybko o nich zapomnisz. Jest młoda i świeża. Obiecuję, że kiedy przyjdiesz

następnym razem, dostaniesz Nancy.

- Ale ja cenię sobie doświadczenie. Przecież już mówiłem.

- W takim razie Carrie będzie w sam raz - stwierdziła Blisse, próbując wstać.

Naylor nie puszczał jej ręki.

- Nie. Wolę starsze kobiety - przemawiał łagodnym tonem.

Usiadł na posłaniu za plecami Blisse, obejmując ją nogami. Wypuścił z ręki jej nadgarstek i ponownie zaczął masować ukryty przed jego wzrokiem wilgotny kwiat kobiecego łona. Blisse Spencer wyprężyła się, wygięła ciało w łuk i przyjęła pieszczoty, które doprowadziły ją do upojnego orgazmu. Przez chwilę odpoczywała, a potem popchnęła Gideona na pościel i wzięwszy jego męskość w dłoń, rozpoczęła rytmiczny masaż. Był na granicy wybuchu, gdy go dosiadła, i po kilku sekundach szczytował w jej słodkiej, rozpalonej jamce.

Zasnęli objęci, zasłuchani w swoje oddechy. Obudziwszy się, Gideon leżał bez ruchu, przyglądając się śpiącej Blisse Spencer. Czarne włosy opadły jej na ramiona, ale nie zakrywały twarzy, z której po raz pierwszy zniknęło napięcie. Naylor nigdy nie kochał się z kobietą, której nie płacił za usługi i nigdy nie kochał się z kobietą, którą darzył miłością. Mary pozwoliła mu tylko na kilka pocałunków. Grace i Annie były słodziutkie, *szczerze* go lubiły, ale siłę ich uczuć wyznaczały pieniądze. Nie miały czasu dla mężczyzn, którzy nie dysponowali bręczącymi argumentami.

Blisse Spencer również przespała się z nim dla pieniędzy, więc dlaczego mu się wydawało, że z nią było inaczej? Zerknął na swoje rzeczy, rozrzucone po podłodze. Powinien wysłiznąć się z łóżka, ubrać się, położyć pieniądze na stoliku, a potem zniknąć. I gdyby miał choć odrobinę oleju w głowie, już nigdy więcej nie zajrzałyby do tego domu. Nieważne, co jej obiecywał.

Nie chciał płacić za ten wieczór. Pragnął udawać, że połączyło ich pożądanie, a nie zwyczajna transakcja między dziwką i klientem.

Blisse poruszyła się w jego ramionach i otworzyła oczy. Przez kilka sekund były dwoma jeziorami niewinności, jak u czternastoletniej dziewczyny. Zaraz jednak rozbudziła się na tyle, że przypomniała sobie, kim jest i gdzie się znajduje. Spojrzenie stwardniało.

Gideon przemówił pierwszy:

- Wiem, już późno. Jesteś zajęta, masz na głowie cały ten interes. Chcę ci jednak coś zaproponować. Podniosła na niego wzrok, czekając w napięciu na dalsze słowa.

- Zrozumiałem, czego tak naprawdę potrzebuję. Pragnę stworzyć pozory, że ten wieczór był prawdziwy... to znaczy... że spotkaliśmy się tutaj, bo nawzajem siebie pożądaliśmy. Nie chcę płacić za to, co pomiędzy nami zaszło.

Widział, jak otwiera szeroko oczy i gotuje się do ataku. Szybko dodał:

- Zanim wpadniesz w gniew, wysłuchaj mnie do końca. Przyjdę za jakiś czas i zapłacę podwójnie za Carrie lub Nancy, obojętne, zdaję się na twój wybór. Czy takie rozwiązanie cię zadowala?

- Skąd mam wiedzieć, że w ogóle pan wróci, panie Naylor?

- Masz moje słowo.

- Dobrze - powiedziała bezbarwnym głosem. - Zaufam panu.

- Dziękuję, pani Spencer. Muszę już iść.

Wstał i szybko się ubrał, tylko raz zerkając na Blisse Spencer. Leżała nieruchomo na łóżku i obserwowała go, a jej kamienne spojrzenie mówiło wszystko. Był naiwny sądząc, że coś się pomiędzy nimi zmieniło. Na dodatek zrobił z siebie głupca, opowiadając jej o swoich uczuciach. Wciągnął koszulę w spodnie, włożył marynarkę i rzuciwszy „dobranoc”, wyszedł.

Blisse Spencer nie ruszała się z posłania. Kiedy za Gideonem zamknęły się drzwi, rozluźniła się i przywołała w pamięci przeżycia ostatnich godzin. Czy Gideon Naylor wiedział, co naprawdę czuła? Czy domyślał się, że rozniecił płomień tam, gdzie - jak sądziła - znajdowały się same popioły? Nie, nie! To śmieszne. Była starzejącą się dziwką - oto kim była. Miała doświadczenie i zawsze potrafiła zmylić kochanka, który był przekonany, że dawał jej rozkosz. Naylor mógł jednak pomyśleć, że jego również oszukała. A wtedy nie przyjdzie tutaj więcej. Albo przyjdzie i poprosi o Carrie lub Nancy. Na pewno nie o Blisse Spencer z farbowanymi włosami i głupiutkim sercem.

Podczas gdy Gideon spędzał miło czas w objęciach pani Spencer, Drabble wykupił godzinę z Lizzie, jedną z bardziej doświadczonych dziewcząt. Carrie proponowała mu Nancy, ale Jim, stojący za plecami Drabble'a, energicznie pokręcił głową. Carrie wzruszyła

ramionami i zawołała Lizzie. Kiedy Drabbie począł się wspinać na piętro, powiedziała:

- Jim, wiem, że lubisz Nancy, ale nie możesz w ten sposób odrywać jej od pracy.

Drabbie dosłyszał te słowa.

To na pewno jest lokaj, którego szuka Fairhaven - pomyślał. -No, to teraz mogę się odprężyć. Powiadomię go rano.

Carrie i Jim właśnie odprowadzali Naylora do sieni, gdy w korytarzu pojawiła się Lizzie.

- Co za ohyda! - prychnęła. - Jeszcze nie miałam tak odrażającego faceta. Ciągłe kapało mu z nosa, gigantycznego, czerwonego jak burak kinola! Myślałam, że nie powstrzymam się i wybuchnę śmiechem, gdy zaczął pociągać nosem w... hmm, decydującym momencie. Wiecie, co mam na myśli.

Wszyscy się roześmiali. Gideon życzył im dobrej nocy i wyszedł na chłodne powietrze. Nie przepytał Jima, ale to nic. Będzie miał pretekst, żeby niedługo przyjść tutaj ponownie.

Był mniej więcej w połowie drogi do domu, gdy coś sobie przypomniał. *Primo*: w „Pod Głową Garricka” siedział mężczyzna, któremu kapało z nosa. *Secundo*: mężczyzna, któremu kapało z nosa, był dzisiaj w domu pani Spencer. Zapewne w Londynie przebywało wielu facetów mających nawyk pociągania nosem, ale istniało też prawdopodobieństwo, że ktoś go śledzi. Może lord Fairhaven wynajął jakiegoś człowieka? Może chciał wiedzieć, kiedy inspektor wpadnie na trop Jima? Naylor zaklął. Jeżeli jego podejrzenia były trafne, Halesworth dowie się o Jimie z samego rana. Niestety, teraz on sam musiał zabawić się w śledzenie. A to oznaczało długą, bezseną noc.

### ***Rozdział trzydziesty drugi***

Gideon Naylor zajął stanowisko obserwacyjne naprzeciw domu lorda Fairhaven. Odpędzał sen, ale przychodziło mu to z dużym trudem. Najgorsze jednak było to, że jego myśli ciągle uciekały do chwil spędzonych z Blisse. Tuż przed świtem zdrzemnął się, ale na szczęście obudziła go zwykła poranna krzątanka. Na ulicy pojawili się sprzedawcy, ale poza nimi nie dojrzał nikogo podejrzanego.

Zastanawiał się, czy wczorajszy tok rozumowania nie zawiódł go w ślepy zaułek, gdy nagle zobaczył na ulicy mężczyznę, o którego mu chodziło. Wyglądał na bardzo pewnego siebie. Śmiało zbliżył się do drzwi Haleswortha i został wpuszczony do środka.

Wyszedł nieco przybity, jakby Mark Halesworth po prostu go wyrzucił i nie chciał więcej widzieć. Naylor bez pośpiechu ruszył za nim.

Dał mu piętnaście minut. Potem wyczekał, aż znajdą się z dala od ludzi, szybko zbliżył się do śledzonego mężczyzny i pchnął go w jakąś ciemną bramę.

- Czego chcesz?! - pisał Drabbie. - Nie zrobiłem nic złego!

- Łiesz. Lord Fairhaven na pewno wypłacił ci okrągłą sumkę za śledzenie przedstawiciela prawa i pewną informację, którą właśnie przekazałeś.

Drabbie próbował blefu.

- Jakom informację? Fairhaven dał mnie pieniondze? Szefie! To pomyłka!

Gideon chwycił mężczyznę za gardło i przyparł do ściany. Szybko przeszukał jego kieszenie.

- A to co? - Pokazał znaną gwineę. - Zarabiasz gwineę na tydzień? Zupełnie jak inspektor. No to może powiesz mi, za co ją dostałeś? Albo przedstawię cię moim kolegom w lochach Newgate.

Drabbie nie wahał się ani chwili. Strach emanował z niego każdym porem skóry. Opowiedział wszystko jak na spowiedzi, tylko z rzadko przerywając, aby pociągnąć nosem.

- Co Fairhaven zamierza? - zapytał Gideon.

- Mam się z nim spotkać dzisiaj w „Złotej Koronie” i zaprowadzić go do tego burdelu. Chce się przekonać, ile ten Jim wie...

- A potem?

- Nie wiem. To zależy od chłopaka. Jeśli widział za dużo, to... Fairhaven chyba nie będzie z tego zadowolony.

- Powiem panu, co ma pan zrobić, panie...

- Drabbie.

- Panie Drabbie. Postąpi pan dokładnie tak, jak tego sobie życzył Fairhaven, nic nie mówiąc o naszej krótkiej rozmowie. Rozumiemy się?

- Jasne! Bende milczał.

- Doskonale. Tak przy okazji: nie wiem, co widział Jim. Może nic,

ale jestem ciekaw, co mógł zobaczyć, skoro Halesworth jest tego tak ciekawy.

- Nie wiem, szefuniu. Jego lordowska mość nie powiedział mnie. Gideon kilka razy silnie potrząsnął mężczyzną, aż jego głowa uderzyła o ścianę.

- Zrobisz dokładnie, jak powiedziałem, zrozumiałeś, Drabbie?

- Tak, sir. Nie chce zadzierać z inspektorami, panie Naylor.

- Świetnie. A teraz spadaj!

Drabbie uniósł się godnością i zanim odszedł, poprawił kołnierzyk koszuli oraz marynarkę, ale potem rzucił okiem na twarz Gideona i czym prędzej wyskoczył z bramy na ulicę. Inspektor odprowadził go spojrzeniem, uśmiechając się pod wąsem.

- Lord Ashford ucieszy się, gdy mu powiem o nieoczekiwanym zwrocie w sprawie - mruknął do siebie. Rzeczywiście, Tony był bardzo podekscytowany.

- Nie popisałem się, mój panie - stwierdził samokrytycznie Gideon.

- Aż trudno mi uwierzyć, że śledził mnie tak długo, a ja niczego nie zauważyłem. Gdyby nie skusił się na Lizzie...

- Ale dodałeś dwa do dwóch i rozszyfrowałeś go, Naylor - protestował Tony.

- Udało mi się. Tu wielki nochal, tam wielki nochal - zauważył sarkastycznie.

- Przecież znalazłeś Jima i odkryłeś powiązania Drabble'a z Fairhavenem. Teraz musimy już tylko wymusić na Marku przyznanie się do winy.

Gideon dosłyszał końcówkę „my”.

- Dobiorę sobie współpracownika spośród inspektorów, mój panie.

- Och, nie, nie! Obaj jesteśmy przekonani, że Claudię zamordował Mark Halesworth i chciał, bym zamiast niego zgnął w Newgate. Albo jeszcze lepiej, żeby mnie powiesili. Tkwią w tym po same uszy. Muszę dobrać mu się do skóry - powiedział miotając z oczu błyski. Jego żołnierze doskonale znali to spojrzenie.

- Nie mamy pewności, że Halesworth zabił lady Fairhaven.

- Naprawdę masz wątpliwości, Naylor?

- Żadnych. W porządku, zrobimy to razem. Powinniśmy pójść tam wczesnym wieczorem, aby się z nim nie minąć. Przyjdę po pana około piątej.

- Będę gotowy.



Kiedy dotarli do domu pani Spencer, Gideon na moment dał się porwać panice. Może Jim uciekł po raz kolejny albo Fairhaven dopadł go przed nimi? Drzwi otworzyła Carrie i wyraz jej twarzy wskazywał, że wszystko jest w najlepszym porządku. Dziewczyna mrugnęła i z uśmiechem powiedziała, że Jim gości teraz u Nancy.

- Zastaliśmy panią Spencer? - spytał Gideon.

- Po południu pani Spencer zwykle drzemie, panie Naylor, ponieważ prawie całą noc jest na nogach.

- Oczywiście. Zaczekamy w salonie, Carrie. Przyślij do nas Juna, jak tylko zejdzie na dół. Aha, jeszcze jedno...

- Tak, panie Naylor?

- Pamiętasz klienta Lizzie? Drabble'a?

- Wielkiego kinola?

- Właśnie tego. Dzisiaj znowu do was przyjdzie. Zanim go wpuścisz, powiadom mnie, że już jest.

- Dobrze, sir. Hmm... Czy pański przyjaciel zaczeka razem z panem, czy też jest w nastroju na damskie towarzystwo?

Dziewczyna zatrzepotała rękami i klepnęła dłonią kusą sukienkę, jakby chciała ją wygładzić, ale w rzeczywistości chodziło o odsłonięcie na chwilę wdzięków skrytych pod błyszczącym materiałem.

- Nie dzisiaj, skarbie - rzekł Tony z uśmiechem. - Przykro mi.

- Nie zaszkodziło spróbować - powiedziała Carrie i wyszła z salonu.

Anthony Varden rozejrzał się po pokoju.

- Ten dom robi bardzo dobre wrażenie, Naylor. Można by pomyśleć, że mieszkają tu przyzwoici ludzie.

- Owszem, a kiedy w drzwiach staje Jim, wrażenie jest naprawdę silne. Rzadko gdzie można spotkać taką atmosferę.

- Wyobrażam sobie. - Tony zachichotał. - Sam nie uczęszczam do tych przybytków. Odkąd przyjechałem do Londynu, większość czasu spędzałem na St. James Street 57. A kiedy służyłem w Hiszpanii, kręciło się wokół nas pełno chętnych kobiet. - Zamilkł na moment, a potem zapytał: - Jesteś żonaty, Naylor?

Zaskoczony Gideon podniósł na niego wzrok.

- Nie, sir - odrzekł. - Z moim zawodem nie znalazłbym kobiety, która chciałaby dzielić ze mną życie. Rzadko bywam w domu, zadaję

się ze złodziejami albo jeszcze gorszym motłochem. Nie, nie mogę wciągać w to żadnej kobiety.

- Musi dokuczać ci samotność. Wieszysz niemal żołnierski żywot.

- Istotnie, żołnierze wiodą podobne życie. Kiedyś, gdy służyłem w 47 Regimentzie Piechoty, myślałem, że mam do kogo wrócić. Ale ona nie zaczęła na mnie.

- Kiedy się to skończy, chyba rozpocznę życie mnicha. Zaszyję się w Ashford, będę wstawał o świcie, zajmował się gospodarstwem i wcześniej kładł się spać. Oto cnotliwe życie dojrzałego mężczyzny - zakpił. - Nie tak to sobie wyobrażałem, lecz wszyscy kiedyś musimy dorosnąć. Taka jest prawda. Gideon nie mógł się powstrzymać.

- A co z lady Joanną, sir? - zapytał. To pana dobra przyjaciółka i wciąż nie jest z nikim związana.

- Jeśli na kogoś czeka, to na pewno nie na mnie. Gwarantuję. Po prostu jeszcze nie trafiła na odpowiedniego mężczyznę. Joanna zasługuje na kogoś... kogoś podobnego nie do mnie, lecz raczej do Neda - wyjaśnił Varden.

- Odniosłem wrażenie, że bardzo jej na panu zależy.

Gideon połapał się, że posunął się za daleko. Nie powinien mówić takich rzeczy, wtrącając się w prywatne życie hrabiego, nawet jeśli ów był przychylnie usposobiony.

- Jak sięgam pamięcią, jesteśmy sobie bardzo bliscy, Naylor, ale jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Gideon chciał zaryzykować i drażnić temat dalej, gdy drzwi salonu stanęły otworem i do środka wszedł Jim.

Tony podniósł się z krzesła i chłopak stanął jak wryty.

- Lord Ashford!

- Tak, Jim. Przyszedliśmy podziękować ci za twoje oświadczenie - wyjaśnił inspektor.

- Jim, bardzo ci dziękuję.

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić - powiedział Jim, patrząc na czubki swych butów.

- A czego nie mogłeś zrobić, Jim? - zaciekawił się Gideon.

- Powiedzieć nam, że ostatnią osobą, która oglądała lady Fairhaven żywą, był lord Fairhaven? A może widziałeś mordercę? Chłopak pobielał na twarzy, ale nic nie odpowiedział.

- Jim, nie musisz być taki tajemniczy. Wszystko już wiem. Albo prawie wszystko - rzekł Naylor. - Najlepiej zrobisz zrzucając ciężar z

serca. Podejrzewam, że nie mamy dużo czasu. Zaraz zjawi się tutaj lord Fairhaven.

Jim wyglądał jak rażony gromem.

- Jak mnie znalazł?!

- Niechętnie to wyznaję - westchnął Gideon - ale znacznie się do tego przyczyniłem. Pamiętasz Drabble'a? - spytał, znacząco pociągając nosem. - Fairhaven wynajął go, żeby mnie śledził.

Chłopak przepaszająco spojrzął na Vardena.

- Zaraz po pana wyjściu przyszedł lord Fairhaven. Wpuściłem go do środka i udał się do biblioteki. Dawson nakazał mi zostać w hallu i odprowadzić panią na górę. Byłem zmęczony, więc postanowiłem zerknąć do biblioteki i zapytać, czy czegoś nie potrzebuje. Miałem nadzieję, że ulituje się nade mną i odeśle mnie do łóżka.

- Mów dalej - zachęcił Gideon.

- Zobaczyłem lorda Fairhaven. Zaciskał dłonie na szyi lady Fairhaven, leżącej bez ruchu na sofie. Wpadłem w panikę i uciekłem. Nie przyszło mi do głowy, że oskarżą pana o tę zbrodnię - powiedział zwracając się do Vardena.

- Nie chowam urazy, Jim. Na twoim miejscu prawdopodobnie postąpiłbym tak samo.

- Wtedy nie mogłem tego powiedzieć, panie Naylor. Za bardzo się bałem, że kiedy zacznę zeznawać, lord Fairhaven odszuka mnie i uciszy.

- Gdybym chciał, żebyś wszystko wyznał, bardziej bym cię naciskał.

- Co teraz zrobimy, Naylor?

- Jim, wrócisz na swoje stanowisko przy drzwiach. Przecież Fairhaven nie zabije cię w progu - pozwolił sobie zażartować.

- Wpuścisz go do salonu, a my zaczaiemy się w korytarzu.

- Będę z nim zupełnie sam!

- Pamiętaj, że on nie wie, co widziałeś. Jeśli znajdziesz się w niebezpieczeństwie, możesz... możesz... - Gideon rozglądał się po salonie. - Zrzuć na ziemię tę wazę. Natychmiast przyjdziemy ci z pomocą. Możesz to zrobić?

Jim głęboko odetchnął.

- Chyba tak, sir. Jestem to winien lady Fairhaven. Zawsze była dla mnie bardzo miła.

**Rozdział trzydziesty trzeci**

Czas włókł się niemiłosiernie. Jimowi wydawało się, że upływają godziny, a minęły zaledwie dwa kwadranse, gdy otworzywszy drzwi, stanął twarzą w twarz z lordem Fairhaven, któremu towarzyszył Drabbie. Chłopak nawet się ucieszył, że nadszedł kres oczekiwania. Jego były pracodawca obdarzył go fałszywym uśmiechem i stwierdził, że niezwykle cieszy się z tego spotkania.

- Proszę wejść, mój panie. Poszukam pani Spencer, a ona już zapewni wszystko, czego panom potrzeba.

- Nie, nie, Jim, niczego nam nie potrzeba. Chciałem tylko z tobą porozmawiać - wyjaśnił Halesworth. - Jest tu jakieś spokojne miejsce?

- Owszem, sir. Możemy skorzystać z salonu.

- Drabbie, pilnuj drzwi, dobrze?

- Tak jest, mój lordzie.

Fairhaven poszedł przodem, otworzył drzwi od salonu i przepuścił Jima. Zamknąwszy drzwi powiedział:

- Siadaj, chłopcze, siadaj. - Stał nad Jimem i mówił dalej:

- Opuściłeś lady Fairhaven dość nagle.

- Zgadza się, mój panie - odparł chłopak, starając się zapanować nad głosem.

- Może powiedziałbyś mi, dlaczego to zrobiłeś.

- Cóż, lord Ashford poinformował mnie o zaręczynach z lady Fairhaven, więc pomyślałem, że kiedy przekażę panu tę wiadomość, moje zadanie będzie skończone.

- Ale przecież nie przekazałeś mi tej wiadomości.

- Eee... No tak, ale planowałem zrobić to z samego rana. Potem jednak usłyszałem o zabójstwie lady Fairhaven, toteż moja informacja nie miała już żadnego znaczenia.

- Dlaczego w takim razie nie wróciłeś do pracy w magazynie? Mark mówił przyciszonym, spokojnym głosem, ale Jim czuł się jak człowiek, do którego powoli skrada się gotowy do ataku tygrys.

- Praca lokaja bardzo mi się spodobała, mój panie. Widocznie mam to we krwi - dodał śmiejąc się nerwowo.

- I znalazłeś sobie zatrudnienie w burdelu? Czyżby twoja rodzina miała tradycję pracy w takich miejscach? - złośliwie pytał Halesworth.

- Kiedyś trzeba zacząć.  
 - Jim, dałbym ci referencje, dzięki którym zdobyłbyś lepsze zajęcia.

- No tak, ale... nie chciałem pana niepokoić, kiedy doszło do rodzinnej tragedii.

Jim uważał, że udało mu się wymyślić całkiem dobrą historyjkę, ale teraz z każdym słowem coraz bardziej się pograżał. Zaczynał popadać w śmieszność. Co jednak mógł powiedzieć?

Mark pochylił się nad nim. Dłonie ułożył na poręczy fotela, zamykając Jima w pułapce.

- Jakoś mnie nie przekonałeś, Jim.

- Przysięgam, że mówię prawdę, sir.

Mark jakby nie słyszał tych gorących zapewnień.

- Myślę - kontynuował - że tamtej nocy coś widziałeś, coś tak przerażającego, iż natychmiast uciekłeś z domu i ukryłeś się, żeby nikt cię nie znalazł. Myślę, że widziałeś mordercę lady Fairhaven.

I co teraz? - zastanawiał się Jim. Nie sięgnę wazy, nawet nie wydam się z tego przeklętego fotela! A on do niczego się nie przyznał.

Odetchnął i wyrzucił z siebie prawdę:

- Zgadł pan, milordzie. Zobaczyłem mordercę i uciekłem, ponieważ bałem się, że mógł mnie zauważyć.

- Rozpoznałeś go, Jim?

Chłopak zawahał się, ale spojrzał wyzywająco na Haleswortha i rzekł:

- Chyba tak, chociaż nie jestem pewien. Rozumie pan, moi rodzice nie mają przed sobą długiego życia.

- Twoi rodzice? Co mają do tego twoi rodzice?

- Sądziłem, że skoro rozpoznałem mordercę, chciałby on ufundować im skromną rentę.

- A co byś zrobił, gdyby morderca przystał na twoją propozycję?

- Słyszałem, że młodzi ludzie, którzy nie boją się ciężkiej pracy, mogą znaleźć dla siebie szansę w Ameryce.

- A jak zamierzasz przekazać tę ofertę mordercy?

- Wydaje mi się, że właśnie z nim rozmawiam. Halesworth uniósł z oparcia fotela jedną dłoń i przeciągnął kciukiem po karku chłopaka.

- Dlaczego miałbym ci płacić, skoro z łatwością mógłbym... Nagle od drzwi dobiegł ostry głos:

- Obawiam się, że wybrał pan niewłaściwy dom, sir. Na progu stała Blisse Spencer.

- Jeżeli pragnie pan skorzystać z usług młodego mężczyzny, musi pan pójść gdzie indziej. Fairhaven wyprostował się, a chłopak z ulgą zagłębił się w fotelu.

- Jim, chyba powinienes wrócić do pracy - oznajmiła pracodawczyni.

Młody człowiek nie wiedział, co ma zrobić. Nie chciał zostawiać pani Spencer sam na sam z mordercą. Z drugiej strony - jeśli wydotanie się na zewnątrz, zawiadomi Gideona...

- Dalej, Jim, nie krępuj się - powiedział Halesworth. - Chyba się myliłem. Całkiem dobrze to obmyśliłeś. Musimy to przedyskutować.

- Zgoda, ale nie tutaj - powiedział chłopak i szybko wyszedł z salonu, rozpaczliwie rozglądając się za Naylorem i lordem Ashford.

Blisse Spencer była zaskoczona nieoczekiwanym obrotem sprawy. Jim wydawał się szczerze zainteresowany Nancy. Cóż miało znaczyć jego dzisiejsze zachowanie?

- Mogę dać panu adres odpowiedniego domu, jeśli pan sobie życzy.

- Dziękuję, pani Spencer.

- Pokażę panu drogę do wyjścia.

Byli już prawie przy drzwiach na korytarz, gdy te otwarły się na oścież. Halesworth popisał się znakomitym refleksem. Natychmiast chwycił idącą przed nim kobietę i zasłonił się nią niczym tarczą przed szarżującym inspektorem.

- Drabbie! - wrzasnął.

Tony, który trzymał Drabble'a za kołnierz, odkrzyknął z hallu:

- Obawiam się, lordzie Fairhaven, że pański przyjaciel jest zajęty.

Gideon uniósł dłoń. Trzymał w niej pistolet, który starannie wymierzył w Haleswortha.

- Na twoim miejscu zapomniałbym o tym, Naylor - ostrzegł Mark, zaciskając dłonie na szyi pani Spencer. - Zabiję ją.

Gideon spojrział Blisse w oczy i szorstkim, lodowatym tonem powiedział:

- Proszę bardzo, Fairhaven. Myślisz, że zależy mi na jakiejś starej dziwce?

Blisse Spencer nie dała po sobie poznać, jak bardzo zaboląły ją te słowa. A więc była starą, zużytą dziwką? Wreszcie skojarzyła, że trzymający ją w żelaznym uścisku mężczyzna musi być lordem

Fairhaven, tym samym, przed którym uciekał Jim. Tym, który zabił lady Fairhaven, zaciskając palce na arteriach szyjnych. Czowała, jak kciuki napastnika powoli, lecz nieubłagane przesuwają się ku punktom, gdzie tętniła krew. W następnej chwili uświadomiła sobie, że jeżeli Fairhaven ją zabije, sam również zginie. Bardziej przydawała mu się jako żywa tarcza.

- Ostrzegam, Naylor. Nie ma powodu, by narażać życie tej kobiety.

- Powtórzę jeszcze raz: niech pan robi, co się panu podoba. Najwyżej zamkniemy pana nie za jedno, ale za dwa zabójstwa. Blisse wpadła na pewien pomysł. Nagle całym ciężarem zawiśła na rękach lorda Fairhaven, udając omdlenie. Halesworth dał się zaskoczyć. Dłonie zsunęły się z szyi kobiety i pochwyciły jej ciało, zanim opadło ku podłodze. Wystarczyła sekunda, by Naylor doskoczył do niego i przytknąwszy mu pistolet do czoła, syknął przez zęby:

- Proszę ułożyć ją bardzo delikatnie, mój panie. Blisse nie stawiała oporu. Czowała dziwny bezwład, jakby naprawdę zemdląca.

- Jim!

- Tak, sir?

- Przynies mi jakiś sznur.

- Już pędzę.

Nie minęły dwie, trzy minuty, a Halesworth i Drabbie byli całkowicie unieszkodliwieni.

- Mój Boże - rzekł Anthony Varden, klękając przy Blisse Spencer. - Naprawdę jest pan okrutny dla okrutnych. Mam tylko nadzieję, że jej nie zabił.

- Nie miał na to czasu, mój panie - odparł Gideon. - Wiedziałem, że zdążę. Co najwyżej mógł pozbawić ją przytomności.

- Naprawdę mam nadzieję, że tylko zemdląca - martwił się Tony. Blisse zdecydowała, że może już otworzyć oczy. Usiadła na podłodze, ale kręciło jej się w głowie i ogólnie, ku swemu zaskoczeniu, czowała się bardzo słabo.

- Nawet to mu się nie udało. - Opanowała drżenie ust i wyjaśniła: - Symulowałam, żeby ratować życie.

- Dobrze pani zrobiła - odezwał się Jim.

- A przy okazji uratowała twoją skórę - zauważył Varden. - Chyba byłeś przerażony.

- Odrobinę - przyznał chłopak. - Zwłaszcza gdy do pokoju weszła

pani Spencer.

- Sprowadź dorozkę, Jim - powiedział Naylor, nie spoglądając w kierunku kobiety. - Musimy dostarczyć tych dwóch do sądu przy Bow Street.

Tony pomógł Blisse stanąć na nogach.

- Pani Spencer, ma pani może coś do picia?

Wskazała na karafkę stojącą na stoliku pod ścianą. Tony posadził gospodynię domu na sofie, a potem podał jej szklaneczkę brandy. Drugą wziął sobie.

- Naylor, chcesz też?

- Dziękuję, mój panie, ale na służbie nie piję.

Dzięki rozgrzewającemu działaniu brandy Blisse przestała dygotać i zerknęła na Gideona. Stał obok Fairhavena i wciąż trzymał w dłoni pistolet. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Jakże różnił się od tego Gideona, który tak spokojnie i życzliwie rozmawiał z Jimem i który wziął ją do łóżka po raz pierwszy od pięciu lat. Ten nowy Gideon był całkowicie niedostępny, wręcz odpychający. To nie pistolet dawał mu przewagę nad nimi wszystkimi. To emanująca z niego energia działała tak przytłaczająco. Z pewnością niektóre kobiety uznałyby ją za bardzo atrakcyjną cechę, ale Blisse miała odmienne zdanie. Woląла mężczyzn stwarzających atmosferę zrozumienia i akceptacji, takich jak Gideon, z którym się kochała. Na szczęście za kilka minut wszystko to się skończy i już nigdy nie zobaczy Gideona Naylora. W żadnej z dwóch postaci. Następnym razem dobrze się zastanowi, zanim pozwoli sobie na chwilę słabości.

### ***Rozdział trzydziesty czwarty***

Następnego dnia wieści rozeszły się błyskawicznie i już od samego rana całe miasto mówiło o tym, jak to lord Fairhaven został aresztowany za zamordowanie swej kuzynki, a lord Ashford całkowicie oczyszczony z zarzutów. Jak zwykle znaleźli się ludzie, którzy teraz otwarcie przyznawali, że od samego początku coś im się w tej sprawie nie podobało. Jak refren powtarzały się głosy: „Zawsze mówiłem, że Mark Halesworth to żmija w ludzkiej skórze.” Albo: „Tony Varden może jest hazardzistą, ale nigdy nie wyglądał mi na mordercę.”

Joanna i Tony mieli wrażenie, że obudzili się w zupełnie innym



świecie, tak nagle zmiana zaszła w ludziach. Dziewczyna była rozradowana, lecz jednocześnie odczuwała dziwną, dokuczliwą pustkę. Miała okazję zademonstrować Tony'emu swą lojalność, pokazać, jak silne są jej uczucia. Teraz wszystko wróci do normy. Jakaś jej częśćka żałowała, że Tony nie jest już w niebezpieczeństwie. Wszelkie nadzieje, że kryzys zbliży ich do siebie, wypaliły się na popiół.

Na ten wieczór włożyła jedną z najpiękniejszych nowych sukni. Zanim na balu zjawił się Tony, jej karnet był już wypełniony prawie po brzegi. W zasadzie został tylko jeden wolny taniec, i to taki, który tańczyli oddaleni od siebie. Vardena otaczali sami życzliwi ludzie. Ci, którzy jeszcze niedawno unikali go i odwracali się doń plecami, obecnie prześcigali się w składaniu gratulacji.

Hipokryzja wyższych sfer zdumiewała Joannę. Jeszcze kilka dni temu kobiety zabraniały córkom tańczyć z lordem Ashford, a teraz same ciągnęły je do niego, licząc, że zostaną zauważone. Joanna cynicznie pomyślała, że ta popularność również nie potrwa długo. Za tydzień te same matki będą pamiętały tylko o tym, że Anthony Varden jest bankrutem.

Ku swemu zaskoczeniu Tony wcale nie był zachwycony tak miłym przyjęciem. Cały wieczór chodził z przyklejonym do twarzy uśmiechem i w odpowiedzi na gratulacje wygłaszał grzecznościowe uwagi. Wszyscy mówili tylko o aresztowaniu lorda Fairhaven, nikt nie pamiętał o Claudii. Tony tęsknił za nią, ale równocześnie zdał sobie sprawę, że gdyby jakimś cudem została przywrócona do życia, zerwałby zaręczyny. Pal licha Ashford! Claudia zrozumiałaby, że wydarzenia ostatnich dni radykalnie zmieniły jego nastawienie. Ciągnęło go na St. James Street, ale nie mógł i nie chciał grać w karty. Wiedział, że nadszedł czas powrotu do domu i kontynuacji działań Neda. Claudia zrozumiałaby jego decyzję, jak również i to, że nagle, nieoczekiwanie dla samego siebie zainteresował się Joanną Barrand.

Nazajutrz Claudia gościła w jego myślach jeszcze dłużej. Został wezwany na odczytanie testamentu. Nastąpiło to w bibliotece jej londyńskiego domu, gdzie ze ściany spoglądał nań stary lord Fairhaven. Jego wzrok zdawał się mówić: „Była naiwna i głupiotka, ale kochałem ją za jej gorące serce i szczerą duszę. Teraz znowu

jest ze mną, Ashford, więc możesz sobie wziąć te pieniądze. Niech ci służą.”

Tony był przekonany, że dostanie jakąś skromną sumę. Kiedy się dowiedział, że przypadła mu większość ogromnej fortuny, przez dłuższą chwilę nie mógł dojść do siebie.

- Dziękuję, przyjaciółko - wyszeptał. Mógł przysiąc, że słyszał jej odpowiedź:

- Zawsze w ciebie wierzyłam. Tony.

Nie zawiodę cię, Claudio - przyrzekł w duchu.

Dopiero gdy włókł się powoli do domu, z całą mocą dotarło do niego, że nareszcie jest wolny. Ashford było bezpieczne. Będzie mógł zatrudnić kompetentnego zarządcę i ponownie wstąpić do armii, gdzie czeka go męskie życie pełne emocji, które oddały ponure myśli.

Inaczej wyobrażał sobie taką wolność na początku sezonu balowego. Coś się zmieniło, coś w nim samym. Nigdy nie będzie podobny do Neda, ale też nigdy nie będzie już tak beztroski i naiwny jak dawniej. Przerażała go skala obowiązków, które był zmuszony na siebie przyjąć, lecz teraz odczuwał coś jeszcze - dreszczyk podniecenia. Tego samego doznawał kładąc monety na stole i czekając, aż krupierzy rozłożą karty. Czysty hazard. Tylko że teraz nie było to kolejne rozdanie w czerwone i czarne;

teraz była to jego prywatna rozgrywka, w której stawiał przeciw całemu światu wszystko, co posiadał - majątek i dobre imię.

Zamyślony dotarł na Berkeley Square i nagle zdał sobie sprawę, że od domu Barrandów dzieli go tylko kilkadziesiąt metrów. Przyśpieszył kroku i wkrótce znalazł się na schodach prowadzących do drzwi frontowych. Bardzo chciał podzielić się nowinami z Joanną.

- Lady Joanna wybiera się na poranną przejażdżkę. Właśnie się ubiera - poinformował go lokaj. - Jeśli zechce pan zaczekać, może za kilka minut będzie mogła do pana zejść.

Tony skorzystał z tej możliwości. Chodził z kąta w kąt, kiedy otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Joanna. Świetnie się prezentowała w swym nowym kostiumie jeździeckim.

- Ślicznie wyglądasz, Joanno. Do twarzy ci w zielonym.

- Dziękuję, Tony. Stało się coś ważnego? Mam tylko kilka minut. Zaraz przyjedzie po mnie lord Oakford z siostrą.

Tony drgnął, jakby poczuł nieprzyjemne uklucie. Lord Oakford był wdowcem i w ciągu ostatnich kilku tygodni kręcił się koło młodej lady Barrand. Jego intencje stawały się coraz jaśniejsze. Varden był ciekaw, jaki jest stosunek Joanny do tego człowieka.

- Mam wieści, Jo, dość nieoczekiwane. Claudia zostawiła mi bardzo dużo pieniędzy. Wszystko wskazuje na to, że Ashford jest uratowane.

Dziewczyna impulsywnie pochwyciła dłonie Vardena i uściśniła je.

- Tak się cieszę. Tony, tak się cieszę. Musiała cię bardzo kochać.

Varden szarpnął ręce. Kiedy zaskoczona spojrzała mu w twarz, dostrzegła w jego oczach łzy. Zaraz potem odwrócił się do niej plecami, osuszając dłońmi policzki.

Musiałeś kochać ją bardziej, niż sądziłeś lub chciałeś to przyznać - pomyślała Joanna. Nagle poczuła się znużona. Poddała się.

Tony odchrząknął i powiedział:

- Kochała mnie, owszem, ale przede wszystkim we mnie wierzyła. I tym jestem najmocniej wzruszony. Wiedziałem, że zdobyłem jej serce, jednak obawiałem się, że po moich wyczynach straciła do mnie zaufanie. Dałem jej ku temu poważne powody. - Zwrócił się twarzą do Joanny i przywołał na usta niepewny uśmiech. - Chciałem, abyś była pierwszą osobą, która się dowie o jej zapisie. Zanim udławią się tym plotkarze.

- Masz wielkie szczęście, że Mark Halesworth został już aresztowany!

- Mój Boże, nie pomyślałem o tym! Gdyby odczytano testament choćby dwa dni wcześniej, wróciłbym do Newgate!

- Mam wrażenie, że Gideon Naylor maczał w tym palce - zauważyła dziewczyna.

- Naylor?

- Poszedł za wskazówką Fairhavena i rozmawiał z adwokatem na temat ostatniej woli Claudii. Prosił, aby nie ujawniano treści dokumentu, dopóki nie pojawią się w śledztwie jakieś nowe fakty.

- Nie zrobiłby tego, gdybyś nie przekonała go o mojej niewinności. Jesteś jeszcze jedną kobietą, na której zaufanie zupełnie nie zasłużyłem - rzekł prawie niesłyszalnym głosem.

Joanna nie chciała jego wdzięczności.

- Co zamierzasz. Tony? - zapytała szybko, zmieniając temat.

- Znajdziesz zarządcę majątku, a sam zaciągniesz się do swego dawnego regimentu?

- Znasz mnie jak nikt inny, Jo.

Teraz to już koniec. Miała jeszcze nadzieję, że ta wiosna go odmieniła, ale nic takiego się nie stało. To koniec!

- W pierwszej chwili właśnie o tym pomyślałem - przyznał otwarcie.

Wodził palcem po seledynowym wazoniku ustawionym nad kominkiem. Poblask rzucający przez porcelanę przypominał zieleń oczu Joanny. Miał ochotę zbadać z bliska, czy obydwaj odcienie rzeczywiście są do siebie podobne. Gdyby zrealizował to pragnienie tu i teraz - co odbijałoby się w przepastnej głębi tych oczu? Stary przyjaciel z dzieciństwa? A może ktoś zupełnie nowy? Odmieniony? Nie miał odwagi sprawdzić.

- Pomyślałem o tym - mówił dalej - ale chyba zmieniłem się na tyle, że nic z tych planów nie wyjdzie. - Uśmiechnął się czarująco. - Nigdy nie będę taki jak Ned lub ojciec, ale zamierzam wywiązywać się z obowiązków hrabiego najlepiej, jak potrafię. Poza tym jest jeszcze jeden miły akcent. Znowu będziemy sąsiadami.

Ktoś zapukał do drzwi.

- To na pewno lord Oakford - powiedziała szybko. - Nie mogę kazać mu czekać. Tony. Cieszę się, że wracasz na stałe do Ashford. Może kiedyś wybierzemy się na przejażdżkę jak dawniej. - Na progu jeszcze odwróciła się i dodała: - Ale to dopiero na jesieni. Lato zamierzam spędzić u ciotki w Cumbrii.

A więc to tak... Dzięki Bogu, nie zrobił z siebie głupca, zaglądając jej w oczy niczym jakiś natchniony idiota. Nie zastanawiając się, zepchnął wazonik z półki nad kominkiem. Rozległ się trzask tak głośny, że do pokoju wpadł lokaj.

- Wyśliznął mi się z rąk, Williamie. Proszę powiedzieć lady Barrant, że wynagrodzę jej stratę.

Znalazłszy się w domu, natychmiast wydał kamerdynerowi polecenie, by pakował *rzeczy*.

- Jedziemy do Ashford, John. Nie pójdę do teatru i więcej nie pokażę się na żadnym przyjęciu.

- Tak, mój panie.

- Nie będzie mnie przez cały dzień i większą część wieczora. Wyjeżdżamy jutro z samego rana.

- Tak, sir.

Przez cały dzień załatwiał w mieście swoje sprawy. Po południu odwiedził adwokata Claudii i poprosił go o zajęcie się spłatą długów.

- Reresby, potrac ze spadku tyle, ile będzie konieczne, żeby spłacić wszystkich moich wierzycieli. Resztę prześlij do Ashford.

- Proszę się nie martwić, milordzie. Odliczenie, jeśli wolno mi zauważyć, będzie raczej niewielkie.

- Nie chcę brać tych pieniędzy. Może za rok, kiedy posiadłość będzie w lepszym stanie, pomyślę o jakichś inwestycjach.

- Miło mi to słyszeć. Cieszę się, że zaufanie, jakim obdarzyła pana lady Fairhaven, było uzasadnione. Varden uśmiechnął się z goryczą.

- Jestem pewien, Reresby, że odetchnąłeś z ulgą. Trudno mi sobie wyobrazić, by ucieszyły cię zmiany poczynione w testamencie przez Claudię.

- *W rzeczy samej*, lordzie Ashford - przyznał stary prawnik.

- Wolałbym tylko, żebyś przekonał się o słuszności jej postępowania w innych okolicznościach.

- Trudno. Nigdy nie lubiłem lorda Fairhaven. To chciwy, przebiegły człowiek. Przez wiele lat sądził, że przypadnie mu cała fortuna Justina.

Tony podniósł się i chciał ruszyć do wyjścia, ale przypomniał sobie o czymś.

- Jest jeszcze jedna sprawa. Chciałbym obdarować Gideona Naylora z sądu przy Bow Street i ustanowić jakieś skromne odszkodowanie dla Jima Rooke'a. Bez ich pomocy Mark Halesworth nigdy nie zostałby ujęty. Lady Fairhaven chyba nie miałaby nic przeciwko temu.

Reresby uśmiechnął się.

- Z całą pewnością, mój panie. Z całą pewnością.

### ***Rozdział trzydziesty piąty***

Anthony Varden chciał przed wyjazdem osobiście podziękować Naylorowi, toteż z samego rana udał się na Bow Street. W sądzie dowiedział się, że może znaleźć inspektora za rogiem, w tawernie „Pod Głową Garricka”.

Gideon siedział przy swym ulubionym stoliku i zjadał ulubione śniadanie. Zdziwił się, zobaczywszy w drzwiach gospody Vardena.

Bob dojrzał jego uniesione brwi, a potem zerknął w kierunku wejścia.

- Ktoś znajomy, Gideonie?

- Można tak powiedzieć. Anthony Varden, lord Ashford.

- Facet, którego wyciągnąłeś z kłopotów. Pewnie to ciebie szuka. -

Bob podniósł do góry rękę i zawołał: - Tutaj, mój panie, tutaj!

Tony niepewnie uśmiechnął się do aktora, ale zobaczył inspektora i zbliżył się do stolika.

- Wszyscy słyszeliśmy pańską historię, milordzie - towarzysko zagał Bob. - Proszę się do nas przysiąść.

- Gideon, przyszedłem ci podziękować.

- Nie trzeba, sir. Wykonywałem tylko swoją pracę.

- Zrobiłeś więcej, niż do ciebie należało. Wracam właśnie od adwokata lady Fairhaven.

- Ostatnia wola została odczytana?

- Owszem. Wiem, że to dzięki tobie nie zrobiono tego wcześniej.

W przeciwnym razie sędziowie nie zwolniliby mnie z braku motywu!

- No cóż, miałem pewne wątpliwości co do pańskiej winy, lordzie Ashford. A nawet gdybym ich nie miał, lady Joanna przekonałaby mnie, że jest pan niewinny.

- Ach, tak. Lady Joanna, Jo... - rzekł Tony z dramatycznym westchnieniem. - Moja najdroższa przyjaciółka.

- Coś mi się wydaje, że przydałby się panu kufelek piwa - stwierdził domyślnie Bob, przywołując kelnerkę. - Zupełnie jak Gideonowi.

- Tak?

- Obaj jesteście dziś w melancholijnym nastroju. I mogę się założyć, że wszystkiemu winne są kobiety. Tony przyjrzał się Naylorowi i uśmiechnął się.

- Przyznam się, ale ty pierwszy.

- Po kilku piwach Bob staje się zanadto gadatliwy. - Gideon pociągnął duży łyk z kufła. Z racji wykonywanego zawodu na ogół starał się uważać, by nie przesadzić z alkoholem, ale teraz było mu wszystko jedno.

- Kto to jest, Gideonie?

Naylor spojrział na Vardena i z bólem serca wyznał:

- Blisse Spencer.

- Pani Spencer?! Ta sama pani Spencer, którą nazwałeś starą dziwką i prawie namawiałeś Fairhavena, żeby ją zabił?

- A jaki miałem wybór? Nie mogłem dać po sobie poznać, że mi na niej zależy. Tony zastanowił się.

- Masz rację - powiedział. - Nie mogłeś postąpić inaczej. Tylko że byłeś taki... taki beznamiętny, zimny...

- Jak każdy, kto pracuje w tym zawodzie, mój panie.

- Rozumiem, ale zaskoczyłeś mnie. Takim cię nie znałem. Zresztą pani Spencer również musiała być zaskoczona.

- W takim razie mogła osobiście się przekonać, jak wygląda życie inspektora śledczego - zauważył gorzko Gideon.

- Byłeś u niej, żeby wytłumaczyć swoje zachowanie?

- Nie. I nie wrócę tam, sir.

- Moim zdaniem powinieneś, Gideonie. Mogę zwracać się do ciebie po imieniu? Ty również mów do mnie Tony. Za wiele razem przeszliśmy, żeby zachowywać się tak ceremonialnie.

Piwo zaczęło już działać i obaj znajdowali się w dobrodusznym nastroju, charakterystycznym dla początkowego stadium upojenia alkoholowego.

- Uważam - kontynuował Tony - że obaj powinniśmy tam dzisiaj pójść.

Wypili jeszcze po dwa kufle piwa i zgodzili się, że to doskonały pomysł.

Wzięli dorożkę i pojechali do domu pani Spencer. Ku ich zdumieniu drzwi otworzył Jim.

- Chłopcze, co ty tu jeszcze robisz? - zapytał Gideon. - Jesteś już bezpieczny. Możesz pracować jako urzędnik.

- Wszystko się pomieszało, panie Naylor. - Jim uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Nie jestem pewien, co chciałbym robić, więc zdecydowałem się zostać tutaj na tydzień, może dwa.

Tony ucieszył się, że nie zapomniał wynagrodzić Jima. Mając niewielki, ale stały przychód, chłopak łatwiej będzie mógł znaleźć swoją drogę w życiu. Pani Spencer powinna być mu wdzięczna, bo z całą pewnością przyczynił się do podniesienia poziomu świadczonych przez nią usług.

- Jim, czy zastaliśmy panią Spencer? - zapytał Tony, ponieważ obawiał się, że Gideonowi nie przeszłoby to przez usta.

- Tak, mój panie. Proszę poczekać w salonie. Zaraz ją zawołam.

Gideon nie czuł się dobrze w tym pokoju. Przywoływał wspomnienie Marka Haleswortha zaciskającego dłońe na szyi Blisse - wspomnienie tych kilku strasznych minut, których nie zapomni już do końca życia.

Pani Spencer weszła do salonu ubrana w ciemnoniebieską atlasową suknię, doskonale podkreślającą jej krągłe kształty. Zobaczywszy Tony'ego, pozdrowiła go szczerym, promiennym uśmiechem. Gideona całkowicie zignorowała.

- Jestem zaskoczona, że pana tutaj widzę, lordzie Ashford. Może podać brandy?

Varden roześmiał się.

- Nie, dziękuję. Chyba wypilem już za dużo jak na jeden dzień. My również byliśmy zaskoczeni, widząc Jima przy drzwiach.

- Jim twierdzi, że rozgląda się za nową pracą. Ja natomiast mam wrażenie, że zadurzył się w Nancy, jednej z moich panienek. Czy przyszedł pan w jakimś konkretnym celu?

- Och, nie... Pomyślałem, że złożymy kurtuazyjną wizytę, nic więcej. Chcieliśmy tylko sprawdzić, czy doszła pani do siebie po wydarzeniach tamtego wieczora.

- Czuję się dość dobrze, lordzie Ashford - stwierdziła chłodno.

- Dziękuję za zainteresowanie.

- Może jednak skorzystałbym, ehmm, z damskiego towarzystwa

- powiedział Tony.

Gideon posłał mu pytające spojrzenie.

- Sądziłem, że weszliśmy tylko na chwilę. Varden machnął ręką, udając poirytowanie.

- Zostań, jak długo chcesz, Gideonie. Raz się żyje. Blisse Spencer kazała Jimowi zawołać Carrie.

- Zdążył pan ją poznać, lordzie Ashford; Jest jedną z moich najbardziej wyrafinowanych dziewcząt.

- Dziękuję, pani Spencer. Gideonie, zobaczymy się za kilka godzin - rzucił od progu Varden i zniknął w korytarzu.

Blisse i Gideon zostali sami. Wpatrywali się w siebie bez słowa. Naylor musiał zauważyć, że nie jest mile widziany. Ze spojrzenia, układu warg, z postawy Blisse emanowała niechęć. Nie mógł odnaleźć ani śladu czułości.

- Czy pan, panie Naylor, również szuka damskiego towarzystwa? - zapytała rzeczowym tonem.



- Nie. To znaczy... tak. Ale nie chodziło mi o żadną z dziewcząt - szybko wytłumaczył, widząc, że pani Spencer rusza w stronę drzwi. - Miałem nadzieję, że będę mógł spędzić trochę czasu z tobą, Blisse.

- Nie przyjmuję klientów, panie Naylor. Tylko raz odstąpiłam od tej reguły i gorzko tego pożałowałam.

- Miałem na myśli rozmowę, nie ponadto. Możemy zostać tutaj, jeśli takie rozwiązanie ci odpowiada.

- Panie Naylor, mogę panu dać zaledwie kilka minut - rzekła wyniośle, siadając na brzegu sofy.

Gideon był zbyt zdenerwowany, by usiąść. Podeszedł do stolika i unióśł z niego chińską wazę.

- Jim miał ją zrzucić, aby wezwać nas na pomoc.

Blisse się oburzyła.

- Zrzucić moją wazę z dynastii Ming! To pamiątka z... dawnych czasów.

- Gdyby Jim mógł dać ten sygnał, dostałbym się do salonu przed tobą i oszczędził ci tych strasznych chwil.

- Wcale nie były takie straszne i całkiem nieźle radziłam sobie sama, panie Naylor.

- W takim razie jesteś twardsza ode mnie, Blisse - podsumował Gideon zbliżając się do niej. - To były dwie najgorsze minuty w moim życiu.

- Nie wierzę, aby śmierć jakiejś starej dziwki mogła pana poruszyć, panie Naylor - powiedziała z sarkazmem.

- Przykro mi, że musiałem to powiedzieć. Nie miałem wyboru. Gdybym dał po sobie poznać, co naprawdę czuję, zrobiłby z ciebie zakładniczkę. Musiał myśleć, że w żaden sposób mnie nie powstrzyma. Musiał myśleć, że jeśli cię zabije, dopadnę go.

Wyraz twarzy pani Spencer nie złagodniał.

- W takim razie zrobiłeś, co do ciebie należało - stwierdziła. - Poza tym powiedziałeś prawdę i tylko prawdę. Jestem starą dziwką. - Uśmiechnęła się smutno. - Przyjmuję pańskie przeprosiny, panie Naylor. A teraz muszę wracać do pracy.

Chciała wstać, ale Gideon stanął za nią i delikatnie położył dłonie na jej ramionach.

- Może mi nie wybaczysz, ale, proszę, przynajmniej uwierz mi. Kiedy powiedziałem Halesworthowi, że zupełnie mi na tobie nie zależy, kłamałem. Zależy mi na tobie, Blisse, bardzo mi zależy.

Zobaczyłaś mnie takim, jakim nigdy nie powinnaś mnie widzieć. Doskonale rozumiem, dlaczego kobiety nie chcą zadawać się z ludźmi pracującymi w takim zawodzie jak mój. Chcę ci powiedzieć, że myślę o tobie jako o kobiecie godnej podziwu i pożądania. - Zdjął dłonie z jej barków. - Powiedz lordowi Ashford, że zaczekam na niego w pubie po drugiej stronie ulicy.

Blisse wstała i podeszła do drzwi. Gideon miał wrażenie, że pęka mu serce. To koniec. Definitywny. Ale Blisse zatrzymała się i obejrzała. Usłyszał jej głos:

- Nie musisz iść do pubu, Gideonie. Stara dziwka będzie zaszczycona, jeśli inspektor śledczy zostanie jej specjalnym... przyjacielem.

W następnej chwili Gideon był już przy niej.

- Mówisz serio? To ciężkie życie, Blisse. Czasem będę zmuszony nie dotrzymywać obietnic. W zasadzie tylko to jedno mogę ci przyrzec.

- Moje życie też nie należy do łatwych, Gideonie. Chyba jednak zgodzisz się ze mną, że mimo wszystko możemy sobie nawzajem dać odrobinę ciepła?

Naylor wziął jej głowę w dłonie.

- Dzięki Bogu, jesteś twardą kobietą i tak opanowaną, że udałoś omdlenie i osunęłaś się w ramionach Fairhavena. Gdybym musiał, puściłbym go wolno, skarbie. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Pochylił się i ucałował jej gorące usta, głaszcząc szyję w miejscu, gdzie wyczuwał tak drogie mu tętno.

### ***Rozdział trzydziesty szósty***

Tony nie był z kobietą od chwili powrotu z kontynentu. Gra w czerwone i czarne skutecznie zastępowała mu cielesne rozkosze. Z łatwością unikał pokus na przyjęciach i nawet nie spojrzał na damy do towarzystwa, które spotykał w domach gry. Godzina z Carrie w cudowny sposób uwolniła go od poczucia winy wobec Claudii. Podziękował dziewczynie, szczerze ją wynagrodził i obiecał, że jeśli nie wyjedzie w najbliższych dniach do Ashford, na pewno wróci, żeby się z nią spotkać.

Na dole Jim poinformował go, że pani Spencer wciąż jest zajęta. Varden uśmiechnął się i wymknął na zewnątrz. Chłopak wyszedł za

nim i nieśmiało wyciągając dłoń, powiedział:

- Cieszę się, że mogłem panu pomóc, lordzie Ashford. Tony uścisnął jego rękę.

- Jestem twoim dłużnikiem, Jim. Wprawdzie miał ci powiedzieć o tym Reresby, ale... co tam, dowiesz się trochę wcześniej. Postanowiłem przekazać ci drobną sumę z pieniędzy, które zostawiła mi lady Fairhaven. Wiem, że pochwaliłaby ten krok. Jeśli wrócisz do poprzedniej pracy, pieniądze te zasilą twoją urzędniczą pensję. Będziesz miał środki na utrzymanie rodziny, jeżeli zechcesz się ożenić.

Jim zaniemówił. Kiedy odzyskał zdolność wysławiania się, zasypał Vardena podziękowaniami.

- Zawsze chciałem uruchomić własny interes - wyznał. - Zostałem urzędnikiem, bo nie chciałem zawieść rodziców.

- W takim razie życzę powodzenia, Jim. Cieszę się, iż mogę pomóc urzeczywistnić te marzenia.

Następnego dnia wyruszył do Ashford jeszcze przed południem. Na miejsce przyjechał tuż po północy i poszedł prosto do łóżka. Spał do późnych godzin rannych, a kiedy otworzył oczy, kręciło mu się w głowie i szumiało w uszach. Wstając, uderzył się o nocną szafkę i przeklął Johna za poprzestawianie mebli, zanim uświadomił sobie, że nie jest już w domu przy Clarges Street. Prawdopodobnie jakaś częśćka jego duszy pragnęła pozostać w Londynie i spać do późna po nocnych ekscesach przy zielonym stoliku. Wciąż przerażała go wizja przejęcia obowiązków po Nedzie. Narzucił szlafrok i podszedł do okna. Dojrzał starego ogrodnika przycinającego róże. Tuż za nim powoli posuwała się pokojówka, zbierając do koszyka ścięte kwiaty. Matka zawsze dbała o to, by w hallu stał świeży bukiet. Kochała róże. Nie było jej w Ashford. Przebywała u siostry, ale przyjęła zaproszenie powrotu do rodzinnej posiadłości i spodziewał się jej przyjazdu lada dzień. Miał nadzieję, że pisała w liście prawdę. Miał też nadzieję, iż wybaczyła mu wyjazd do Londynu, ucieczkę od odpowiedzialności, tę osobistą dezercję, oraz to, że nie był Nedom.

Teraz przynajmniej będzie mógł uczyńić Ashford na powrót takim, jakie było przed laty. To powinno zjednać mu sympatię matki, sąsiadów i dzierżawców. Tylko że do sukcesu prowadziła długa, wyboista droga, na której czekało mnóstwo pracy. I wciąż męczyła

go niepewność, czy podola obowiązkom i dorówna starszemu bratu.

W ciągu następnych tygodni Tony był tak zajęty, że nie miał czasu na rozważania, czy dorównuje ideałowi, jakim był dla niego Ned. Zarządcę majątku, starego Buxtona, wysłał na emeryturę i zaczął się rozglądać za kimś na jego miejsce. Wyczuł, że

posunięcie to wzbudziło niechęć matki i dzierżawców, a niechęć przemieniła się w otwartą antypatię, gdy zatrudnił na stanowisku zarządcy Willa Farre'a. Spodziewał się takiej reakcji, ale chciał zaprowadzić w Ashford własne porządki, działać według własnego stylu, a ze starym zarządcą byłoby to niemożliwe. Will Farre dawał mu tę szansę. Był weteranem wojny w Hiszpanii, inwalidą, ponieważ na polu walki stracił ramię. Po powrocie do kraju szukał pracy i zjawił się w Ashford z listem polecającym od byłego dowódcy Vardena. Tony zatrudnił go niemal bez chwili zastanowienia. Nie wątpił w wysokie kwalifikacje Willa. Jego ojciec zarządzał dużą posiadłością w Northumberland i przed wstąpieniem do armii przyszły porucznik Farre asystował przy wszystkich pracach.

- Obaj zaczynamy tu od zera - powiedział Tony, napełniając dwa kieliszki krwistoczerwoną maderą.

- Obiecuję, że nie zawiedzie się pan na mnie.

Porucznik Farre nie spodziewał się, że znajdzie tutaj pracę. Od powrotu z wojny był w wielu majątkach ziemskich i zawsze odprowadzono go z kwitkiem. Miał już udać się do domu, gdy pułkownik Bain powiedział mu o Ashford.

Teraz upił kilka drobnych łyków wina i wreszcie poczuł się odprężony.

- Nie sądziłem, że kiedyś będę Francuzom za cokolwiek wdzięczny - rzekł uśmiechając się od ucha do ucha. - Piję ich zdrowie, bo odebrali mi prawe ramię. Nie wiedzieli, że jestem leworęczny!

Farre był starszy od Tony'ego zaledwie o kilka lat. Wniósł ze sobą nie tylko nowe idee i pomysły, lecz również entuzjazm i niespożytą energię. Obaj spędzili wiele godzin, objeżdżając konno całą posiadłość, wizytując każdego dzierżawcę i obmyślając sposoby przywrócenia Ashford świetności, czyli wyglądu z okresu, gdy Tony był dzieckiem.

Varden wracał do domu kompletnie wyczerpany. W milczeniu polykał kolację i zwał się do łóżka, ale był szczęśliwy jak nigdy

dotąd. Odkrył, że towarzystwo Farre'a, zapoznawanie się z nowymi metodami uprawy i hodowli, podejmowanie decyzji, jakie rośliny zasadzić na północnym polu - zaczynają dawać mu tyle satysfakcji, co obmyślanie strategii przed kolejną potyczką z Francuzami. Służący i dzierżawcy zaczęli mu ufać. Pozdrawiali go coraz cieplej. Uświadomił sobie, że ci prości ludzie potrafili być równie dobrymi towarzyszami, jak jego koledzy z armii.

Lato szybko mijało i Varden powoli przyzwyczajał się do nowego życia. Był szczęśliwy, ale dokuczała mu samotność. Matka zawsze wolała Neda i nigdy nie pogodziła się z jego śmiercią. Zupełnie nie interesowała się stanem rodzinnego majątku i nie dbała o to, jak Tony sprawdza się w roli hrabiego. Zmieniła się, postarzała. Trudno nawiązywało się z nią kontakt. Najczęściej zaszywała się w swoim pokoju.

Jedyną osobą, z którą mógł porozmawiać, był Farre, ale ten potrafił tylko opowiadać o nowoczesnych poglądach na płodozmian albo o tym, czy warto inwestować w linie kolejowe.

Tony tęsknił za bratem. I Joanną. Mimo że zaprzyjaźnił się z Willem Farre'em, wciąż istniała pomiędzy nimi niewidzialna, nieprzekraczalna granica: Tony był hrabią. Will jego pracownikiem.

Pragnął mieć przy sobie kogoś, kto dbałby o niego, znał jego problemy, docenił starania. Pragnął mieć przy sobie dawną przyjaciółkę. Nie, kogoś bliższego, znacznie bliższego. Często śniła mu się po nocach i widział wówczas szalenie atrakcyjną i zmysłową kobietę, a nie starą, dobrą Jo. Rankiem budził się rozpalony pożądaniem, pragnąc jedynie ponownie zanurzyć się w sen, gdzie mógłby czuć słodycz jej pocałunków, dotykać jej gładkiej skóry i posiąść ją, otworzyć przed nią bramy do rajskiego spełnienia.

Zawstydzalo go, że pogrązał się w takich fantazjach. Gdyby Joanna była nim zainteresowana, gdyby widziała w nim kogoś więcej niż starego przyjaciela, dałaby mu jakiś znak. Na pewno nie wyjechałaby na całe lato do Cumbrii!

### ***Rozdział trzydziesty siódmy***

Joanna wróciła z Keswick w połowie sierpnia, tuż przed żniwami. Wizyta u matki chrzestnej okazała się właśnie tym, czego jej było trzeba po wydarzeniach ostatniej wiosny. Wstawała wcześniej rano i

cały dzień chodziła po wrzosowiskach. Wieczorem, gdy kładła się do łóżka, nie czuła nóg, ale psychicznie była odprężona.

Matka chrzestna, zrównoważona, sympatyczna kobieta, towarzyszyła Joannie podczas krótszych spacerów i korzystając z okazji, przedstawiała ją sąsiadom. Namówiła dziewczynę na kilka proszonych kolacji i potańcówek, ale poza tym pozwalała jej cieszyć się ciszą i spokojem, tak kojącym po szalonej aktywności wiosennego sezonu balowego. Pod koniec sześciotygodniowego pobytu Joanna potrafiła się uśmiechnąć i powiedzieć sobie, że myśli o Vardenie tylko raz dziennie. I była zdecydowana dalej umacniać siłę woli.

Kiedy przyjechała do domu, było już bardzo późno. Podróż okazała się tak męcząca, że od razu położyła się do łóżka i nawet nie przywitała się z rodzicami. Rano zastała ich przy śniadaniu.

- Dobrze, że znowu jesteś z nam, kochanie - powiedziała lady Barrant, kiedy córka pochyliła się, aby ucałować ją w policzek.

Lord Barrant uśmiechnął się szeroko i zauważył, że Joanna wygląda bardzo zdrowo. Dziewczyna roześmiała się.

- Tylko nie bierz mnie na komplementy, ojcze. Wiem, wiem, jestem czarna jak jagoda. Dziwię się, że jeszcze mam na nosie skórę, tak często mi schodziła.

- Tony jest tak samo opalony, skarbie - zauważyła matka.

- W zasadzie wygląda jak wtedy, gdy wrócił z Hiszpanii.

Niech to szlag! - pomyślała Joanna. Jestem tu od paru godzin, a już musieli mi o nim przypomnieć!

Niczego nie dała po sobie poznać. Uśmiechnęła się i mruknęła:

- Naprawdę?

Na jej nieszczęście rodzice mieli ochotę snuć dalej wątek.

- Żebyś ty widziała, jak rzucił się do pracy - stwierdził ojciec.

- Jest godzien podziwu. Zatrudnił nowego zarządcę, ale pracują obaj, ramię w ramię, jakby byli wspólnikami.

- Dzierżawcy już się do niego przekonali - wtórowała mu lady Barrant. - Z początku byli nastawieni niechętnie, wiesz, z racji tej jego przeszłości, ale pokazał im, że można na nim polegać.

- Najwyraźniej wydarzenia tej wiosny czegoś go nauczyły - stwierdziła Joanna, starając się mówić beznamiętnym tonem.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby na jesieni lub wiosną wybrał się do Londynu w poszukiwaniu żony. Jak myślisz, kochanie? - spytał

małżonkę.

- Jestem całkowicie pewna, Thomasie, że Tony wywiąże się ze wszystkich obowiązków hrabiego.

Joanna z trudem zachowywała obojętny wyraz twarzy. Postanowiła nie myśleć o Vardenie częściej niż raz dziennie i dotrzyma tego przyrzeczenia. Szybko zjadła śniadanie i zapewniając, że wypoczęła po podróży, poszła się przebrać w strój do jazdy konnej.

- Może trochę przesadziłeś, Thomasie? - zatroskała się lady Barrand.

- Skądże! Ktoś musi im przemówić do rozsądku. Teraz, gdy Tony się zmienił, czy można wymarzyć sobie lepsze rozwiązanie niż wyswatanie tych dwojga i połączenie obu posiadłości?

- Joanna bardzo się stara ukryć uczucia, ale doskonale wiem, że wzdycha do Tony'ego. Ale Tony?

- Co Tony? Są dobrymi przyjaciółmi. Przecież chciał poślubić Claudię, właśnie dlatego, że była jego przyjaciółką. Czemu więc nie miałby poślubić Joanny?

- Joanna może chcieć czegoś więcej niż przyjaźni, kochanie.

- Przyjaźń to równie dobra podstawa małżeństwa jak każda inna - stwierdził stanowczo lord Barrand.

Podczas przejażdżki Joanna starała się koncentrować na pięknie otaczającej ją przyrody. Na polach złociły się łany zbóż, falujące na wietrze niczym powierzchnia suchego morza. Widziała również zielone zagony kukurydzy i przechadzających się wśród nich farmerów.

Kiedy dotarła do granicy między posiadłościami Barrandów i Ashford, zsiadła z klaczy i kryjąc się w rzucanym przez nią cieniu, poprowadziła ją wąską ścieżką. Sierpniowe słońce tak przypiekało, że jeszcze przed południem robiło się gorąco jak w piecu.

Po kilku minutach dotarła do drzewa, które na zawsze miało pozostać w jej pamięci po pechowej zabawie w rycerzy Okrągłego Stołu. Oparła się o szorstki pień i zamknęła oczy. Miała wrażenie, że upływający czas niczego nie zmienił. Zupełnie jak wówczas czuła się złapana w pułapkę. Tym razem nie krępował jej sznur, lecz więzy miłości. Czy takie było jej przeznaczenie? Już na zawsze miała miotać się, krzyczeć i wylewać łzy, czekając, aż Tony przybędzie jej na ratunek? A jeśli ożeni się z inną? Czy i wtedy dalej będzie na niego czekać? Była żałosna. Odepchnęła się od pnia i ze złości

kopnęła kępę trawy. Chciała, żeby Tony stał teraz przed nią. Nie musiałaby się wyżywać na niewinnej trawie - jak dawniej skopałaby go po kostkach albo uderzyła w bardziej wrażliwą część ciała. Niech go szlag trafi! Dlaczego on ciągle jej nie dostrzega? I dlaczego ona nie może przestać go kochać?

Tony słyszał o powrocie Joanny. Odczekał jeden dzień i wybrał się w odwiedzin. Była w ogrodzie razem z matką. Obie miały na sobie stare fartuchy i niosły koszyki, do których wrzucały zbierane nasiona lawendy i nogietków. Wziął od lady Barrand jej koszyk i kroczył obok niej, wesoło rozprawiając o różnych, błahostkach. Joanna wyprzedziła ich i szła z przodu, ignorując jego obecność. Kiedy dotarli do końca ścieżki, odwróciła się i wtrąciła lodowatym tonem:

- Jestem zaskoczona, że w ogóle znalazłeś czas, by do nas zajrzeć. Na pewno jesteś bardzo zajęty przygotowaniem do żniw, prawda?

- Prawie wszystko jest już gotowe dzięki mojemu znakomitemu zarządcy - odparł z uśmiechem Tony. - Zaczniemy jutro albo pojutrze, w zależności od pogody.

- Thomas mówi to samo - stwierdziła lady Barrand. Podniosła wzrok na bezchmurne, błękitne niebo. - Wygląda na to, że pogoda się utrzyma.

- Mam taką nadzieję, moja pani. Dobrze, że znowu jesteś w domu, Joanno. Wspaniale wyglądasz. Chyba wypoczęłaś. Pobyt w Keswick wyraźnie ci posłużył. Jesteś teraz prawdziwą „czekoladową panią”!

Lady Barrand roześmiała się.

- Rzeczywiście, przypomina mi moją małą Jo, która przez całe lato biegła z tobą i Nedom po wszystkich dziurach i zakamarkach!

Varden uśmiechnął się, ale w jego oczach czaił się ból. Joanna rzuciła mu spojrzenie w samą porę, by dojrzeć ten przeblysł smutku.

- Czasem chciałbym, żeby czas się cofnął i powrócił jeden z tamtych sierpni. Ty też, Jo?

- Niekiedy mam wrażenie, że od tamtych lat nic się nie zmieniło - odparła głosem wypranym z emocji. - Szczególnie w takie dni jak ten.

Tony pożegnał się i odszedł szybkim krokiem.

- Są takie chwile - westchnęła Joanna - gdy mam wrażenie, że wciąż jest tym samym chłopakiem. Nic się nie zmienił.



- Och, nie, kochanie - zaprzeczyła matka, biorąc córkę pod ramię. Bez pośpiechu ruszyły w stronę domu. - Tony stał się dorosłym mężczyzną. Nie jest taki jak Ned i nigdy taki nie będzie. Czy jednak musi być taki sam jak jego starszy brat? Chyba nie, prawda? Tony Varden powoli dorasta do godności hrabiego Ashford.

- Raczej masz rację, mamó. Ojciec też ma rację. Tony wypełni wszelkie obowiązki hrabiego i znajdzie sobie jakąś chętną młodą pannę na wydaniu - stwierdziła gorzko.

Lady Barrand zatrzymała się.

- Jesteś w błędzie, Joanno. Coś się między wami zmieniło. Na wiosnę różnie się układało, ale ty i Tony nie jesteście już tylko przyjaciółmi. Jesteście dwojgiem dorosłych ludzi, którzy w ostatnim czasie sporo razem przeszli. Najpierw śmierć Neda, a potem ta potworna zbrodnia... Coś musiało się między wami zmienić.

- Ale on nigdy nie dał mi najdrobniejszego znaku, że jestem dla niego kimś bliższym niż koleżanką z dzieciństwa. W ogóle nie okazał mi swoich uczuć.

- A czy ty okazałaś mu swoje? Dałaś mu powody, aby myślał o tobie inaczej niż o koleżance? Zawsze gdy widzę was razem, jesteś tą samą co dawniej małą, uszczypliwą Jo, która doskonale maskuje swoje prawdziwe uczucia.

- Po prostu nie chcę wprawiać go w zakłopotanie, mamó. I nie chcę brać go na litość!

- Moja droga, jeżeli gościsz w jego sercu, śmiało możesz zaryzykować obie z tych strategii. Wiesz, Joanno - mówiła dalej lady Barrand łagodnym, ciepłym głosem - wydaje mi się, że wiem, dlaczego Tony stał się nałogowym hazardzistą po śmierci Neda. Hazard dostarcza człowiekowi wyjątkowych doznań. Nawet jeśli nie wygrywasz, to stawiając wszystko na jedną kartę, na jeden rzut kośćmi, czujesz niepowtarzalny smak emocji. Ryzyko sprawia, że krew szybciej tętni, świat nabiera ostrości, a życie jest tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki. Właśnie takiej bliskości życia pragnął Tony, kiedy zewsząd otaczała go śmierć. Najpierw na wojnie, a potem tu, w domu...

- Mamó!

- Dobrze, już dobrze. Nie pochwalam hazardu, ale czasem trzeba podjąć ryzyko, żeby coś zyskać. Pomyśl o tym.

Nazajutrz pogoda była znakomita, toteż rozpoczęto żniwa. Tradycja nakazywała, by pierwszego dnia właściciele posiadłości i inni szlachetnie urodzeni przyłączyli się na kilka godzin do swych pracowników. Anthony Varden z ochotą wyszedł w pole. Potrzebował jakiejś mechanicznie wykonywanej czynności, aby rozgonić myśli o Joannie. Bał się pomyśleć, co zrobi, gdy skończą się prace polowe. Chyba pojedzie do Londynu i odwiedzi przybytek pani Spencer.

Damy zwykle zaopatrywały żniwiarzy w jabłecznik, chleb i ser. Lady Barrand pomagała prawie cała służba, więc Joanna postanowiła pojechać konno do sąsiedniej posiadłości i zobaczyć, jak posuwają się prace.

Lady Ashford nie przygotowała posiłku, ale godnie zastąpiła ją gospodyni. Kiedy Joanna dojechała na miejsce, wóz z zaopatrzeniem już stał pod laskiem, a mężczyźni powoli schodzili z pola. Przyprawiający o zawrót głowy zapach potu, jabłeczniaka, piwa i świeżo skoszonego zboża przywołał wspomnienia. Zamykając oczy, widziała żniwa sprzed dwóch, pięciu, dziesięciu, dwudziestu lat...

Tony zszedł z pola jeden z ostatnich. Miał na sobie stare spodnie z prążkowanego aksamitu i muślinową koszulę rozpiętą niemal do pasa. Joanna nie mogła oderwać wzroku od porastających jego szeroką pierś złotych kędziorów, na których zatrzymały się kropelki potu. Jej wzrok podążył za linią włosów do miejsca, gdzie znikwały one w spodniach. Zmusiła się do podniesienia oczu i spróbowała uśmiechnąć się naturalnie.

- Przyjechałaś nam pomóc, Jo? - zażartował.

- Pomyślałam, że zobaczę, jak sobie radzicie w Ashford - wyjaśniła.

Obie rodziny, Barrandów i Vardenów, przyjacielsko rywalizowały ze sobą w okresie żniw. Mężczyźni skupieni wokół wozu z prowiantem zaczęli żartować, że Barrandowie muszą być daleko w tyle, skoro wysłali panienkę na przespiegi.

- Jesteśmy łaskawi dla pokonanych, prawda? - rzucił wesoło Tony, podając Joannie kubek jabłeczniaka. - Trzymaj, Jo. Możesz im powiedzieć, że skończymy, nim zajdzie słońce.

Ich dłonie zetknęły się i Joanna zdrzała. Kochała Tony'ego od lat, marzyła o pocałunkach - i nie tylko - lecz nigdy nie była tak dojmująco świadoma jego męskości. Jabłecznik był cierpki i

wyjątkowo mocny. Po kilku łykach poczuła rozplywające się po całym ciele gorąco.

Błękitne oczy Tony'ego jaśniały na tle opalanej na brąz twarzy. Godziny spędzone na słońcu posrebrzyły mu włosy, a skóra na piersi była czerwona jak panczyk raka. Joanna bez zastanowienia wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła spalonej przez słońce skóry.

- Musisz na siebie uważać. Tony. Będziesz miał pęcherze, zobaczysz.

Kiedy zdała sobie sprawę, gdzie znajduje się jej ręka, natychmiast ją cofnęła i oblała się rumieńcem, który dorównał opaleniznie Vardena. Czym prędzej odstawiła kubek i pożegnała się ze żniwiarzami. Na odjeźdym powiedziała im, że uspokoi swoich pracowników, ponieważ Ashford będzie co najmniej pół godziny za nimi.

- Nie słuchajcie jej! - wykrzyknął Tony uśmiechając się promiennie. - Chce nas tylko zdenerwować. Żegnaj nam, szpiegu. Wrócił do pracy, ale mimo obolałych mięśni nie potrafił zapomnieć tego muśnięcia. Gdyby był to tylko nieuważny gest starej przyjaciółki, nie oblałaby się rumieńcem. Na pewno nie.

### ***Rozdział trzydziesty ósmy***

Barrandowie mieli zwyczaj wydawać przyjęcie po skończonych żniwach. I Tony, i Joanna czekali na nie z ogromną niecierpliwością. Varden był tak zdenerwowany, że rozlał wiśniówkę na swoje « najlepsze spodnie, a zaraz potem rozdarł żakiet, który nagle okazał się na niego za ciasny. W ciągu ostatnich tygodni jego mięśnie stężały i część rzeczy przestała nań pasować. Kamerdyner wpadł w rozpacz i rwał sobie włosy z głowy, ale ostatecznie znalazł jakiś całkiem niezły strój. Przebierając się, Tony z uśmiechem zauważył, że teraz przynajmniej ma ubranie na zmianę i nie musi go sprzedawać, aby pokryć długi.

Wybierał się tak długo, że kiedy w końcu przybył do domu Barrandów, goście już zasiadali do stołu.

Joanna również nie mogła dojść do ładu ze swoimi strojami, lecz ostatecznie udało jej się ubrać nie niszcząc garderoby. Włożyła zielonkawą suknię, którą miała już na sobie w Londynie, przez co Tony, posadzony naprzeciw niej, z trudnością mógł skupić uwagę na

grzecznościowej rozmowie z żoną wikarego, która była jego sąsiadką przy stole.

Wpisał się Joannie do karnetu na dwa tańce - walc i kotylion. Pierwszy zawiódł oczekiwania obojga. Owszem, byli podnieceni wzajemną bliskością, jednak nieśmiałość nie pozwalała im w pełni delectować się własnymi odczuciami. Pod koniec tańca Joanna była przekonana, że Tony wciąż nic do niej nie czuje, i miała ochotę zaszyć się w mrocznym kącie, a potem rozplakać się jak bóbr. Przypomniała sobie radę matki i gdy schodzili z parkietu, by dołączyć do grupy sąsiadów, zapytała, czy teraz, po zakończeniu prac polowych, nie zechciałby jej towarzyszyć podczas porannej przejażdżki.

Następnego ranka pożałowała swej impulsywnej decyzji. Spędziła lato z dala od Kentu, by pozbyć się nadziei na to, że pewnego dnia Tony dojrzy w niej kobietę, którą można pokochać. Sądziła, że udało jej się osiągnąć ten cel. Wróciła do domu spokojna, wyciszona i gotowa skierować porywy serca ku innemu mężczyźnie. Ale kiedy zobaczyła Tony'ego, wystarczyła krótka chwila, by ta przeklęta nadzieja odżyła. Dobrze, niech się dzieje, co chce. Trudno, zaryzykuje, rzuci na szalę swoje serce, ale tylko ten jeden raz. Ten ostatni raz.

Kiedy Tony po nią przyjechał, w pośpiechu wskoczyła na konia i ruszyła przed siebie. Chciała już mieć to za sobą. Raz na zawsze rozstrzygnąć problem i zakończyć męczące, bolesne wyczekiwanie.

Dzień był słoneczny, ale w powietrzu wyczuwało się pierwsze oznaki jesiennego chłodu. Zupełnie jakby pogoda orientowała się w postępkach prac żniwnych i zdecydowała, że czas na ochłodzenie.

Jechali stępą drogą graniczną między ich posiadłościami. Tony opowiadał o swych planach względem Ashford. W pewnej chwili

Joanna ostrożnie powiedziała:

- Lady Fairhaven okazała się bardzo dobrą i hojną przyjaciółką.
- O tak. Zmieniła moje życie. Zresztą nie tylko moje - dodał z tajemniczym uśmiechem. - Jim, były urzędnik i lokaj, planuje kupić sklep z wyrobami tytoniowymi. Sam dla siebie będzie szefem.
- Ale osiągnie to również dzięki tobie - przypomniała dziewczyna.
- A Gideon Naylor...

Varden zachichotał.

- Co się dzieje z Gideonem?

- Nie wygląda na wielkiego amanta, prawda?

- Rzeczywiście, raczej nie - zgodziła się. - Jest taki... zwyczajny. Jakos nie mogę go sobie wyobrazić w roli płomiennego kochanka.

- To tylko pozory, Joanno, tylko pozory. Pamiętaj, widziałem go w akcji. Gideon planuje pracować jeszcze kilka lat, a potem wyjedzie razem z Blisse do Somerset na zasłużoną emeryturę. Pani Blisse przygotowuje Carrie do przejęcia jej, hmm, interesu.

- Jak było w domu pani Spencer? - zapytała bez zastanowienia.

- Czysto i schludnie, a obsługa była miła i dyskretna, zapewniam. Ale nie powinienem z tobą rozmawiać o domu publicznym!

- To chyba jedyna szansa, abym się dowiedziała, jak wygląda od środka. Myślisz że pani Spencer jest godna takiego człowieka jak Gideon?

- Pasują do siebie pod każdym względem. Poza tym pani Spencer od wielu lat nie przyjmuje klientów.

Joanna była ciekawa, co Tony mógłby jeszcze powiedzieć o prostytutkach i domach publicznych, ale nawet jej zabrakło śmiałości, by zadać następne pytania.

Zbliżali się do zagajnika, który Joanna nazywała w myślach „ich laskiem”. Musiała szybko zdecydować, czy wjechać między drzewa, czy też je okrążyć.

- Może pojedziemy do starego dębu? - zaproponował Tony.

Joanna skinęła głową i poprowadziła konia wąską ścieżką, skręcającą w zielony gąszcz.

W pewnym momencie musieli zsiąść z wierzchowców. Tony zrobił to pierwszy i czekał na dole, aby służyć Joannie pomocą. Nie zauważyła go. Kiedy zeskoczyła z siodła, pochwycił ją w pasie i mocno przygarnął do siebie.

Przez kilka sekund czuł pod palcami jej jędrne, gorące ciało, skryte pod lekką, bawełnianą bluzą, i wdychał oszałamiający zapach lawendowych perfum. Dla Joanny czas zatrzymał się w miejscu. Ten moment był niczym sen na jawie, ale nie mogła pozwolić, by ów sen trwał dłużej. Oderwała się od Tony’ego i ruszyła przodem przez zagajnik.

Tony odwrócił się, kiedy go mijała. Musiał ukryć kłopotliwą wypukłość w spodniach. Z początku ucieszył się, że przyjaciółka

poszła przodem, ale już po kilkadziesiąt krokach był zmuszony zweryfikować ten pogląd. Dziewczęce krągłości Joanny doprowadzały krew w jego żyłach niemal do wrzenia. Starał się opanować i udało mu się to, ale dopiero gdy znaleźli się przed starym, rozłożystym dębem.

Zastanawiał się, o czym Joanna myśli. Przywoływała wspomnienia zabaw, których świadkiem było to ogromne drzewo? Mógł przysiąc, że słyszy słabe echo ich głosów. Duch Neda był tutaj obecny bardziej niż gdzie indziej, ale świadomość tego faktu nie wywoływała bólu. Varden zdał sobie sprawę, że w końcu pogodził się ze stratą brata. Zawsze będzie za nim tęsknił, już zawsze będzie wierzył, że Ned byłby lepszym hrabią, lecz teraz wiedział, iż znajdzie go za każdym razem, gdy przyjdzie w to zaczarowane miejsce.

- Brakuje mi go - powiedziała Joanna, spoglądając Tony'emu w oczy. Wziął od niej lejce i przywiązał konie do jednego z pobliskich drzew. Wskazał ręką na pniak, który dawniej służył za tron dla Joanny, Okrągły Stół króla Artura lub cokolwiek innego, czego potrzebowali do urzeczywistnienia swych fantazji.

- Pamiętasz? - zapytał przyciszonym głosem, jakby nie chciał zakłócić spokoju tej świątyni bez ścian. Oparł się o pień dębu i po chwili milczenia wyznał: - Mnie również go brakuje, ale przed chwilą miałem wrażenie, że jest tutaj razem z nami. Nigdy go nie zastąpię, ale teraz przynajmniej mam świadomość, że go nie zawiodę.

- Według mnie - rzekła Joanna, starannie dobierając słowa - możesz być nawet bardziej pożyteczny dla Ashford. Spojrzał na nią, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Ned najchętniej niczego by nie zmieniał - tłumaczyła - nie szukałby niepewnych szans na poprawę. Po prostu zarządzałyby posiadłością tak, jak robił to wasz ojciec. Ty potrafisz podejmować ryzyko i może się okazać, że właśnie kogoś takiego jak ty wasza rodzina potrzebuje najbardziej!

- Dziękuję, Jo. To wiele dla mnie znaczy. Mam jednak wrażenie, iż nie pochwalasz mojej skłonności do podejmowania ryzykownych decyzji.

- Jeśli mają one ograniczać się do gry w karty, to masz rację, nie pochwalam.

- A moja przygoda z armią?  
 - Muszę przyznać, mój panie, że twoja skłonność do szukania przygód i zapomniania o tych, których zostawiłeś, często była dla mnie utrapieniem!

Tony roześmiał się.

- Nigdy mi nie wybaczysz, że zapomniałem o tobie, gdy byłem Lancelotem? Jo, przecież w końcu przybiegłem ci na ratunek.

- Prawie się uwolniłam do tego czasu.

- Tak, tak, ciągle mam blizny, które tego dowodzą - zauważył Varden rozcierając łydki.

Joanna zrozumiała dowcip, ale się nie uśmiechnęła. Siedząc na pniaku, nagle z całą jasnością ujrzała sens życiowego labiryntu, w którym poszukiwała drogi do Tony'ego. Najpierw stałą przywiązana do tego dębu i czekała na swego wymarzonego wybawiciela, sprawdzając na własnej skórze, jak cierpliwość przemienia się w ślepy gniew. Potem był jej pierwszy sezon balowy, napiętnowany nadzieją, że gdy wróci z wojaczki, dostrzeże ją w tłumie pięknych panien. Potem przez cały rok żyła w przekonaniu, że lada dzień Tony poślubi inną. Dzisiaj koło się zamknęło, znowu znalazła się w punkcie wyjścia. Jej serce wypełniał żal tak ogromny, że żadna tama nie była w stanie powstrzymać powodzi słów, którymi chciała go obrzucić. Przez wszystkie te lata pokornie odgrywała rolę „starej, dobrej Jo”, ponieważ za wszelką cenę chciała mieć przynajmniej jego przyjaźń. Dziś zdecydowała postawić wszystko na jedną kartę.

- Gdybym miała tyle odwagi co dawniej, kiedy byłam dziewczynką - powiedziała drżącym głosem - teraz też skopałabym cię po kostkach.

Urwała, czując napływające do oczu łzy.

- Co się stało? - Tony pochylił się nad nią. - Dlaczego, Jo?

- Nie nazywaj mnie tak!

- Mam nie mówić do ciebie „Jo”? Przecież Jo jest moją najstarszą i najlepszą przyjaciółką - powiedział czule, przykłękając przed nią.

- Tak, dokładnie tak. Jo jest twoją najstarszą i najlepszą przyjaciółką. I tylko przyjaciółką. „Stara, dobra Jo. Nie ma nic przeciwko temu, by na mnie czekać, bo jestem jej rycerzem. Zawsze mogę liczyć na jej powitanie, gdy przyjdzie mi do głowy wrócić do domu. Będzie czekać, gdy ja zagram w Hiszpanii z losem i postawię na szali własne życie albo zagram sobie w karty przy St. James

Street i postawię rodzinną posiadłość, albo zagram o serce z lady Fairhaven.” Cóż, skończyło się, od tej chwili nie będę już dla ciebie starą, dobrą Jo!

Mówiąc to, pchnęła Vardena z całej siły. Tony upadł na trawę i patrzył na nią z takim zaskoczeniem jak wówczas, przed wielu laty, gdy skopała go po łydkach.

Wyglądał tak nieporadnie, że musiała się roześmiać. Tony zdobył się na niepewny uśmiech, który szybko zniknął mu z twarzy, ponieważ Joanna nagle załzała się łzami.

- Joanno, najdroższa, nie płacz! Nie płacz, proszę! - Przytulił ją, mimo że próbowała go odepchnąć. - Proszę, wysłuchaj mnie.

Głaskał ją po włosach, kołysał ją, szeptał kojące słówka. Joanna powoli się uspokajała.

- Zawsze uwielbiałem wyzwania, kochałem ryzyko - powiedział. - Grałem z Francuzami o życie, grałem w karty o Ashford i prawdopodobnie masz rację mówiąc, że mój związek z Claudią to kolejna gra, w której stawką było nie tyle moje serce, co moja przyszłość. Nie mogę sprzeciwić się własnej naturze, kusi mnie, aby jeszcze raz zagrać, jeszcze raz podjąć ryzyko. Wszystko albo nic. Postawię moje serce; jeśli tylko zechcesz, Jo, należy ono do ciebie. To bardzo niska stawka, zważywszy, jak wiele chciałbym wygrać: twoją miłość, nasze życie we dwoje, wspólną przyszłość. I będę nazywał cię Jo, bo tak miała na imię dziewczyna, którą pokochałem. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak była mi bliska. Była częścią mnie i muszę przyznać, że nie doceniałem jej obecności w moim życiu. Biję się w piersi i staję przed nią, ja, jej błędny rycerz, mając nadzieję, że przyjmie moje serce.

Joanna siedziała sztywno wyprostowana, drżąc na całym ciele. To było za wiele, stanowczo za wiele. Przez tyle lat marzyła, że usłyszy te słowa, i teraz marzenie stało się faktem. Nie potrafiła się zdobyć na jakąkolwiek reakcję. Siedziała jak zaklęta, nie znajdując słów.

Anthony Varden delikatnie cofnął ręce i wstał.

- W porządku, Joanno, rozumiem. Jest już za późno. Nie możesz mi zaufać, nie chcesz ryzykować. Rozumiem. Zawsze będziesz miała moją przyjaźń, obojętne, chcesz jej czy nie.

Joanna dopiero po dłuższej chwili pojęła sens tych słów.

- Kocham cię. Tony - wyznała gorąco. - Zakochałam się w tobie, gdy miałam dziesięć lat, kochałam cię przez wszystkie te lata i będę



kochać aż do śmierci.

Varden odwrócił się do niej i padła mu w ramiona, śmiejąc się i płacząc na przemian.

Po chwili oderwała się od niego i zauważyła trzeźwo:

- Ja wyznałam ci miłość, ale ty wciąż mi nie powiedziałeś, czy mnie kochasz.

Obruszył się i chciał protestować, lecz dziewczyna szybko dodała:

- No, może nie powiedziałeś tego w tyłu słowach co ja.

Pochwyił jej dłoń i poprowadził Joannę do wiekowego dębu, gdzie usiedli, opierając się o szeroki pień. Uniósł jej głowę i spojrzał prosto w oczy.

- Kocham cię, Jo. Kocham cię, Joanno, lady Joanno Barrand. A może lady Ashford?

Joanna ochoczo kiwnęła głową. Tony schylił się i cmoknął ją w usta. Dziewczyna rozchyliła wargi i zachęciła go do namiętnego, głębokiego pocałunku.

Osunęli się na dywan z trawy. Ręka Tony'ego zabłądziła w okolice guziczków jej kostiumu jeździeckiego, a potem wsunęła się pod materiał i delikatnie masowała miękką pierś. Joanna westchnęła z rozkoszy i włożyła dłoń pod koszulę Tony'ego. Odkąd zobaczyła go przy żniwach, chciała to zrobić - dotknąć palcami jasnych, kręconych włosków na jego piersi. Czowała, jak Tony napiera na jej biodra, czowała wzbierające w nim napięcie. W pierwszej chwili chciała się odsunąć, ale zaraz potem sięgnęła w dół, by oswobodzić tę część jego ciała, która tak usilnie pragnęła wyrwać się na wolność. Tony chwycił jej dłoń i z powrotem położył sobie na piersi.

- Z całej duszy pragnę cię pojąć, Jo, ale nie w lesie, na trawie. Jeżeli dotkniesz mnie tam choć raz, zapomnę o swym postanowieniu.

Pożądanie i wstyd sprawiły, że Joanna oblała się rumieńcem. Przycisnęła głowę do jego ramienia i wyszeptwała:

- Przepraszam, Tony.

- Przepraszam?! Och, nie, Jo! Nie przepraszaj! Niczego tak nie pragnę jak tego, abyś dotykała mnie, pieściła, kochała się ze mną, ale musimy z tym poczekać, aż będziemy mężem i żoną.

Jak najszybciej musieli podnieść się z trawy, bo w przeciwnym razie nic by ich nie powstrzymało przed uczynieniem następnego kroku. Otrzeptali się z liści, a kiedy Joanna chciała zdjąć ostatni listek dębu zaplątany we włosy Tony'ego, ponownie utonęła w jego

ramionach. Ten pocałunek był najdłuższy i najgorętszy.

- Chodźmy stąd, moja droga - powiedział Tony, kiedy w końcu oderwał usta od jej słodkich warg. - Ten stary dąb rzucił na nas swój czar.

- Jeśli Ginewra czuła do Lancelota to, co ja teraz czuję, to doskonale rozumiem, dlaczego zdradziła męża - stwierdziła Joanna, uśmiechając się prowokacyjnie.

- Cieszę się, Jo, że odgrywaliśmy ich historię jako dzieci. Nasza własna historia nie będzie miała tak tragicznego zakończenia.

- Niewiele brakowało, Tony. Bardzo niewiele.

- Tylko dlatego, że byłem głupcem. Ale uwierz mi, przejrzałem na oczy, Jo. Teraz już wiem, na jaką kartę warto postawić własne serce.

### ***Od autorki***

Mam wielki dług wdzięczności wobec anonimowego autora książki *The Fatal Effects of Gambling Exemplified in the Murder of Mr. Weare and the Trial and Fate of John Thurtell*, wydanej w 1824 roku przez londyńską oficynę Thos. Kelly of Patemoster Row. Bez zaprezentowanych przezeń drobiazgowych opisów nie mogłabym tak plastycznie odmalować wnętrza domu gry.

Gra w czerwone i czarne, którą emocjonowano się nocami w większości jaskiń hazardu, przypominała dzisiejsze oczko. Figury miały wartość dziesięciu punktów, asy liczono jako jeden punkt, a pozostałe karty warte były tyle punktów, ile wskazywała wymalowana na nich cyfra. Stół miał dwa końce - czarny i czerwony. W pierwszej kolejności krupier odsłaniał karty dla czarnej strony. Kiedy suma punktów odsłoniętych kart przekroczyła trzydzieści, ogłaszał wynik (na przykład „jeden”, gdy suma punktów wynosiła trzydzieści jeden, „trzy”, gdy suma równała się trzydzieści trzy itd.). Potem przychodziła kolej na czerwoną stronę stołu. Wygrywała ta, która była bliższa trzydziestu. Jeśli po obu stronach pojawiał się ten sam wynik, na przykład trzydzieści jeden, krupier ogłaszał „Jeden *apres*” i rozdawał jeszcze raz.

Hazardzista jak zwykle tracił pieniądze na korzyść domu gry. Autor *Fatal Effects* opowiada, że gracz, który odwiedzał ów przybytek codziennie przez cały rok, mógł stracić 5616 funtów nawet wówczas, gdy stawał tylko jeden funt na rozdanie. Domy gry

działały nielegalnie, ale nie przeszkadzało im to osiągać rocznego zysku w wysokości... 500 tysięcy funtów.